

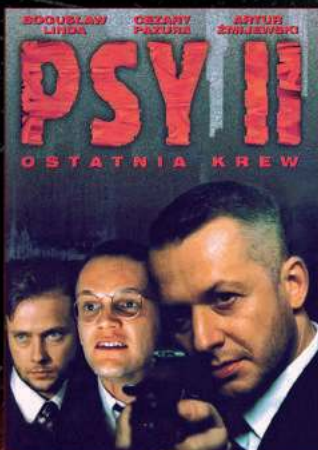
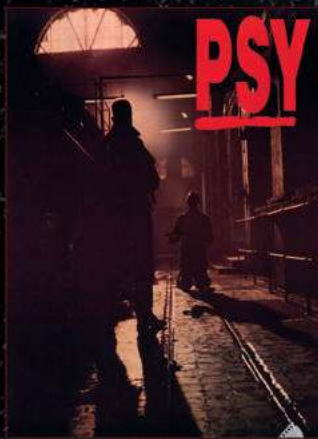
Prof. Jacek Raciborski
Kończmy z reprivatyzacją

Prof. Stanisław Obirek
Kościołni pedofile pod ochroną

Wiesław

KOT o PSACH

Pasikowskiego



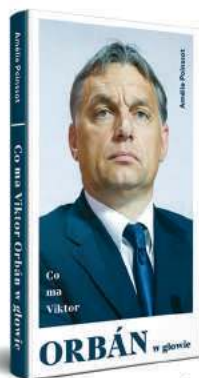
Pamiętaj o Dniu Babci i Dziadka!

21-22 STYCZNIA

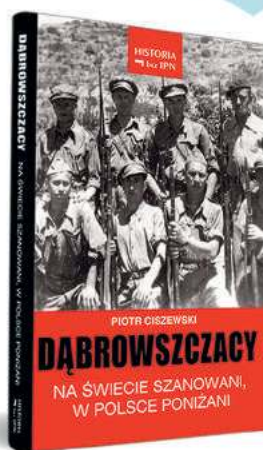


Najlepszy prezent to
książki PRZEGLĄDU

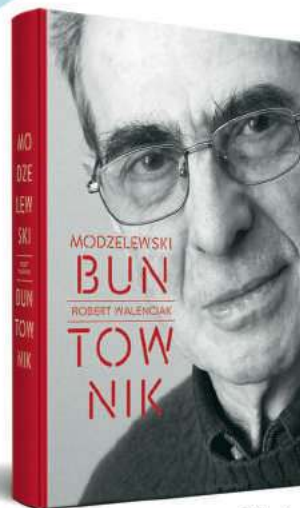
Pakiet Zakłamana
historia powstania
130 zł



35 zł



49 zł



65 zł



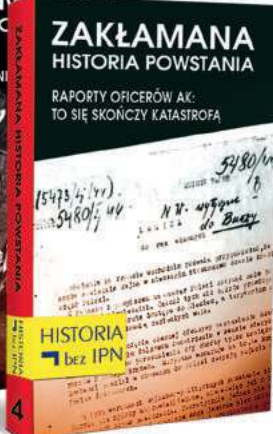
41 zł



42 zł



40 zł



44 zł



43 zł



42 zł

Pakiet PRL
70 zł



Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książki można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

CYTATY

PROF. ŁUKASZ TURSKI,
fizyk

Internet zamienił się w jedną wielką kloakę, którą płynie nieprzemyślna ilość wszelkiego możliwego kłamstwa.

„Polska The Times”

ADRIAN ZANDBERG,

lider partii Razem

Czas uwolnić Polskę od wiecznego klinczu między AWS a Unią Wolności, które rządzą Polską pod różnymi nazwami.

„Fakty i Mity”

HILLARY CLINTON,

była pierwsza dama USA

Byłabym dobrym prezydentem, więc czasem o tym myślę.

„Forum”

DOROTA WELLMAN,

dziennikarka TVN

Emerytura jest czymś przerażającym, a odpoczynek to wymysł szatana.

„Pani”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Ruletka zamiast polityki

Jeśli ktoś nie wierzy, że mądra polityka zagraniczna państwa jest wypadkową kompetencji ekipy i ciągłości kadr dyplomatycznych, niech popatrzy na polski eksperyment kadrowy. Przypadkowi ludzie, znajomi znajomych dostali do ręki wszystkie potrzebne instrumenty. Szkopuł w tym, że nie potrafią na nich grać. Bo nawet nie znają nut. Dyplomacja od zawsze była rzemiosłem. Finezyjnym, ale rzemiosłem. Wymagającym dużej wiedzy, znajomości języków, kultury i zręczności. Na świecie drogą do ministerialnych foteli są, a w Polsce kiedyś były, staże na placówkach dyplomatycznych, posady radców, praca w różnych krajach i specjalistycznych instytucjach czy fundacjach. Najzdolniejsi awansowali szybciej, ale nie był to sprint.

Piszę o tym, patrząc na niekończący się blamaż ludzi, którzy w Polsce odpowiadają za politykę zagraniczną. Polityka zagraniczna rządów PiS, z dodatkiem w osobie prezydenta Dudy, przypomina ruletkę. Nikt już nie wie, czego i po kim można się spodziewać.

Prezydent Duda bezradność wobec wydarzeń, zwłaszcza nagłych, nadrabia groźnymi minami i okrzykami. Od tej strony jest najbardziej bojowym politykiem w Unii Europejskiej. I tak bezgranicznie naiwnym, że potrafi powiedzieć, że swoje stanowisko przedstawi dopiero wtedy, gdy usłyszy, co powie Donald Trump. Oczywiście wszyscy wiemy, jak bardzo Duda i PiS są zależni od polityki USA. Ale gdyby mieli choć nikłe umiejętności dyplomatyczne, potrafiliby owinąć ten amerykański gwóźdź w maskujące opakowanie.

Jakie kolejne warunki będzie musiała Polska spełnić, by Amerykanie byli zadowoleni z rządów PiS? Co jeszcze będziemy musieli kupić drogo i bez sensu? Kogo jeszcze trzeba będzie zwolnić z podatków? Jakie interesy amerykańskich firm trzeba będzie pilotować na żądanie urzędników ambasady USA? To są uzasadnione pytania. Bo przecież taki polityk jak Duda i ta ekipa mogli podpisać coś, co postawi Polskę w stan zagrożenia. Maszerowanie z Trumpem pod rękę jest równie mądre jak pieszczoty z grzechotnikiem.

Wygląda na to, że niczego nas nie nauczyły Irak i Afganistan. Nazywamy te wojny misjami. Nie wiem, czy jest bardziej załgane słowo. Misje szkoleniowe, pokojowe itp. Może łgarstwa pójdą jeszcze dalej i uzbrojonych po zęby żołnierzy nazwiemy misjonarzami?

Władze mówią, że Polska jest bezpieczna pod ich rządami. I oczekują od opozycji poparcia. Słuchanie ludzi bawiących się zapałkami na beczce prochu to absurd.

BĄKOWSKI

DOŁĄCZ DO NAJBARDZIEJ
ENERGETYCZNEJ
SPOŁECZNOŚCI W SIECI

facebook.com/TygodnikPrzeglad/



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kończmy z reprivatyzacją**
– rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim
- 16 Rodzice czy kaci?**
Na maltretowanie dzieci trzeba reagować
- 44 Polowanie na Durczoka**
Skąd taka surowość prokuratury
- 46 Czy lewica ma coś do zaproponowania?**
– rozmowa z Daria Gosek-Popiołek

ZAGRANICA

- 12 Grozi nam wielka destabilizacja na Bliskim Wschodzie**
– rozmowa z dr. Piotrem Łukasiewiczem
- 50 Zielona szafa**
W modzie moda na eko
- 56 Czarna skrzynka prezesa**
Wielka ucieczka szefa Nissana
- 58 Zagrożone zabytki Iranu**
Lista celów Trumpa

PUBLICYSTYKA

- 18 Stanisław Obirek**
Prawda o pedofilii w polskim Kościele

HISTORIA

- 24 Anders na białym koniu nie przyjechał**
– rozmowa z Andrzejem Kotnowskim
- 28 Rząd kłęski narodowej**
Odpowiedzialność za Wrzesień '39 w dokumentach
- 30 Trzy strzały przeciw faszystom**
Walka socjalistów z hitleryzmem

KULTURA

- 34 Psy. Szok sterowany**
Franzem Maurerem w Polskę PiS?
- 38 Historia sekretne go ślubu**
Jerzy Pilch o różnicy wieku w miłości
- 41 Laureaci nagród im. Bolesława Prusa**
- 42 Culturalia**
- 66 Miriam Cahn. Ja, istota ludzka**

OBSERWACJE

- 52 A serce robi swoje**
Pielęgniarki na onkologii
- 60 Oregano z majeranku**
Oszustwa producentów przypraw

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Ruletka zamiast polityki
- 15 Jan Widacki**
Polityka historyczna prezydenta Putina
- 23 Roman Kurkiewicz**
Biedroń najlepszy, bo jedyny
- 33 Tomasz Jastrun**
Zaciska się pętla
- 45 Wojciech Kuczek**
Poniewczasie
- 49 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Chodź, powiem ci, kto to chasyd
- 57 Edward Mikołajczyk**
Proszę podać datę



12
ZAGRANICA

GROZI NAM WIELKA DESTABILIZACJA NA BLISKIM WSCHODZIE

– rozmowa z dr. Piotrem Łukasiewiczem



18
PUBLICYSTYKA

STANISŁAW OBIREK

Prawda o pedofilii
w polskim Kościele



52
OBSERWACJE

A SERCE ROBI SVOJE

Pielęgniarki na onkologii

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KINO ŚWIAT



Tomasz Miłkowski
podsumowuje rok 2019
w teatrze

Horror na SOR-ach

Armia Czerwona
na Jasnej Górze

Polskie sieroty w Iranie

✉ Czy życie dzieci ma zależeć od zbiórek publicznych?

Na operację serduszka małej Julki w USA potrzeba 2 mln zł. W zbiórce internetowej zebrano połowę, drugą należy zebrać do 15 stycznia. Co będzie z Julką lub innymi ciężko chorymi dziećmi, jeśli pieniędzy zabraknie? Nie udzielię odpowiedzi na to pytanie, bo jej nie ma. Apeluję więc do ministra zdrowia o wyasygnowanie brakującej kwoty na operację Julki oraz innych ciężko chorych dzieci. Jeśli minister nie pomoże, może pomocy udzieli Jurek Owsiak i jego Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Zbiórki publicznych na operacje dzieci np. w USA jest coraz więcej. A jest tak, bo te operacje coraz częściej kończą się sukcesem medycznym. W związku z tym mam pytanie do ministra zdrowia i całego rządu: czy życie ciężko chorych dzieci ma zależeć wyłącznie od zbiórek publicznych? Uważam, że nie. Budowa nowej drogi, urzędu czy inna inwestycja mogą poczekać. Zdrowie i życie dziecka nie.

Zenon Imbierowski

✉ À propos „Nie dla idiotów?”

Sponiewierana w „Przebysłkach” reklama żelków Haribo z pewnością nie jest przeznaczona do oglądania przez autora rubryki, lecz dla tych, którzy potrafią docenić jej groteskowość i mistrzostwo realizacji.

Czyżby autor notatki (z całym szacunkiem) wołał ciemnoskórego faceta jedzącego to, co żyrafie... (no, mniejsza z tym), lub półnagiego kapitana, nie wiedzieć czemu jadącego tyłem na koniu? Oglądam więc reklamę Haribo i wołam do córki: jutro chcę mieć te ciągutki. Zadziałało?

Z szacunkiem dla PRZEGŁĄDU i bez tegoż dla autora notatki

Jacek Jaroński, Kielce

✉ Co zrobić z książkami?

W felietonie „Spizowa Brama” Tomasz Jastrun pisze m.in. o kłopotach związanych z nadmiarem książek, które nie wiadomo jak się rozmnażają, w dodatku w szybkim tempie.

Znalazłam Fundację Zmiana, która prowadzi akcję „Książki w Pudle” – przyjmuje książki jak leci, bez wybierania, jak to robią w antykwariatach, i przekazuje je do zakładów karnych. Kilka lat temu skorzystałam z tej możliwości i oddałam część książek. Przeprowadzenie remanentu nie było łatwe.

Fundacja ma stronę internetową i konto na FB. Mieści się w Warszawie przy ul. Targowej. Książki można dostarczyć po telefonicznym umówieniu się.

A te z dedykacjami może przekazać na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy?

Agnieszka S.



ZDJĘCIE TYGODNIA

Wenecjanie w Warszawie. Delegaci Komisji Weneckiej, organu doradczego Rady Europy, przyjechali w związku z prośbą marszałka Senatu o wydanie opinii na temat nowelizacji ustaw sądowych.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak polityka wpływa na długość życia Polaków?

PROF. BOLESŁAW SAMOLIŃSKI,
Warszawski Uniwersytet Medyczny

Polityka państwa ma zasadnicze znaczenie w wielu obszarach decydujących o jakości i długości życia ludzi. Podstawowym jest organizacja systemu ochrony zdrowia, w ramach którego powinno się odejść od płacenia za poszczególne świadczenia na rzecz płacenia za zintegrowaną opiekę, dającą określony wynik zdrowotny. Niezwykle ważny jest wpływ czynników środowiskowych, w przypadku Polski szczególnie stanu powietrza, na który państwo może wpływać np. poprzez wspieranie wymiany pieców oraz dążenie do odejścia od węgla w energetyce. Kolejnym kluczowym obszarem jest polityka tytoniowa, gdyż nadal nawet 70 tys. obywateli umiera rocznie z powodu palenia papierosów. Niezwykle ważna jest wreszcie polityka senioralna, m.in. tworzenie warunków zapobiegających samotności seniorów oraz zapewnienie tej grupie bezpieczeństwa np. poprzez wprowadzenie szybkiej i zintegrowanej opieki nad osobami doznającymi urazów, trwającej aż do pełnego powrotu do zdrowia.

MAŁGORZATA AULEJTNER,
Ogólnopolski Związek Zawodowy Pielęgniarek i Położnych

Przykładem tego, jak decyzje polityczne wpływają na zdrowie publiczne, jest odejście od bezpłatnego leczenia stomatologicznego. Spowodowało ono wzrost liczby zachorowań na choroby przyzębia i jamy ustnej oraz powiązane z nimi choroby układu pokarmowego, co bezpośrednio odbija się na ogólnym stanie zdrowia społeczeństwa. Kolejnym problemem są niewystarczające działania państwa w zakresie ochrony środowiska. Pulmonolodzy biją na alarm, bo wyraźnie zwiększyła się liczba osób zapadających na poważne choroby układu oddechowego, w tym nowotwory. Wiele chorób cywilizacyjnych, takich jak cukrzyca czy choroby układu krążenia, ma źródło

nie tylko w stylu życia, ale także w nadgodzinach, braku przerw w pracy, mobbingu itd. Łamanie praw pracowniczych jest możliwe, gdyż pozwalają na to instytucje państwa. Duży wpływ na skracanie się długości życia Polaków ma także brak odpowiednich możliwości leczenia psychiatrycznego czy uzyskania pomocy psychologicznej, co również wynika z określonych decyzji politycznych. Aby możliwe było zwiększenie średniej długości życia, konieczne są działania we wspomnianych wyżej sferach, a także m.in. wzrost publicznych nakładów na potrzeby osób starszych oraz znaczne zwiększenie liczby specjalistycznych kadr medycznych.

MONIKA HELAK,
socjolożka i analityczka, Polityka Insight

Politycy mogą wpływać na długość życia za pośrednictwem polityki zdrowotnej, mieszkaniowej, transportowej czy nawet prawa pracy. Niestety, w tych obszarach Polska od lat zawodzi swoich obywateli. Przykłady można mnożyć: 23 lekarzy na 10 tys. mieszkańców (najgorszy wynik w Europie), 54% Polaków żyjących w przeludnionych mieszkaniach, 14 mln mieszkających w gminach bez jakiegokolwiek transportu publicznego, średnio prawie 41 godzin tygodniowo przepracowywanych w głównym miejscu zatrudnienia (w UE – 37 godzin). Niewiele lepiej jest z odsetkiem samobójstw, skutecznością ścigania przemocy seksualnej czy bezpieczeństwem na drogach. Dopóki decydenci nie zatroszczą się o poprawę w przynajmniej części wymienionych obszarów, dopóty trudno się spodziewać, by Polacy żyli tak długo jak Szwajcarzy, Japończycy czy Włosi.

JOLANTA MARIA BINKOWSKA,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Bardzo, bo serce pęka, jak się widzi, co politycy wyprawiają.

Not. Michał Sobczyk

Kończmy z reprivatyzacją

Tak powinna powiedzieć lewica.
Nic nikomu już się nie należy. Także Kościołowi
katolickiemu i gminom żydowskim

Rozmawia Robert Walenciak

Nowa lewica to coś rzeczywistie nowego? A może zwykły face lifting?

– Organizacyjnie wygląda to na nowy twór. Ale operuje on w przestrzeni, która od dawna ma swoją strukturę. I całe szczęście, że tak jest! Bo od razu widzimy, że ta formacja odwołuje się do rzeczywistie istniejących grupowych tożsamości, do ludzi o identyfikacjach lewicowych.

Czy takie poglądy ma duża grupa wyborców?

– Tu jest problem i ryzyko. Myślę, że zostało ono świadomie podjęte. Otóż kiedy badamy społeczeństwo polskie, widzimy od mniej więcej 2002 r. spadek częstości autoidentyfikacji lewicowych, przy tym nigdy nie był to dominujący nastrój naszego społeczeństwa.

Jak te badania wyglądają?

– W systematycznych badaniach respondentów są proszeni, aby określili swoje miejsce na 10-punktowej skali od lewego krańca do prawego. Odwołam się tu do świeżo opublikowanych wyników Europejskiego Badania Wartości przeprowadzonego pod kierunkiem prof. Mirosławy Marody. Obecnie lewicową identyfikację deklaruje ok. 15% obywateli, a prawicową ok. 40%, pozostali lokują się w centrum, co jest sytuacją typową. Nie należy z tego wyciągać pochopnych, pesymi-

stycznych wniosków, bo znacząca część wyborców w ogóle odrzuciła możliwość ulokowania się na tej skali (ponad 20%) i to jest nowe zjawisko, a centrum jest zawsze bardzo labilne i centrolewica jako formacja rządząca to coś realnego. Na marginesie sądzę, że taki obraz autoidentyfikacji Polaków był głównym powodem tego, że ruch Biedronia nazywał siebie nie lewicą, tylko formacją progresywną.

Unikali słowa lewica.

– A teraz mamy powrót do tego słowa. Są wyborcy manifestacyjnie lewicowi. Możliwa jest też taka formacja w parlamencie.

Potencjał na miarę LiD

Zbierająca różne lewicowe grupy...

– Dwa miesiące przed dniem wyborów, gdy już domknęła się koalicja Lewicy, napisałem na Facebooku, że to dobry krok, że ta koalicja ma potencjał na miarę Lewicy i Demokratów. I faktycznie, Lewica dostała tyle głosów, ile miała tamta formacja. Gdyby nie rozbięcie LiD, lewica nigdy nie wypadłaby z parlamentu. Dziś wiadać to z całą oczywistością.

Dlaczego było to błędem?

– Bo likwidacja LiD była zabranieniem nogi z drzwi. I one się zatrzasnęły. Przez kolejne 12 lat całą dynamikę polskiej polityki określał układ PO-PiS. To lata stracone. A Lewica i Demokraci byli tą nogą w drzwiach. Ale



**PROF. JACEK
RACIBORSKI**

wolę nie wkraczać głębiej w sferę spekulacji i historii alternatywnych.

Teraz mamy podobną sytuację, PO i PiS są najsilniejsze, wszystko kręci się wokół ich konfliktu.

– Ale to już nie jest jednorodny dwubiegunowy układ. W anty-PiS jest wyraźny element lewicy i PSL. Ta sytuacja daje siłom lewicowym pewną nadzieję. Trzeba zresztą je pochwalić, że w samej grze wyborczej nie podążyły za sugestiami niektórych doradców – że tak naprawdę mają iść nie przeciwko PiS, tylko po głosy PO. Po Schetynę. Ale lewica pokazała się w wyborach jako rdzeń anty-PiS. To innych oskarżano, że chcą z PiS coś na boku! Że może Kosiniak-Kamysz będzie otwarty, że i w PO pojawili się tacy, którzy zerkać ku PiS. To przekonanie, że rdzeniem anty-PiS jest lewica, było ważne dla końcowego wyniku.

Że jest najbardziej zawziętym wrogiem PiS. I że nigdy z nim nie pójdzie. A dlaczego tym razem się udało?

Prof. dr hab. Jacek Raciborski jest kierownikiem Zakładu Socjologii Polityki w Instytucie Socjologii UW, autorem lub współautorem kilkunastu monografii naukowych oraz ponad stu artykułów opublikowanych w czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Redaktor naczelny półrocznika „Studia Socjologiczno-Polityczne. Seria Nowa”.

– Myślę, że wyrażnie nowy element to Zandberg – z wizerunkiem prawdziwie ideowego polityka, także Biedroń ze świeżym europejskim sukcesem, niewielkim, ale zawsze. Ta zmiana od razu uwidoczniła się w nowym profilu elektoratu. Najwyższe poparcie wśród wyborców najmłodszych – 18% w grupie 18-29 lat, a to dało prawie 25-procentowy udział tej grupy wśród ogółu wyborców zjednoczonej lewicy, oraz przewaga kobiet w proporcji 55% do 45%. Takiego profilu SLD nigdy nie miał, nawet w szczycie potęgi. Są nowi wyborcy, a starzy pozostali – to fenomen, że grupa najmłodsza waży mniej więcej tyle samo w elektoracie nowej lewicy, co grupa najstarsza. Ta zmiana profilu elektoratu jest bardzo ważna, chyba ważniejsza niż to, czy lewica dostawała 13, czy 15%. Wskazuje na spadek znaczenia historii w budowaniu lewicowych tożsamości.

Coś więcej niż partia

A kto nadaje ton w tej nowej formacji? Ludzie SLD czy ktoś z młodzieży?

– Tutaj trzeba być ostrożnym optymistą. Ale bardzo ostrożnym, bo będzie jeszcze wiele konfliktów i wiele niebezpieczeństw. Pierwsze już mocno się zarysowuje, a mianowicie nastawienie na sprawy organizacyjne i personalne powoduje widoczną niewydolność w działalności programowej. Drugim zagrożeniem mogą być w niedługim czasie spory o pieniądze. Bo z tej trójki tylko SLD będzie

np. spraw klimatycznych, smogu? To, co powstaje z SLD i Wiosny, powinno być stale otwartym, dynamicznym projektem. I powinno być jasno powiedziane, że inni mogą się przyłączać.

W jaki sposób przyłączać?

– Formacja lewicowa powinna być czymś więcej niż partią, z jej formalną strukturą, jasno określoną hierarchią, kierownictwem itd. To musi być twór dwoisty. Z jednej strony jest partia, jej aparat, koła, są biura,

Lewicową identyfikację deklaruje ok. 15% obywateli, a prawicową ok. 40%.

etaty i pieniądze na działalność. Ale z drugiej są ruchy społeczne, w których ta partia uczestniczy, stowarzyszenia, porozumienia, projekty, koalicje, federacje czy jeszcze coś innego. I takich nowych inicjatyw na razie nie widzę.

A da się pogodzić młodzież z Razem, działaczy walczących o prawa LGBT i prawa kobiet z tymi, którzy mówią o emeryturach funkcjonariuszy SB?

– Moim zdaniem nie da się pogodzić w jednym czasie, w jednym działaniu. Dlatego sugeruję policentryczną wizję formacji lewicowej. Tak w pewnym stopniu jest teraz w klubie parlamentarnym. Partia Razem stanowi odrębną grupę, a klub jest płaszczyzną koordynacji działania. Wizja policentryczna zakłada, że powstają inicjatywy zachodzące na siebie, ale nieskupione pod jednym

mógł być dużo lepszy! Wszystkim senackim koalicjantom PO proponowano ochłapy w stosunku do ich sondażowego poparcia. Dotyczy to zwłaszcza lewicy. A dlaczego opozycja desygnowała tak mało prawdziwych osobowości, ludzi o znanych nazwiskach, liderów ruchów obywatelskich? Ich po prostu nie zaproszono. Gdyby byli – wynik byłby dużo lepszy. To, co osiągnięto, odzwierciedla tylko czysto partyjne nastawienie wyborców. W wyborach

do Senatu nie było premii za jakość kandydatów, a dokładniej – była ona w nielicznych przypadkach. Wszyscy liderzy opozycji, zwłaszcza Schetyna, bardzo partyjnie potraktowali tę grę, uczynili priorytetem lojalność i posłuszeństwo kandydatów wobec partyjnych kierownictw.

O czym powinna myśleć lewica?

Lewica powinna zatem wystrzegać się myślenia partyjnego. Jak powinna myśleć?

– Niebezpieczeństw jest przed nią mnóstwo, szans sporo. A główna szansa polega na tym, że oto znów otwiera się historyczna możliwość włożenia buta w drzwi (bo to na razie jest but), w ten główny podział PiS kontra PO. Ten podział trzeszczy, te bloki są już wewnętrznie rozedrgane. Mogą gwałtownie się rozsypać i nastąpi czas zasadniczej restrukturyzacji sceny partyjnej. I wtedy kwestie wnoszone przez lewicę mogą się stać głównymi tematami, wytyczyć główny konflikt polityczny. Ale nie widzę myślenia o tych nowych rzeczach, które byłyby specyficzne, sztandarowe dla lewicy.

Na przykład?

– Wiele razy w naszych wcześniejszych rozmowach wracaliśmy do kwestii repriwatyzacji, mówiąc, że nie można tych parków, kamienic, fabryk, pałaców oddawać. Do tej pory nic w tej sprawie nie zostało prawnie przesądzone i pelzająca, często złodziejska repriwatyzacja trwa. Urządza się jedynie co chwila jakąś pokazówkę, a to komisja Jakiego, a to jakieś aresztowania, co do których

Formacja lewicowa powinna być czymś więcej niż partią.

dostawał pieniądze z budżetu jako subwencję na działalność statutową. A to są znaczące środki. Konflikty o pieniądze są trudniej rozwiązywalne niż konflikty programowe. Mogą też zniechęcać do dalszych kroków organizacyjnych.

Jakich?

– Przykładowo mówimy o fuzji Wiosny i SLD. A co z innymi grupami lewicowymi? Co z Unią Pracy? Istnieje sporo różnych stowarzyszeń, fundacji, ruchów społecznych, czasopism lewicowych itd. Czy jest koncepcja pracy z nimi? Co ze współpracą ze związkami zawodowymi? A co z podejmowaniem wielkich tematów,

parasolem. Niektóre szybko upadają lub są z definicji niepartyjne, jak KOD czy wiele inicjatyw lokalnych. Trzeba je do lewicy stale przyciągać, wspierać, tam są ciekawi ludzie, popularni w swoich środowiskach. Chodzi nie o struktury, lecz o obecność w bardzo różnych projektach o lewicowym potencjale.

Dla aparatu to coś obcego. Na dodatek konkurencja.

– Manifestację partyjnego myślenia mogliśmy zobaczyć podczas układania list kandydatów do Senatu. Bo jak wyglądały te wszystkie gry Schetyny? Przecież 51 senatorów to nie jest wcale wielki sukces! Ten wynik

- ▶ nie mamy pewności, czy nie kryją się za nimi motywy polityczne.

Ale ustawy zamykającej reprivatyzację nie ma!

– Nie ma. A załatwienie tego aż się prosi! Szczególnie lewica powinna powiedzieć, że kończymy z reprivatyzacją – nic nikomu już się nie należy i to jest sprawiedliwe. Również Kościołowi katolickiemu, Żydom i ich gminom. Do tego potrzebna jest ustawa zamykająca wszelkie majątkowe rozliczenia

i specjaliści od marketingu politycznego od dziesięcioleci dyskutują, kiedy wyborcy podejmują decyzję oraz na ile ich preferencje pozostają stabilne w trakcie kampanii wyborczej. Jest dobrze udokumentowana teza, że podejmują decyzję dość wcześnie. A kiedy zostaje podjęta, to potem jest racjonalizowana i występuje stronna percepcja treści kampanii. Wyborcy przyswajają informacje korzystne dla ich kandydata, a odrzucają niekorzystne.

do elit. Ten establishment, te sądy, ta zagranica.

Zawiść nakręca PiS

PiS ma swoje polityczne *perpetuum mobile*.

– Ta gra nie musi być tak skuteczna, jak była w przeszłości, bo dzieje się w innym kontekście. Pojawiły się nowe tematy: kwestia klimatyczna, smog, zaczynająca się drożyzna, spadający optymizm we wszystkich wymiarach, fatalna reforma szkolna, służba zdrowia, wreszcie Banaś... To uderza w PiS, więc usiłuje ono przykryć trudności różnymi widowiskowymi, czysto politycznymi konfliktami, w których łatwo ożywić emocje i odwołać się do zawiści. Fundamentem poparcia PiS dalej jest resentment, uruchomiona zawiść do bardzo szeroko rozumianych elit. PiS to partia rewanżu za rzeczywiste i wyimaginowane krzywdy ludu. Choć intensywność tych emocji trochę się zamazuje, bo upowszechnia się model wyborcy, który Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski nazywają cynicznym wyborcą.

Ten cynizm nie jest racjonalizacją?

– Tak, jest swoistą racjonalizacją. Odwołując się do Petera Sloterdijka, który inspirował Sadurę i Sierakowskiego, można powiedzieć, że rozum cyniczny jest fałszywą świadomością, która rozpoznaje siebie jako fałszywą. Wyborcy wiedzą, że ci, co rządzą, nie są kryształowi, że bywają nieudolni, nieraz grabią do siebie.

Elektorat lewicy ma nowy profil: najwyższe poparcie wśród wyborców najmłodszych – 18% w grupie 18-29 lat, i przewaga kobiet w proporcji 55% do 45%.

odszkodowawcze z tytułu wojny, powojennych nacjonalizacji itp. I to na poziomie zero bądź prawie zero. Lewica, wnosząc taką ustawę, pokazałaby społeczeństwu, że jest zwrócona w przyszłość i w stronę zwykłych ludzi.

Regulując sprawę z przeszłości?

– Na wnukach czy prawnukach ludzi żyjących 70-80 lat temu nie mogą ciążyć zobowiązania za zniszczenia wojenne, za koszty powojennej rewolucji. Ale te działania nie mogą być przypadkowe, muszą być przemyślane. Lewicy potrzebny jest więc *think tank*, który by przygotowywał takie rozliczenia prawne z przeszłością, uwzględniając też aspekty międzynarodowe. I to jest sprawa pilna.

Bardzo pilna?

– Jedna z pilniejszych, chociaż jedna z kilku. W mojej ocenie jest spore prawdopodobieństwo, że Andrzej Duda przegra wybory prezydenckie. Jeżeli tak by się stało, natychmiast rozpocznie się proces destrukcji osi PO-PiS. Nowa strukturalizacja otwiera szansę dla lewicy.

Kto na prezydenta?

Wybory prezydenckie! Dla wyborców lewicy to była mało komfortowa sytuacja, że jej liderzy tak długo się zastanawiali, kogo w nich wystawić.

– Można to było przedstawiać jako inteligentną grę, czekanie na swój czas, kiedy już reflektory zostaną skierowane na scenę. Wszyscy się zgłosili – a teraz my! Socjolodzy

Dlatego nie można zwlekać! W Polsce, na szczęście dla wyborców lewicy, sytuacja jest nowa. Pojawiły się nowe twarze w polityce. Wbrew pozorom nawet Kidawa-Błońska jest nowa, więc to opóźnienie wielkich strat nie powinno przynieść. A lewica swojego kandydata musi mieć, po to by konsolidował organizacyjnie i ideowo obóz lewicy, pluralistycznie przeciw.

Robert Biedroń spełni to zadanie?

– On musi się definiować właśnie jako główny oponent PiS. Kandydat wartości. Dlatego mówienie o Zandbergu miało sens, Biedroń też ma liczne walory. W tych wyborach lewica powinna być zwrócona ku społeczeństwu. I mniej orientować się na innych aktorów. A Dudę

Kluczem jest sprawa budowy think tanku, umiejętności animowania ruchów społecznych, budowy stowarzyszeń i fundacji.

może w ogóle ignorować. Lewica przeciwstawia się rządowi PiS, Kaczyńskiemu. Zabiega o demokrację i praworządne, socjaldemokratyczne państwo dobrobytu.

Jeżeli więc wybory będą spersonifikowane – Duda ma szansę wygrać. A jeżeli będą się odbywać na zasadzie: my, świątli obywatele, kontra PiS, to Duda przegra.

– Dlatego ze strony PiS bardzo sprytnie wrzucono temat sądów, bo on podtrzymuje mobilizację jego wyborców na bazie ogólnej niechęci

Że w tym, co mówią i obiecują, jest wiele fałszu. Mimo to cyniczny wyborca ich popiera, dokonuje swego rachunku.

Też kradną, ale przynajmniej się dzielą.

– Koncepcja cynicznego wyborcy dość dobrze tłumaczy odporność PiS na afery. Zakładając oczywiście, że informacje o nich do wyborców PiS docierają. Ale pamiętajmy, że ten cynizm charakteryzuje tylko część wyborców PiS, i to tych, którzy mogą się odwrócić, gdy rachunek wypadnie mniej korzystnie. Cynizm zamie-



Nowe pokolenie lewicy:
Krzysztof Gawkowski (1980),
Adrian Zandberg (1979)
i Maciej Konieczny (1980).

cy jako koalicji. No i trzecia płaszczyzna – instytucjonalizacja partii w elektoracie. Mamy wyborców przychodzących z różnych stron. Czy ten elektorat okaże się spójny i trwały? Instytucjonalizacja oznacza stabilność i powtarzalność preferencji wyborczych. Czy ci młodzi wyborcy zostaną? To moment trudny, ale kluczowy – będzie widoczny w sondażach.

Sondaże są takie ważne

– Tak, w demokracji sondaże to quasi-wybory. Na lewicę głosowało ponad 12% wyborców, przy wysokiej frekwencji. I teraz oni czekają, obserwują – czy ci w Sejmie ich nie zawiodą? Jeżeli więc poparcie dla nowej lewicy będzie stabilne, jakieś kolejne inicjatywy będą je powiększać, to zacznie się droga w górę. Będzie działał *bandwagon effect*, lubimy być po stronie partii sukcesu. I wtedy nie będzie przeszkodą zjawisko, które

ni się w złość, gdy wyborca uzna, że jego kalkulacja się zawaliła, że dał się oszukać.

Kto jest twarzą lewicy?

No to jeszcze jedno pytanie o lewicę – brak jednego lidera jej nie przeszkadza?

– To z czasem będzie musiało jakoś zostać rozwiązane. Na razie ten triumwirat jest funkcjonalny, zwłaszcza że formalnie sytuacja jest dość prosta, bo mamy do czynienia z różnymi organizacyjnymi bytami.

Czyją więc w końcu twarz ma obecnie lewica? SLD? A może Biedronia?

– Myślę, że ma twarz Janusa. Nieco niejednoznaczna. Trwa społeczny proces konstruowania wizerunku nowej lewicy. Na razie są migotliwe

teraz laicką i przywiązaną do demokracji, odważną, która zrzuciła worek pokutny. Najważniejszą okolicznością w procesie transformacji lewicy jest jednak nowy elektorat. I ten elektorat będzie szukał potwierdzenia, że zrobił dobrze.

Nie można porzucać Unii Pracy, trzeba zabiegać o OPZZ, o ZNP, o zasłużone fundacje, takie jak Fundacja im. Kelles-Krauza czy Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a.

A tu może być różnie.

– Brak działania, brak aktywności, brak zgody może prowadzić do rozczarowania. To też możliwe. Wynik lewicy może być lepszy, ale może być i gorszy. Socjologowie i politolodzy chętnie badają instytucjonalizację partii i ruchów politycznych. Stopień instytucjonalizacji ruchu czy partii może być oceniany na trzech płaszczyznach. Pierwsza to instytucjonalizacja w wymiarze parlamentarnym – tu jest w porządku, jest jeden klub lewicy i stanowiska zostały rozdane. Instytucjonalizacja partii jako organizacji – ten proces trwa, są wyjściowe struktury, głównie SLD, i pewnie wytworzą się jakieś koordynacyjne struktury lewi-

Nie ma już uzasadnienia dla niedziałania.

elementy tego wizerunku. Raz jest Zandberg w Sejmie jako twarz radykalnie egalitarnej lewicy, a raz Biedroń, który eksponuje prawa mniejszości, jest symbolem tolerancji i Europy. No i jest twarz Czarzastego, który reprezentuje starą lewicę, zakorzenioną w PRL, ale zarazem bardzo

wskazałem na początku rozmowy – mała identyfikacja Polaków z lewicą. Drugim kluczem jest sprawa budowy think tanku, umiejętności animowania ruchów społecznych, budowy stowarzyszeń i fundacji. Żeby formacja żyła wśród wyborców, w społeczeństwie, żeby stała dyskusje i wspólne działania poszerzały poczucie wspólnoty. Nie można porzucać Unii Pracy, trzeba zabiegać o OPZZ, o ZNP, o zasłużone fundacje, takie jak Fundacja im. K. Kelles-Krauza czy Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a i dziesiątki nowych inicjatyw. Teraz już są środki, pieniądze. Aktyw się powiększył. Nie ma już uzasadnienia dla niedziałania.

Robert Walenciak

Grozi nam wielka destabilizacja na Bliskim Wschodzie

Doskonale wiemy jak, ale nie wiemy, dlaczego zginął człowiek numer dwa w Iranie

Rozmawia Jakub Dymek

W Polsce, jak się okazuje, ekspertami od Iranu są wszyscy. Pan jednak – odkładając ironię na bok – rzeczywiście jest człowiekiem, który mówiąc o konfliktach na Bliskim Wschodzie, naprawdę wie, co mówi. Zaczniemy więc od pytania o to, co stało się 3 stycznia tego roku na lotnisku w Bagdadzie.

– Wszystko w tej historii jest ważne, począwszy od miejsca. Niegdyś lotnisko im. Saddama Husajna, dziś Międzynarodowy Port Lotniczy w Bagdadzie, który zresztą znam, bo kilkakrotnie tam bywałem – miejsce reprezentacyjne, bardzo chronione, wizytówka państwa. Niezwykle ważny człowiek, który był ofiarą ataku, czyli Kassim Sulejmani. Powiedzieć o nim, że był legendą w swojej ojczyźnie, w całym świecie szyickim i na Bliskim Wschodzie, to nic nie powiedzieć. Niektórzy porównywali go do amerykańskiego szefa sztabu, szefa służb specjalnych i szefa dyplomacji razem wziętych. I nie ma w tym wiele przesady, bo Kassim Sulejmani, głównodowodzący formacją Al-Kuds, elitarną jednostką w ramach elitarnej służby Strażników Rewolucji, głównej siły militarnej i politycznej w kraju, był szefem elity elit. A praktycznie od 20 lat kreował może nie tyle całą politykę zagraniczną Iranu, ile projekt eksportu rewolucji do różnych miejsc na Bliskim Wschodzie, budując pozycję Iranu jako mocarstwa regionalnego.

Jeśli myślimy o jakichkolwiek wydarzeniach z ostatnich 20 lat – od wojny w Iraku po wojnę w Jemenie i Syrii, gdzie reżim Asada bronił się do upadłego i pomógł mu właśnie Sulejmani, aż po obalenie ISIS w Iraku – w każdym z tych wydarzeń udział brał



DR PIOTR ŁUKASIEWICZ

– analityk Polityki Insight i wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pułkownik rezerwy Wojska Polskiego, attaché obrony w Pakistanie i Afganistanie oraz były ambasador RP w Afganistanie.

sam Sulejmani, jego formacja i jego pieniądze. Nawet w trakcie swojej ostatniej wizyty, zakończonej śmiercią, Sulejmani był tak naprawdę cały czas w drodze; w Bagdadzie znalazł się prosto z Damaszku. Był niezwykle ważny nie tylko mocą swojej charyzmy i wpływów, ale także za sprawą dysponowania gotówką zdolną finansować te najróżniejsze przedsięwzięcia. One w swojej większości były antyamerykańskie, antyizraelskie, antysaudyjskie – bo przecież to tradycyjny spór saudyjsko-szyicki zdominował konflikt na Bliskim Wschodzie. Podsumowując więc, mamy tu i ważne miejsce, i ważnego człowieka, i ważny czas.

Interesuje mnie to, jakiego pojęcia powinno się używać w odniesieniu do tego, jak mówią Amerykanie, „zlikwidowania” przeciwnika. Czy to jest zabójstwo, egzekucja, zamach?



– Ważne jest to, że Amerykanie „zlikwidowali wrogię bojownika” – na razie tym terminem operujemy – i amerykańscy eksperci prawni uważają to za procedurę legalną. Znajdują jej uzasadnienie w przepisach; oczywiście Trump powinien zapytać o to Kongres, czego nie zrobił, i spieramy się tu o kilka proceduralnych kwestii. Ale ja prawnikiem nie jestem i istotne w tym sporze jest dla mnie to, że zaistniała taka prawna możliwość i Trump z niej skorzystał. Pamiętajmy też, że Trump jest niechętnym, ale kontynuatorem tej niezwykłej wojny, jaką jest trwająca przeciw całej czas „wojna z terrorem”. Najłatwiej powiedzieć, i uniknąć przy tym językowych sporów, że Kassim Sulejmani został zabity w ataku przy użyciu amerykańskiego drona. Warto dodać, że to prezydent Obama, wspaniały człowiek i bożyszcze liberałów...

...rozwinął program ataków przy użyciu drona ponad wszelką miarę.

– Dokładnie. Doprowadzając do wręcz masowego zniszczenia na granicy pakistańsko-afgańskiej. Ta dyskusja nie zaczęła się wraz z prezydenturą Trumpa i z nią się nie skończy. Jest to bezpieczne i wygodne narzędzie eliminacji przeciwników.

Czy jest precedensem to, że przy użyciu drona pozbawiono życia



Pogrzeb Sulejmaniego zgromadził setki tysięcy Irańczyków.

kogoś, kto nie jest wyłącznie „wrogim bojownikiem” i bezpaństwowcem, ale człowiekiem pełniącym funkcje państwowe? A przecież Iran jest państwem uznawanym przez USA i nie znajduje się w stanie oficjalnej wojny z nimi.

– W ostatniej dekadzie mieliśmy trzy takie głośne operacje, przy użyciu komandosów lub ataku z drona: zabicie Osamy bin Ladena, przywódcy Państwa Islamskiego Al-Baghdadięgo i teraz Sulejmaniego.

Z pierwszymi dwoma było łatwiej.

– Bo rzeczywiście byli to terroryści, ludzie bez państwa, dopuszczający się nielegalnych ataków itd. Terroryści w pełnym tego słowa znaczeniu. Kassim Sulejmani finansował terroryzm, bo sponsorował Hezbollah i inne grupy, choćby w Palestynie, i można powiedzieć, że odpowiada za śmierć żołnierzy amerykańskich, NATO, pewnie także polskich w Iraku.

Ale zarazem...

– ...był urzędnikiem uznanego państwa, które nie jest z USA w stanie wojny.

Jest to zatem pewnego rodzaju precedens?

– Dużo groźniejsze z punktu widzenia amerykańskiego obywatela było zabicie za czasów Baracka Obamy jemeńskiego terrorysty, acz z amery-

kańskim obywatelstwem, Anwara al-Awlakiego. Wtedy Obama mógł się tłumaczyć, że ten dżentelmen sam się faktycznie pozbawił obywatelstwa, działając zbrojnie przeciwko innym Amerykanom, a warunki były takie, że chował się w jakiejś jaskini w Jemenie. Ale był to rzeczywiście precedens i wybuchowa, bardzo głośna w amerykańskiej opinii publicznej sprawa.

Od 20 lat Sulejmani budował pozycję Iranu jako mocarstwa regionalnego.

My wobec kwestii prawnych zmuszeni jesteśmy czasem przysmaknąć oko i zgodzić się na fakt, że w pewnych sytuacjach mocniejszy jest ten, kto w danej chwili ma drona w powietrzu. W wypadku Sulejmaniego był to w dodatku Reaper, czyli najpotężniejszy dron i najpotężniejsza dostępna w amerykańskim arsenale broń do takich zadań. Prawne rozważania o charakterze tego, jak Amerykanie owego drona użyli, są istotne i ciekawe, ale nie najważniejsze.

Doniosłość tego zdarzenia każe obserwatorom dopatrywać się w nim jakiejś przemyślanej polityki, strategii, wizji. „Rozpoczynamy wojnę!”, mówi polityk. OK, ale w takim razie powinien teraz wytłumaczyć, dła-

go rozpoczynamy wojnę, jaką mamy strategię, aby ją wygrać, i środki, aby ją prowadzić. Gdy Obama ogłaszał śmierć Bin Ladena i udaną akcję amerykańskich komandosów, było to bardzo uroczyste wydarzenie. Również gdy Trump ogłaszał zabicie Al-Baghdadięgo – nawet jeśli zrobił to w skandalicznym, jarmarczonym stylu, opowiadając, jak to pieski goniły kwilącego Baghdadięgo w tunelu, w którym się ukrywał – również mimo wszystko widać było, że jest to element jakiejś strategii Ameryki na Bliskim Wschodzie, w tym wypadku zwalczania Państwa Islamskiego.

A teraz tego nie widzimy...

– Mało tego! Widzimy jakiś chaos informacyjny. Pentagon ogłasza, że to jest właśnie sposób na deeskalację konfliktu. Trump najpierw wywiesza amerykańską flagę, po czym mówi, że chętnie będzie negocjował z Iranem rozwiązanie tego problemu. A kilka godzin wcześniej informuje, że Sulejmani jest odpowiedzialny za śmierć milionów (!) ludzi.

„New York Times” opublikował arcyciekawy materiał dotyczący tego, jak doszło do podjęcia decyzji o zabiciu Sulejmaniego. Otóż w piątek rano czasu amerykańskiego Trump przebywał w swojej słynnej rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie, gdzie rozmawiał o strategii na kampanię 2020 r. ze swoimi doradcami politycznymi. Wtedy dostał wezwanie od łącznika wojskowego, wyszedł na pół godziny i jak wrócił, już się nie odzywał. Wtedy – możemy domniemywać – został poinformowany, że „mamy tego człowieka”, cel jest

w zasięgu i możemy go wyeliminować. I podjął decyzję.

To nie było planowane! To był, jak mówią Amerykanie, *strike of opportunity* – uderzenie przy nadarzającej się okazji. Mówiąc potocznie, akurat się nawinął, bo przebywał na terenie portu lotniczego w Bagdadzie. Po reakcjach medialnych również widać, że mało kto dostrzega polityczny sens w uderzeniu właśnie teraz.

Niedawno mówił pan, że niektórzy mogło zdziwić, że „Trump jest prezydentem pokoju, a nie wojny”. Proszę powiedzieć, dlaczego?

– Tak! Przynajmniej retorycznie. Jeśli czyta się jego książki i zna publiczne wypowiedzi, Trump od kilkudziesięciu lat konsekwentnie

► opowiada się za zmniejszeniem zaangażowania militarnego Ameryki. Nie jeśli chodzi o wydatki na zbrojenia – bo budżet Departamentu Obrony jest za jego czasów rekordowo wysoki – ale jeśli chodzi o wycofanie się z Afganistanu, Iraku, Syrii... W jego poglądzie na świat, w jego instynkcie leży biznesowe podejście do rozwiązywania problemów i kryzysów. I to również niezależnie od tego, co myślimy o jego faktycznych zdolnościach jako biznesmena. Widać to na przykładzie stosunku do Korei Północnej i innych negocjacji, w które Ameryka jest zaangażowana. No więc w moim przekonaniu, paradoksalnie, mamy do czynienia z prezydentem pokojowym – a przynajmniej o pokojowych intencjach. Bo czasem co innego intencje, a co innego wykonanie.

Militarnego starcia Iranu z USA nie będzie.

I teraz, gdy mamy świetną sytuację przedwyborczą: wskaźniki gospodarcze są dobre, bezrobocie szoruje po dnie, kontrkandydaci Trumpa z Partii Demokratycznej nie zapowiadają się na wielkie gwiazdy – Trump mógłby nic nie robić, siedzieć i mówić, że jest mężem stanu. „Ameryka jest bezpieczna, stabilna i tyle – kończymy więc te wojny”, mógłby powiedzieć. Wojny, dodajmy, których wyborcy Trumpa nie chcą. A więc kończymy i czekamy spokojnie na wybory... A w takiej sytuacji nagle dochodzi do zabicia drugiej po ajatollahu Chameineim osoby w Iranie – Sulejmaniego. **I co teraz?**

– Wojny, postawmy sprawę jasno, nie będzie. Militarnego starcia Iranu z USA – które ten pierwszy przegrałby bardzo szybko – nie będzie. Iran ma przestarzałą armię i słabą gospodarkę, także wskutek działania sankcji. Równie zresztą mało prawdopodobnym i straszącym pomysłem wydaje się konwencjonalne uderzenie jakiejś koalicji pod amerykańskim przywództwem na Iran. Ale już uderzenie szyickich bojówek w Jemenie, Iraku i Syrii w cele związane z Amerykanami można wyobrazić sobie bardzo łatwo. Iran ma choćby broń cybernetyczną, czyli zdolność prowadzenia ataków hakerskich. Ale przede wszystkim ma właśnie to, co tak pracowicie budował gen. Sulejmani w regionie – milicje czy ugrupowania szyickie w wielu

krajach, które można rzucić do walki. Nie mówię, że od razu na amerykańskie ambasadę, bo te akurat są bardzo dobrze chronione i przypominają twierdze. Spójrzmy bowiem, co stało się ostatnio w Arabii Saudyjskiej – szyckie milicje ostrzelały rafinerie, poważnie naruszając saudyjski eksport ropy. Saudyjczycy oczekiwali, że Amerykanie odpowiedzą na ten akt, tymczasem Amerykanie w ogóle się nie ruszyli. Ani żeby bronić instalacji przed lecącymi ze strony Jemenu rakietami, ani żeby odpowiedzieć na ten zamach.

Wiemy, dlaczego tak się stało?

– To jest właśnie wstrząsające, że nie! Ameryka jest w Arabii Saudyjskiej od ponad pół wieku z jednego powodu – żeby mieć ropę. Saudowie po raz pierwszy obudzili się w sytuacji, w której ich najważniejszy sojusznik nie reaguje na atak na przemysł produkcji i przetwórstwa ropy.

Ale mówimy chyba również o zagrożeniu bezpieczeństwa narodowego, a nie tylko zakłóceniu produkcji ropy, bo atak miał miejsce na saudyjskim terytorium i dokonano go ponad granicami państwowymi.

– Oczywiście. Choć w istocie ta rafineria była najbardziej widocznym symbolem. Wracając do Iranu – wyobrażam sobie, że tego rodzaju operacje przeciwko sojusznikom Ameryki w regionie: Izraelowi, Saudyjczykom, państwom Zatoki, mogą być realizowane. Ataki na turystów i inne typowe środki współczesnego terroru – to na pewno może zostać wykorzystane i Iran dysponuje takimi środkami. Istotne będą reakcje Rosji i Chin, bo Chiny kupują ropę z Iranu i im powinno zależeć na stabilności w regionie. Te ruchy będziemy obserwować w kolejnych dniach.

W samym Iranie w ostatnich tygodniach i miesiącach zginęło od kilkuset do nawet kilku tysięcy ludzi w antyrządowych demonstracjach. Młodzież – jak co dekadę – wrze. Iran jest państwem rozedrganym politycznie, społecznie, kulturowo. Zabicie kogoś takiego jak Sulejmani – człowieka popularnego, a zarazem poważanego – może doprowadzić do pewnego zgrupowania się wokół sztandaru ajatollahów.

W skrócie zaś nam i sojusznikom Ameryki w regionie grozi wielka re-

gionalna destabilizacja, w tle której jest zagrożenie dla bilansu wielkich potęg: Chin, Rosji, Unii Europejskiej. Tak widzę prawdziwe konsekwencje zabicia Sulejmaniego. Tu też jednak trudno wprost stosować pojęcia z konwencjonalnej politologii.

Trzeba odwoływać się do emocji, psychologii, impulsów?

– Tak. Trzeba odwoływać się do psychologii – bo łatwo mówić: „To jest akt wojny!”, ale trudniej poważnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego teraz. Proszę spojrzeć – z łatwością wymienię możliwe środki reakcji irańskiej, bo to wszyscy potrafią wymienić. Że Iran może zablokować cieśninę Ormuz, to każdy wie. Natomiast wielkie pytanie jest inne: dlaczego to się wydarzyło, skoro wiemy, że będzie to służyło destabilizacji? I to spycha nas na pole psychologii, na którym eksperci tacy jak ja nie powinni czuć się pewnie.

Sytuacja jest o tyle trudna, że można znaleźć argumenty za każdą interpretacją wydarzeń. Ci, którzy uważają, że Iran dąży do eskalacji konfliktu i odpowiedź Ameryki była proporcjonalna, znajdują argumenty. Ale znajdują je i ci, którzy będą przekonywać, że Iran zachowywał się racjonalnie i odpowiedzialnie, a to Ameryka dążyła do eskalacji.

– Tak jest. Jesteśmy zmuszeni spekulować, opierając się na psychologii, gdy chodzi o motywy zabicia Sulejmaniego i postępowanie Trumpa. Ale co do konsekwencji, to wiemy już na pewno, że mamy przed sobą groźne scenariusze.

Rozmowa z dr. Piotrem Łukasiewiczem odbyła się w audycji Jakuba Dymka na antenie Halo.radio 4 stycznia 2019 r. – publikujemy jej skrócony autoryzowany zapis. Całość programu można odsłuchać na stronach i w aplikacji Halo.radio.



Z Galicji



Jan Widacki

Zawsze byłem zdania, że politycy powinni się zajmować teraźniejszością, a nie historią, i myśleć o przyszłości. Politykę historyczną uważałem za niemądrą, w naszej części Europy niebezpieczną i nieuchronnie prowadzącą do konfliktów. Pomijam już to, że dobrze jest, gdy historią zajmują się ci, co się na niej znają, a więc historycy, a nie politycy, którzy niekoniecznie są jej znawcami. Jak tu pogodzić polską politykę historyczną z polityką historyczną Ukrainy? Nie da się. Na razie prowadzi to do ochłodzenia stosunków współczesnych i może zaszkodzić przyszłym.

I jak pogodzić politykę historyczną Polski i Litwy? A co dopiero politykę historyczną Polski i Niemiec, już nie mówiąc o politykach historycznych Polski i Rosji. Nawet z Czechami dzieli nas zapewne pogląd na zajęcie Zaolzia, a ze Słowakami na zajęcie Jaworzyny.

Poseł Arkadiusz Mularczyk, już któryś rok z rządu obliczający wysokość reparacji należnych nam od Niemców, przy okazji Nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk przypominał, że Szwedzi wiele nam zrabowali w czasie potopu

rycznej: a to żebym upomniał się o budynki Uniwersytetu Stefana Batorego, którymi bezprawnie włada teraz jakiś litewski uniwersytet, a to żebym wyrzucił z budynku należącego przed wojną do harcerzy ambasadę amerykańską, bo bezprawnie go zajmuje, a to żebym wymusił na Litwinach bezgraniczną miłość do naszego partyzanta i „żołnierza wyklętego” „Łupaszki”, którego Litwini uważają za ludobójcę. Autorów tych napomnień uważałem za nieszkodliwych wariatów. Myliłem się. Nie przypuszczałem, że to, co uważam za śmieszny i nieszkodliwy margines, zaistnieje w głównym nurcie politycznego dyskursu i jako polityka historyczna stanie się doktryną państwową.

Ostatnio politykę historyczną zaczął uprawiać prezydent Putin. Jak przystało na polityka i propagandzistę uprawiającego historię, mówiąc o Polsce z 1939 r., sprytnie pomieszał fakty i nieprawdy, jednym i drugim nadał swoją interpretację. Faktem jest, że Polska wzięła udział w rozbiórze Czechosłowacji. Faktem jest, że w Polsce panował antysemityzm. Ale nie z tego powodu wybuchła II wojna

Polityka historyczna prezydenta Putina

i właściwie powinni to oddać. Nie jestem pewien, czy nie zażąda on rekompensaty za Madagaskar, którego królem ogłosił się swego czasu Maurycy Beniowski. Tu jednak, jak miemam, sprawa jest bardziej skomplikowana, za trudna nawet dla pośła Mularczyka. No bo, po pierwsze, nie jest jasne, czy Madagaskar miał być (z tytułu tego Beniowskiego) naszą kolonią, jak chciała Liga Morska i Kolonialna, czy też miejscem zesłania (emigracji) Żydów z Polski, jak głosiły rozmaite programy, zresztą także syjonistyczne. Po drugie, nie bardzo wiadomo, kto miałby tę rekompensatę nam wypłacić: Francuzi, którzy pochopnie i bez pytania nas o zgodę przyznali Madagaskarowi niepodległość, czy może sami Malgaszcy? Po trzecie, sprawę komplikuje i to, że Beniowskim, zdaje się, musielibyśmy się podzielić z Węgrami, a że dzielić się nie lubimy (a nawet patriotyzm i jego emanacja w postaci polityki historycznej nam tego zabrania), mogłoby to spowodować konflikt z ostatnim naszym sojusznikiem w Europie, Orbánem.

Gdyby Polska na początku lat 90. XX w. prowadziła politykę historyczną, do dziś nie podpisałaby traktatu z żadnym sąsiadem, nikt nie przyjąłby nas do NATO ani do Unii Europejskiej. Na szczęście w tamtych latach polska polityka zagraniczna była w odpowiedzialnych rękach, a politykę historyczną uprawiano gdzieś na marginesach życia politycznego, w ramach politycznego folkloru.

Jako ambasador w Wilnie otrzymywałem wówczas od polskiej prawicy napomnienia, że nie wolno mi zapomnieć, że „urząduję w stolicy województwa wileńskiego pod czasową administracją litewską”. Dostawałem też liczne inne pouczenia wynikające wprost z polityki histo-

wiatowa. Putin dobrze wie, że ta wojna nie wybuchłaby bez porozumienia Stalina z Hitlerem. Wie, jak zachowywała się Armia Czerwona po wkroczeniu 17 września 1939 r. do Polski, co robiło NKWD. Doskonale wie, co zrobiono z elitą narodu polskiego, wie o zsyłkach, łagrach, masowych zbrodniach wojennych. Putin beczelnie wypacza historię.

Jaka powinna być reakcja na takie wystąpienie Putina? Gdybyśmy przyjęli za zasadę, że to nie politycy mówią o historii, gdyby nasi politycy, mówiąc o historii, nie bredzili czasem (twierdzenie Schetyny, że obóz w Auschwitz wyzwolili nie Rosjanie, tylko Ukraińcy, bo wyzwolił go... Front Ukraiński dowodzony przez marszałka Koniewa), wypowiedź Putina można by zlekceważyć, obśmiać co najwyżej. Historycy, nie politycy, powinni pokazać, że idiota. Ale u nas politycy znają się na historii, uprawiają jednak politykę historyczną, zaczęli więc demonstrować swoje oburzenie, składać oświadczenia, podejmować uchwały. Idiotyczna i przewrotna, z historycznego punktu widzenia absurdalna, wypowiedź Putina znalazła się w centrum zainteresowania, nabrała wagi szczególnej. Aby nie posądzono ich o brak patriotyzmu, w polemikę z Putinem wdawali się także politycy opozycji.

Sprawokowani przez Putina weszliśmy w nowy etap polityki historycznej. Tylko że żaden przywódca państw koalicji antyhitlerowskiej nie poparł naszych polityków, nie wdał się w polemikę z Putinem. Bo oni wiedzą, że ocena historii nie należy do polityków. W rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz w Izraelu będzie przemawiał Putin. Nasza zagraniczna polityka historyczna po raz kolejny pokazała swoją moc.

Rodzice czy kaci?

37% sprawców przemocy wobec dzieci to ich ojcowie, 20% – konkubenci matek

Krystyna Rożnowska

To dziecko ze złamanym oczodołem, o, tu jest ślad buta tatusia – prof. Stanisław Kwiatkowski, neurochirurg dziecięcy z Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie, objaśnia zdjęcie, na którym widać twarzyczkę małego chłopca wykrzywioną bólem. – A to są ślady po sprzączce od paska. Ta kilkumiesięczna dziewczynka ma złamaną kość jarzmową. To niemowlę było duszone, widać jeszcze odcisk kciuka na jego szyi. Gdy kopane jest dziecko, które dopiero zaczyna chodzić, ślady można zobaczyć na wysokości jego kolan – kilkunastominutowa prezentacja profesora jest trudna do zniesienia.

– Mieliliśmy też dzieci przypalane papierosem – prof. Kwiatkowski mówi jednak o tym zwyczajnie, nie może się roztkliwiać nad swoimi pacjentami. Gdy trafia do niego zmalretrowany malec, musi jak najszybciej go zdiagnozować i – jeśli trzeba – operować.

Co jakiś czas słyszymy o ciężkim pobiciu dziecka, o jego skatowaniu, niekiedy na śmierć. Dzieje się to w rodzinie, w czterech ścianach, dokąd nie sięga wzrok sąsiadów czy dalszych krewnych. I to nie tylko w środowiskach biedy i patologii społecznej, narkomanii czy alkoholizmu, ale również w tzw. dobrych domach. Tyle że tam zwykle bardziej dba się o pozory. Gdy słyszymy o takiej tragedii, przez chwilę myślimy z przejęciem o tym, ile to dziecko wycierpiało, ale po chwili kierujemy myśli na inne sprawy. Bo po co się zamartwiać cierpieniem cudzych dzieci, skoro nie mamy wpływu na ich los? Czy jednak na pewno nie mamy żadnych możliwości ich obrony?



Od 2010 r. obowiązuje zupełny zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci.

Zespół dziecka potrząsnego

Niekiedy prof. Kwiatkowski, nawet gdy po zbadaniu dziecka jest przekonany, że było bite, nie znajduje na jego ciele śladów po uderzeniach. – Ta dziewczynka była smagana mokrym ręcznikiem, by nie pozostały ślady po uderzeniach – na ekranie laptopa widzę jej zdjęcie. – Urazy jednak zostały stwierdzone, ale to wymagało dodatkowych badań.

Trudno też udowodnić rodzicom czy opiekunom znęcanie się nad dzieckiem, którego mózg został uszkodzony przez potrząsanie. A nie jest to zjawisko obce, istnieje pojęcie zespołu dziecka potrząsnego. Termin ten jest w użyciu, odkąd

głowa mu opada, oczy kieruje w górę. Główka staje się nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała, bo gromadzi się w niej krew, skóra na niej jest napięta. Często w takich przypadkach dochodzi do zniszczenia nerwu wzrokowego, co powoduje ślepotę.

Dużej uwagi lekarza wymaga także wykrycie śladów po dawnych złamaniach kości czy uszkodzeniach organów. Toteż, jak twierdzi prof. Kwiatkowski, gdy istnieje podejrzenie, że mały pacjent był ofiarą przemocy fizycznej, należy go poddać badaniom specjalistycznym. Jeśli lekarz stwierdzi u niego zagojone złamania ręki, nogi, żeber albo kości czaszki, a w historii jego choroby nie ma wzmianki

Gdy kopane jest dziecko, które dopiero zaczyna chodzić, ślady można zobaczyć na wysokości jego kolan.

w latach 60. w Stanach Zjednoczonych pewna opiekunka tak mocno potrząsała malcem, że uszkodziła jego mózg. Prof. Kwiatkowski wyjaśnia, że przy silnym potrząsaniu dzieckiem mózg nie nadąża za ruchem czaszki i dochodzi do zrywania się naczyń na jego powierzchni. Powstają wówczas krwawienia śródczaszkowe, a w efekcie następuje wzrost ciśnienia śródczaszkowego i obrzęk mózgu. Objawy są niełatwe do wykrycia – dziecko milknie, jest smutne, jego ciało jest wiotkie,

o leczeniu tych urazów, można przypuszczać, że powstały na skutek bicia. Trzeba też wtedy zbadać jego narządy wewnętrzne, by stwierdzić, czy nie ma pęknięcia śledziony, powiększenia wątroby, uszkodzenia płuc lub innych organów albo śladów po wcześniejszych krwawieniach wewnętrznych. Wykonuje się w takich przypadkach różne inne badania specjalistyczne, choćby po to, żeby dowieść, że krwawienia nie zostały spowodowane zaburzeniami hematologicznymi.

Dziecko się nie poskarży

Najbardziej niebezpieczne są jednak urazy głowy, a dokładniej mózgu – prof. Kwiatkowski jako neurochirurg dziecięcy wie o tym doskonale. Pęknięcie czaszki może się zagoić bez groźnych następstw, lecz gdy mózg jest uszkodzony, dalszy rozwój dziecka nie będzie przebiegał prawidłowo. Ale takie zmiany w mózgu może rozpoznać tylko neurolog bądź neurochirurg dziecięcy po wykonaniu badań specjalistycznych. – W takich przypadkach dziecko patrzy w dół, jego głowa jest nadmiernie duża – wyjaśnia profesor.

Wszystkie ślady wskazujące na maltretowanie dziecka trzeba koniecznie stwierdzić w badaniach lekarskich, bo tylko w ten sposób można dowieść rodzicom czy opiekunom, że dopuścili się przemocy. Oni sami z reguły zaprzeczają takim zarzutom. Dziecko maltretowane, nawet gdy jest już nieco starsze, też się

sobie takie pytanie. Istnieje społeczny, moralny, a od pewnego czasu także prawny obowiązek zgłaszania przemocy wobec dzieci. Każdy, kto dowie się o znęcaniu nad dzieckiem – a przestępstwo to jest ścigane z urzędu – ma obowiązek powiadomić organy ścigania. Jednak przestrzegają go tylko ludzie wrażliwi na krzywdę innych. – Jeśli trafia do nas dziecko, co do którego zaistnieje podejrzenie, że zostało pobite, ja jako ordynator zgłaszam ten fakt do prokuratury – mówi prof. Kwiatkowski. – Z rodzicami tych dzieci mam już wtedy mały kontakt, najczęściej widzę ich dopiero na sali sądowej.

A wszyscy inni, którzy wiedzą lub choćby podejrzewają, że dziecko jest maltretowane? Jego sąsiedzi? Krewni? Przypadkowi świadkowie? Na ogół nie śpieszą się ze zgłoszeniem do prokuratury czy na policję. Ludzie nie chcą się angażować w cudze sprawy albo wręcz nie wierzą, że ktoś, kogo spotykają na klatce

odbieramy dziecko matce”, żaliła się. A ja twierdzę, że dzięki takim postawom udało się uratować wiele dzieci, które w domach rodzinnych nadal by cierpiały, a może już zostałyby okaleczone czy pozbawione życia.

Ojcowie biją, matki milczą

Z przeprowadzonych niedawno badań sprawców przemocy wobec dzieci wynika, że ok. 37% to ich ojcowie, 20% – konkubenci matek. Nieco rzadziej maltretują dzieci same matki, częściej ich winą jest bierność – gdy partner znęca się nad dzieckiem, nie zgłaszają tego faktu organom ścigania, boją się stanąć w obronie dziecka. Do przemocy wobec dzieci, również niepełnosprawnych, dochodzi też w placówkach opiekuńczych.

W ostatnich dziesięcioleciach powstały organizacje i instytucje śpieszące z pomocą dzieciom dotkniętym przemocą. Przed 15 laty Anna Grajcarek założyła w Krakowie Fundację Ad Vocem, która zorganizowała szkolenia dla ponad 700 pielęgniarek, nauczycielek i opiekunów nieletnich, by nauczyć ich rozpoznawania ofiar przemocy i pomagania im. Opublikowano także wznowiany dotąd poradnik „Gdy dziecko potrzebuje pomocy”. Pojawiły się opracowania na ten temat, choćby książka Anny Siejak „»Kocham. Nie biję«? Przemoc wobec dzieci w dyskursie publicznym” wydana trzy lata temu przez Biuro Rzecznika Praw Dziecka. Wiele dla obrony dzieci krzywdzonych robi Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Istnieją już placówki, do których mogą się udać kobiety z dziećmi uciekające z domu przed przemocą. Zmieniają się przepisy prawne umożliwiające interwencję w życie rodzin, w których dochodzi do przemocy, pomoc ofiarom, a ukaranie sprawców. W 2010 r. przyjęto ustawę o zapobieganiu przemocy w rodzinie – odtąd obowiązuje zupełny zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci. Trudno określić rozmiar tego zjawiska, szacunkowa liczba ofiar przemocy w rodzinie (dorosłych i dzieci) sięga 100 tys., niektórzy mówią, że jest ich znacznie więcej.

Dużo jednak zależy od wrażliwości społeczeństwa i gotowości do zaangażowania się w obronę osób krzywdzonych, zwłaszcza tych najbardziej bezbronnych – dzieci. ■

Wokół dziecka maltretowanego wytwarza się zwykle pustka.

nie poskarży, bo wie, że wróci do domu i zostanie sam na sam ze swoimi oprawcami.

Rodzice czy opiekunowie w obecności lekarza są zazwyczaj dla dziecka dobrzy, troskliwi, zarzekają się, że nie są sprawcami jego pobicia. Jednak gdy lekarz zdecyduje, że trzeba je przyjąć do szpitala, najczęściej znikają i więcej się nie pokazują. Nie zawsze również takim pacjentem interesuje się jego dalsza rodzina. – Leży teraz u nas ciężko pobity chłopiec, jego rodzice zostali aresztowani. I choć jest już w szpitalu od kilku tygodni, nikt go nie odwiedza – twierdzi prof. Kwiatkowski. – A przecież ma jakichś dziadków, ciotki, wujków.

Dlaczego się nim nie zainteresują? Prawdopodobnie wstydzą się za krewnych i nie chcą mieć nic wspólnego z tą sprawą, żeby nie znaleźć się w kręgu współodpowiedzialnych. I tak wokół dziecka maltretowanego wytwarza się zwykle pustka.

Nieobojętność wymaga odwagi

Kto zatem ma się zająć matym, bezbronny człowiekiem, dla którego rodzice stali się katami? Prof. Kwiatkowski nieraz zadawał

schodowej, kto wita ich z uśmiechem, z pozoru normalny rodzic, dziadek, opiekun, może tak bardzo krzywdzić dziecko. Toteż decyzja o złożeniu zawiadomienia nie jest dla nich łatwa, w dodatku muszą się liczyć z wrogą reakcją czy nawet zemstą oskarżonego. Nie każdy więc decyduje się zarzucić innym takie czyny, zwłaszcza gdy nie jest pewien słuszności podejrzeń. O pewność zaś trudno, kto znęca się nad dzieckiem w obecności innych? W dodatku zawiadomienie zwykle łączy się ze stratą czasu, nerwami i ostracyzmem w środowisku, bo społeczeństwo nie zawsze dobrze ocenia doniesienie na sąsiada czy znajomego, nawet w tak słusznej sprawie.

Prof. Kwiatkowski uważa, że wzrasta społeczna wrażliwość na los dzieci cierpiących z powodu przemocy. Tego rodzaju zgłoszeń jest coraz więcej, choć tylko część trafia do prokuratury. – Ostatnio policjanci, wiedząc, że dziecko zostało pobite, przywieźli je do nas, do szpitala – opowiada. – Doceniłem to, przyjąłem ich z aprobatą, a policjantka mi za to podziękowała. „Ludzie zwykle w takich sytuacjach nie stają po naszej stronie, uważają, że brutalnie

Stanisław Obirek

Prawda o pedofilii w polskim Kościele

Papież Franciszek reaguje na naciski lokalnych społeczeństw. Polska presja była niewystarczająca

Od kilku lat kwestia pedofilii w Kościele katolickim nie przestaje budzić gorących sporów. Dla jednych to najważniejszy problem tej instytucji, dla drugich mało istotny margines rozdmuchiwany przez wrogów Kościoła. Należę do zwolenników tej pierwszej tezy i jestem przekonany, że właściwe rozwiązanie problemu zbrodni popełnianych na nieletnich przez drapieżców seksualnych w sutannach stanowi o wiarygodności tej instytucji. Jak powiedział w maju 2019 r. adwokat z Minnesoty Jeff Anderson, który skierował pięć przypadków nadużyć seksualnych wobec nieletnich do Watykanu, „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”. W istocie tak jest

Pedofilia to najważniejszy problem Kościoła.

i jeśli pomija się ten podstawowy wymiar, traci się możliwość zrozumienia, dlaczego pedofilia w Kościele jest tak istotna.

Dlaczego polskiemu Kościołowi wszystko uchodzi na sucho?

Nurtuje mnie pytanie, które kiedyś zadał mi pewien dziennikarz: „Dlaczego właściwie polskiemu Kościołowi wszystko uchodzi na sucho, nawet pedofilskie skandale?”. Nie potrafiłem na nie sensownie odpowiedzieć, ale często o tym myślę. Prawdą jest bowiem, że w innych krajach, takich jak USA, Chile, Irlandia, Australia, a nawet w ojczyźnie obecnego papieża – Argentynie, karze się przestępców w sutannach. Trafiają oni za kratki, a biskupi, którym udowodniono krycie przestępców, są dymisjonowani, a nawet wydalani ze stanu kapłańskiego. Wystarczy wspomnieć dwa przykłady dostojników kościelnych – amerykańskiego kardynała Theodore’a McCarricka, który w lutym 2019 r. został wydalony ze stanu duchownego, oraz australijskiego kardynała George’a Pella, który od marca 2019 r. odsiadywa karę sześciu lat więzienia za udowodnione przestępstwa pedofilskie. Jeden z najsukceszniejszych obrońców ofiar pedofilów w sutannach w USA, adwokat Mitchell Garabedian, powiedział

5 grudnia 2019 r., że będzie się starał włączyć do sprawy McCarricka również Watykan, gdyż jedna z jego ofiar zeznała, że już w 1988 r. sprawę molestowania przekazała bezpośrednio papieżowi Janowi Pawłowi II. Na razie Watykan pozostawił sprawę bez komentarza, choć papież Franciszek zachęca ofiary nadużyć ze strony księży, by się ujawniały.

W Polsce, owszem, księża bywają karani, ale biskupi to kasta nie do ruszenia. Interesuje mnie nie tyle „kronika wypadków”, ile raczej systemowa odpowiedź na pytanie, dlaczego najbardziej skandaliczne zachowania niektórych biskupów w Polsce są tolerowane i dlaczego wymiar sprawiedliwości traktuje naruszających prawo z wyjątkową wyrozumiałością.

Przypomnę dwie potwierdzające powyższe wrażenie historie hierarchów kościelnych. Jeden był nuncjuszem w kilku krajach, a drugi najpierw ważnym urzędnikiem watykańskim, a później biskupem diecezjalnym w Polsce. Ten pierwszy to Józef Wesołowski. W latach 1980-2014 był dyplomatą watykańskim w różnych częściach świata. W roku 2013,

o której powiedział, że „Wesołowski popadł w konflikt z gangami handlującymi narkotykami i czerpiącymi korzyści z nierządu”. Zdaniem Pipera to było powodem oskarżeń. Nikt tych rewelacji nie sprostował. Los ofiar byłego nuncjusza nikogo w Polsce nie zainteresował. Prowadzący pogrzeb bp Szkodoń podkreślił, że Wesołowski zmarł jako kapłan do końca życia odprawiający codziennie mszę świętą.

Drugi przypadek dotyczy Juliusza Paetza. Jest lepiej znany dzięki mediom, które wyjątkowo obszernie relacjonowały nie tylko pogrzeb 18 listopada 2019 r., ale i zaskakujące zwroty akcji towarzyszące pochówkowi tego hierarchy. Podobnie jak Wesołowski Paetz zrobił w Watykanie błyskotliwą karierę, gdyż w latach 1967-1976 pracował przy synodzie biskupów, a później do 1982 r. był bliskim współpracownikiem papieża Pawła VI, Jana Pawła I i Jana Pawła II. Zdaniem Marcina Przeciszewskiego, prezesa Katolickiej Agencji Informacyjnej, watykańska kariera Paetza została przerwana „zesłaniem do Polski” ze względu na skłonności homoseksualne, o których było wiadomo za Spiżową Bramą. Od 1983 do 2002 r. Paetz był kolejno biskupem w Łomży i Poznaniu. Z tej ostatniej

W Polsce biskupi są kastą nie do ruszenia.

pełniąc funkcję nuncjusza w Dominikanie, został oskarżony o kontakty pedofilskie i rok później wydalony ze stanu kapłańskiego przez papieża Franciszka. Mimo niezbitych dowodów działalności przestępczej nie przyznawał się do winy. Zmarł 27 sierpnia 2015 r., a 5 września odbył się w jego rodzinnym Czorsztynie pogrzeb. Mszę celebrował bp Jan Szkodoń. Na pogrzebie Franciszek Piper, znajomy rodziny zmarłego, wygłosił

funkcji odszedł przedwcześnie, zmuszony do dymisji przez Jana Pawła II, po serii oskarżeń o wykorzystywanie seksualne kleryków. Do końca życia nie przyznawał się do winy, a grupa oddanych mu księży broniła go do ostatka. Tylko dzięki presji opinii publicznej nie został pochowany w katedrze poznańskiej. Nikt się nie zainteresował losem jego ofiar, wielu natomiast bolała nadwyrężona reputacja Paetza.



Abp Józef Wesołowski w Ludźmierzu, 2008 r.

Są też inne przypadki, choćby oskarżenie o wykorzystanie seksualne, które wysunął w maju 2019 r. pod adresem kard. Henryka Gulbinowicza Karol Chum, mówiąc, że doszło do tego, gdy miał 15 lat. Do tej pory nic nie wiadomo, by wymiar sprawiedliwości tym się zainteresował. To samo dotyczy oskarżeń wobec kilku biskupów o ukrywanie pedofilskich przestępców, które pojawiły się w filmie braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”, również mającego premierę w maju 2019 r. Żaden z przedstawionych tam kapłanów nie poniósł odpowiedzialności karnej ani nie przyznał się do winy. Dlaczego tak się dzieje, mimo że od czerwca 2019 r. obowiązuje dokument papieża Franciszka *Vos estis lux mundi* nakazujący informować o podobnych zachowaniach i karać przestępców oraz tych, którzy ich chronią?

Czy w Polsce ten dokument nie obowiązuje, skoro wokół przestępstw biskupów ciągle panuje zмова milczenia? Zapewne powodów jest wiele. Jak się wydaje, główny to brak koordynacji działań. Do te-

go dochodzi niechęć do współpracy ze strony samego Kościoła. Owszem, pojedynczy adwokaci, dziennikarze, katolicy świeccy, a nawet księża próbują pomóc ofiarom, ale opór zarówno biurokracji kościelnej, jak i opinii publicznej jest wprost niewyobrażalny. W imieniu episkopatu działa jezuita Adam Żak jako koordynator kościelny działań mających

ofiarom pedofilii kleru. Jej najważniejszymi dokonaniem były dokumentowanie przypadków pedofilii, doraźna pomoc ofiarom i sporządzenie mapy pedofilii obejmującej cały obszar Polski. Echem w mediach odbiło się przekazanie dokładnego raportu na temat nadużyć kleru i chroniących pedofilów biskupów papieżowi Franciszkowi w lutym

Abp Józef Wesołowski, pełniąc funkcję nuncjusza Dominikany, został oskarżony o kontakty pedofilskie i wydany ze stanu kapłańskiego przez papieża Franciszka.

wspomagać ofiary. Jednak on sam wielokrotnie publicznie twierdził, że często jest po prostu bezradny ze względu na brak współpracy ze strony poszczególnych diecezji.

Jest jeszcze wiele do zrobienia

W latach 2014-2019 działała założona i kierowana przez Marka Lisińskiego Fundacja „Nie lękajcie się”, której główną misją była pomoc

2019 r. w Watykanie oraz jego specjalnemu delegatowi do spraw walki z pedofilią abp. Charlesowi Sciclunowi podczas jego pobytu w Polsce w czerwcu. Szczególnie zasłużone w działaniach i promowaniu fundacji były postanka Joanna Scheuring-Wielgus, radna miasta Warszawy Agata Diduszko-Zyglewska oraz prawniczka Anna Frankowska. Jak dotąd nie było żadnej reakcji Watykanu. W chwili obecnej, wskutek

► nieprawidłowości finansowych, jakich dopuścił się Lisiński, fundacja jest w trakcie likwidacji. Na jej miejsce planowane jest powołanie nowej fundacji, która rozpocznie działalność wraz z premierą drugiego filmu Sekielskich „Zabawa w chowanego” zapowiedzianą na koniec lutego. Jak powiada Tomasz Sekielski, „jest jeszcze wiele do zrobienia w relacjach wymiar sprawiedliwości-Kościół, a Kościół jest wciąż instytucją uprzywilejowaną z niezrozumiałych dla nas powodów. Pokażemy, że Kościół jest traktowany w sposób wyjątkowy, czego nie przewiduje polskie prawo”. Reżyser planuje również trzeci film na ten temat, który obejmowałby nie tylko Polskę, ale także inne kraje: USA, Meksyk, Dominikanę, Niemcy i Irlandię. Jego premiera jest przewidziana na przyszły rok.

Sam Kościół robi niewiele, a większość jego działań ma charakter pozorowany, by wspomnieć o składce biskupów na fundusz dla ofiar pedofilii księży, której wysokość do tej pory nie jest znana. Oprócz wspomnianych przykładów Wesołowskiego i Paetza wiele dowodów dostarcza raport Fundacji „Nie lękajcie się” i wspomniany film „Tylko nie mów nikomu”, który obejrzało ponad 20 mln widzów w Polsce. Film zebrał pochwały ze strony niektórych księży, a nawet biskupów, jednak w praktyce niewiele się zmieniło. Ta sytuacja zwiększa poczucie bezkarności przestępców i bezradność ofiar.

Patrick Wall, Richard Sipe i Thomas Doyle od 2002 r. pomagają ofiarom nadużyć seksualnych księży.

Gdy w 2016 r. pisałem recenzję filmu „Spotlight”, będącego szokującym obrazem tuszowania pedofilii w Kościele amerykańskim, sądziłem, że powinni go zobaczyć przede wszystkim polscy biskupi i księża, zwłaszcza ci, którzy włożyli szczególnie dużo energii w tuszowanie przestępstw pedofilskich. Byłem bowiem przekonany, że podziela na nich jak wstrząs. Dzisiaj już nie jestem tego pewien. A raczej wiem, że ani filmy, ani książki, ani nawet najbardziej poruszające świadectwa nie zmieniają zachowań biskupów ani księży. Jak uczy doświadczenie innych krajów, tę grupę do zmian trzeba zmusić. Są ludzie, głównie w USA, którzy tego



Australijski kardynał George Pell od marca 2019 r. odsiaduje karę sześciu lat więzienia za udowodnione przestępstwa pedofilskie.

dokonali, i warto zapoznać się z ich doświadczeniami, które mogą stać się inspiracją również dla polskiego Kościoła katolickiego. Zetknąłem się z nimi przed kilku laty i są one dla mnie źródłem nadziei, że i w Polsce sytuacja może się zmienić. Warunkiem podstawowym jest zdanie sobie sprawy, że Kościół katolicki ma długą historię chronienia przestępstw pedofilskich kleru i tak naprawdę nigdy z tą zbrodniczą historią się nie zmierzył.

dziej znanym jest proboszcz z Tylawy broniący przez swojego biskupa Józefa Michalika w 2001 r. Swoistą klamrą spinającą takie zachowania jest ogromny autorytet, jakim cieszył się i nadal cieszy papież Jan Paweł II, któremu większość polskich biskupów zawdzięcza nominacje i kariery kościelne. Tymczasem w świetle rozrastającej się gwałtownie literatury poświęconej pedofilii w Kościele to polski papież i jego najbliższe otoczenie są ważnym elementem problemu. Dopóki ta sprawa nie zostanie należycie wyjaśniona, trudno mówić o jego rozwiązaniu.

Odwaga ofiar i opór kościelnego establishmentu

Najważniejszą organizacją skupiającą ofiary nadużyć seksualnych ze strony kleru w Stanach Zjednoczonych jest Sieć Ofiar Nadużyć Księży (Survivors Network of those Abused by Priests), znana pod skrótem SNAP, założona w 1989 r. przez zmarłą trzy lata temu Barbarę Blaine. W chwili obecnej organizacja skupia 1,2 tys. członków w 56 krajach, ma znakomitą stronę internetową z bogatą zawartością. Istotna jest również strona internetowa dokumentująca nadużycia seksualne katolickich biskupów (www.bishop-accountability.org). Zaglądam na te strony, by wiedzieć,

jak wiele się dzieje, jak ofiary nadużyć seksualnych kleru wreszcie są wysłuchiwane i powoli same nabierają odwagi mówić i pisać o swoich traumatycznych doświadczeniach. Jednocześnie widzę, jak wielki jest opór kościelnego establishmentu przed przyznaniem, że to naprawdę jeden z największych problemów dzisiejszego katolicyzmu. Owszem, nie tylko katolicyzmu, ale właśnie to wyznanie buduje przekonanie, że wierność doktrynie gwarantuje prostą drogę do nieba.

W tej religijnej propagandzie szczególnie elokwentny był Jan Paweł II, który łączył, zwłaszcza w ostatnich latach swojego długiego pontyfikatu, retorykę świętości i surowych wymagań z gwałtownymi atakami na współczesność i jej konsumpcjonistyczną kulturę. Tylko nieliczni mieli wgląd w prawdziwy i często pełen sprzeczności charakter polskiego papieża. Jednym ze sposobów dotarcia do istoty osobowości Karola Wojtyły jest poznanie jego stosunku do pedofilii w Kościele. W Polsce ten temat stanowi tabu. Nikt nie chce się wypowiadać, szczególnie po beatyfikacji i kanonizacji zmarłego w 2005 r. papieża. Tymczasem w innych krajach jest to problematyka żywo dyskutowana. Jeden z jej najlepszych znawców, amerykański dominikanin Thomas Doyle, odpowiadając

na moje pytanie, czy to możliwe, by Watykan został pociągnięty do odpowiedzialności w sprawie przestępstw pedofilskich Theodore'a McCarricka, wskazał kilka ściśle powiązanych kwestii. Jego mejl z 10 grudnia 2019 r. jest na tyle istotny w kontekście tego artykułu, że pozwałam sobie przytoczyć go w całości, za zgodą Doyle'a: „Zważywszy na to, co wiem i co mogę ujawnić, jako że jestem w tej sprawie ekspertem razem z Mitchem (Mitchell Garabedian), myślę, że wezwanie do odpowiedzialności Stolicy Świętej może się udać. Nie ma wątpliwości, że oni wiedzieli o McCarricku, nawet zanim został wysłany do Newark (w 1986 r.). Zastanawiam się również,

Prawdziwym spiritus movens watykańskich manipulacji był potężny do niedawna kard. Angelo Sodano.

jaką rolę odegrały pieniądze w jego nominacji na biskupa Waszyngtonu (w roku 2000). Stało się dla mnie i dla innych jasne, że Jan Paweł II był człowiekiem o wielu twarzach. Grał świętego papieża dla tłumów i na zewnątrz, strażnika ortodoksji dla tzw. konserwatystów, ale jego prawdziwa twarz była niewidoczna na zewnątrz. On i jego mały pomocnik Dziwisz byli głęboko skorumpowanymi jednostkami, które pod pozorem pobożności

skrywały brudy (*bullshit*). Byłem i nadal jestem ekspertem w wielu przypadkach Legionu Chrystusa (zakonu założonego przez Marciała Maciela). Napisałem na ten temat ogromny raport, dzięki czemu miałem dostęp do bardzo prywatnych dokumentów. Wynik wskazuje na więcej niż korupcję. Legion Chrystusa był i jest potężnym oszustwem, a Jan Paweł II go chronił, znając brudy Maciela. Ta budowla powoli się sypie, a kiedy jej fasada całkowicie runie, świat zobaczy, że Kościół był prowadzony w złym kierunku przez grupę hipokrytów”. W tym krótkim mejlu jest już właściwie wszystko – diagnoza choroby i wskazanie możliwości jej uleczenia.

O Thomasie Doyle'u zrobiło się głośno w 1984 r., gdy jako prawa ręka nuncjusza Pio Laghiego przygotował dla biskupów raport na temat pedofilii w Kościele amerykańskim. Wówczas ten dokument został zupełnie zignorowany, a jego autor popadł w niełaskę. Doyle był tak głęboko rozczarowany obojętnością biskupów i przejęty cierpieniami ofiar, że od tamtego momentu zaczął działać na własną rękę, rezygnując przy tym ze świetnie zapowiadającej się kariery kościelnej. Ostatni tekst na ten temat napisał pod koniec listopada 2019 r. To okres 35 lat. Wystarczająco długi, by pokusić się o mały bilans wyników jego działań.

Zmagania byłych mnichów z hierarchią

Jednak Thomas Doyle nie był sam. Wiele lat przed nim w sprawę pomocy ofiarom nadużyć zaangażował się psychoterapeuta i benedyktyn Richard Sipe. W latach 1952-1970 udzielał on pomocy psychoterapeutycznej nie tylko ofiarom, ale i przestępcom. Po opuszczeniu zakonu kontynuował tę działalność, stając się światowym autorytetem w dziedzinie seksualności, celibatu i przestępstw księży na tle seksualnym. Napisał na ten temat sześć książek, z których najważniejszą jest „Seks, księży i tajne kody. Historia 2000 lat nadużyć seksualnych w Kościele” ▶



Kard. Theodore McCarrick z USA w lutym 2019 r. został wydalony ze stanu duchownego.

► katolickim” opublikowana w 2006 r. razem z Doyle’em i Patrickiem Wallem. To klasyczna pozycja pomagająca zrozumieć istotę problemu pedofilii w Kościele. Ważniejsze jednak od ustaleń historycznych jest osobiste zaangażowanie każdego z autorów w dramat ofiar nadużyć seksualnych kleru i ich przekonanie, że Kościół może się zmienić. Najmłodszy z tej trójki, Patrick Wall, podobnie jak Sipe przez wiele lat był benedyktynem zaangażowanym w pomoc ofiarom nadużyć seksualnych księży. I podobnie jak starszy kolega zdecydował się pomagać ofiarom również po wystąpieniu z zakonu. Z wykształcenia, tak jak Doyle, jest prawnikiem. Prowadził ponad 200 spraw sądowych i jest w tej chwili uznanym ekspertem w dziedzinie nadużyć seksualnych księży.

Ale najważniejszym osiągnięciem tej trójki nie są książki, setki artykułów czy tysiące wygranych spraw. Tajemnicę ich sukcesu najlepiej określił chyba sam Patrick Wall, który 14 grudnia 2019 r. w mejlu do mnie tak opisał ich wspólne działania: „W trójkę, Richard (Sipe), Tom (Doyle) i ja, spotkaliśmy się w 2002 r., by

odpowiedzieć na poważne pytania związane z nadużyciami seksualnymi księży wobec nieletnich. Mogli na nie odpowiedzieć tylko ci z nas (zajmujących się tymi sprawami), którzy żyli przez lata w zakonie, a potem go opuścili. Przez 16 lat cieszyliśmy się serdeczną przyjaźnią i wspólnotą celu pomocy ofiarom tych nadużyć”.

Myślę, że najważniejsze i wręcz przełomowe znaczenie miało zaangażowanie się tych trzech zakonników, dla których dobrem najwyższym stała się pomoc ofiarom, a nie obrona instytucji. To oni dzięki posiadanej wiedzy, wykształceniu

wym *spiritus movens* watykańskich manipulacji był potężny do niedawna kard. Angelo Sodano, bliski współpracownik Jana Pawła II, Benedykta XVI i do 21 grudnia 2019 r. Franciszka. Tuż przed świętami bowiem ten hierarcha, który mimo ukończenia 92 lat wydawał się nie do ruszenia, podał się do dymisji. Jakże to ma znaczenie, pisze amerykański dziennikarz i autor wielu książek poświęconych skandalom pedofilskim w Kościele, Jason Berry. W niezwykle szczegółowym artykule w „National Catholic Reporter” z 27 grudnia 2019 r., zatytułowanym znamienne

Strona internetowa dokumentująca nadużycia seksualne katolickich biskupów: www.bishop-accountability.org.

prawniczemu, a przede wszystkim ogromnemu zaangażowaniu w losy ofiar nadużyć seksualnych katolickiego kleru wpłynęli na zmianę stosunku społeczeństwa amerykańskiego, w tym katolików, do problemu pedofilii w Kościele. Istotne jest również, że ich odejście z zakonu nie tylko nie osłabiło ich zaangażowania, ale paradoksalnie je wzmocniło. Do dzisiaj Thomas Doyle i Patrick Wall są zapraszani nie tylko na sale sądowe, ale i do instytucji katolickich, by wskazywać, jak Kościół może odzyskać wiarygodność, którą utracił, chroniąc przez wieki pedofilów w sutannach, a zupełnie zaniedbując ofiary i zapominając o ich cierpieniu. To właśnie ich działalność tysiącom ofiar przywróciła wiarę w możliwość przezwyciężenia straszliwych traum i wzbudziła nadzieję na normalne życie. Czy taką działalność uda się rozwinąć w Polsce? Trudno przewidzieć, choć wiele wskazuje, że w najbliższych latach tak się stanie.

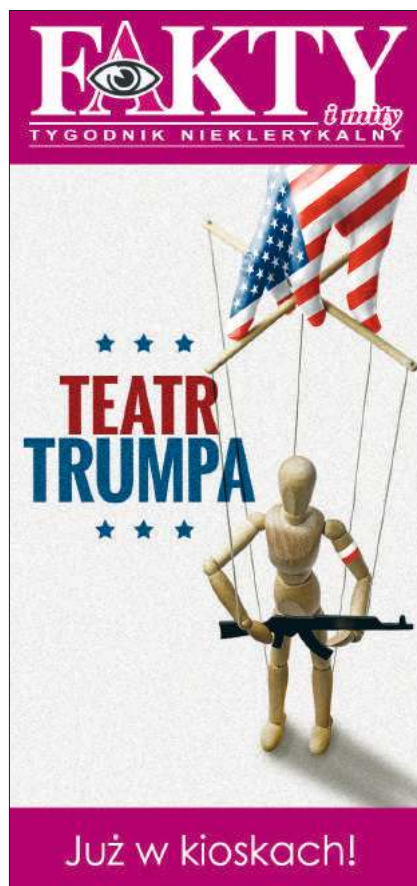
Wszystkie drogi prowadzą do Watykanu

W ostatnim czasie pojawiła się cała seria artykułów wskazująca konieczność uwzględnienia roli Watykanu. Franciszek zdaje się świadomy tej nowej sytuacji i wielokrotnie ponawia gotowość współpracy z lokalnymi sądami państwowymi. Aresztowanie jego bliskiego współpracownika kard. George’a Pella wskazuje, że swoje deklaracje papież traktuje poważnie. Jednak prawdzi-

„Ostatni byk – kardynał Sodano odchodzi”, przedstawił nieograniczone wprost wpływy Sodana w Watykanie. Jedno zdanie warto przywołać, bo tłumaczy tytuł tego ciekawego artykułu: „Podobny do byka deptającego wartości moralne Sodano używał swojego autorytetu, by chronić winnych, blokować reformatorów i pomagać intrygantom”.

Prędzej czy później dowiemy się, kto i kiedy dostarczał tym wpływowym hierarchom łapówki od przedstawicieli Legionu Chrystusa i kard. McCarricka. Media katolickie piszą, że kard. Sodano sam ustąpił z funkcji dziekana Kolegium Kardynalskiego. Jednak Berry sugeruje, że został do tego zmuszony przez Franciszka. Jego zdaniem papież zmienił dotychczasowe przepisy, by pozbawić Sodana stanowiska. Ten bowiem, mimo zaawansowanego wieku, nie zamierzał zrezygnować z funkcji, która od 2005 r. gwarantowała mu właściwie nieograniczone wpływy. Również ostatni papież musieli się liczyć z jego zdaniem. Niewykluczone, że dopiero w chwili obecnej będzie możliwe pociągnięcie Sodana do odpowiedzialności. Zapowiedzią zmian jest zbieżność dymisji tego kardynała z początkiem czystek w Legionie Chrystusa. Zapewne również dla kard. Dziwisza kończy się okres ochronny.

STANISŁAW OBIREK jest teologiem, historykiem i antropologiem kultury, pracuje w Ośrodku Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego, w 2005 r. wystąpił z zakonu jezuitów i zrezygnował z kapłaństwa



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kiedy słucham, czytam, oglądam lamente, dąsy i grymasy nad Robertem Biedroniem jako kandydatem lewicy w wyborach prezydenckich, zaczynam doceniać pomysły skrajnej prawicy, która chce Jezusa uczynić królem Polski. Jezus oznacza poprzeczkę zawieszoną tak wysoko, gdzieś niebiańsko, ponad stratosferą z całą pewnością, że nikt nie podskoczy, poza tym kto by pomstował na Jezusa? W Polsce nawet antyklerykalowie i ateści go lubią, cytują, przypominają i powołują się na niego, kiedy chcą przywalić pedofilom w sutanach, biskupom, którzy ich kryją, czy nienawistnikom w purpurze, takim jak Jędraszewski, całej tej „antyewangelicznej” szczujni. Jezus jest spoko. Nawet jako król. Nikt mu niczego nie

A od kilku dni w naszej lewicowej bajce stękanie nad utyskiwaniem, wypatrywanie kogoś, kto jest skrzyżowaniem św. Franciszka z Che Guevarą, Joan Baez z „La Pasionarią”, Daszyńskiego z Bradem Pittem – naraz oczywiście. I żeby mówił po polsku. I żeby każdy/każda z potencjalnego, wielomilionowego elektoratu z najczystszy sercem i sumieniem mógł/mogła powiedzieć: Mój ci on, wyśniony i upragniony, od dekad wyglądany, nieskalany, proroczy i wspólnotowy, ale ambitny i godny urzędu, bo doświadczony, ale świeży, bo zgrany, ale nowy, bo choć facet, to jednak gej, bo, bo, bo...

Igor Stokfiszewski wałnął w „Krytyce” bez znieczulenia: „Tymczasem Robert Biedroń nie tylko może, ale

sukces”. Nawet nie konkurs na najgłębszą identyfikację programowo-osobowo-charakterologiczną. To walka o zatrzymanie prawicowej dominacji, prawicowej agendy, prawicowej retoryki i języka płynących z Pałacu Prezydenckiego. I to jest zadanie, jak słusznie pisze przywoływany Stokfiszewski, nie tylko dla formacji lewicowych obecnych w Sejmie. Jest to „strategiczne zadanie, przed którym stoi całe środowisko postępowe – lewica parlamentarna i ponadparlamentarna, ruchy społeczne i organizacje społeczeństwa obywatelskiego, wyborczynie i lokalni animatorzy społeczni, związki zawodowe, ludzie kultury, naukowczynie i nauczyciele”.

Być może nie uda się osiągnąć wszystkiego, czego sobie życzymy, ale

Biedroń najlepszy, bo jedyny

wytyka, no, może celibat, ale w końcu jak z tą Marią Magdaleną było, nie tylko Nikos Kazantzakis czy ekranizujący „Ostatnie kuszenie Chrystusa” Martin Scorsese wiedzą lub się domyślają. I tak wtedy Jezus korzysta.

A Robert Biedroń, choć ma mnóstwo zalet i paletę potężnych wad, nie podoba się elektoratowi. Bo ten to nie ta. Bo nawet jak ten, to nie taki ten. A nawet jak taki ten, to nie tak ten jak ten, co tak ten. Był kiedyś taki żarcik, sprzed 2001 r., czyli zamachu na WTC i wojny z terrorem (na której zagubieni Polacy są do dzisiaj w Iraku). Między bliźniaczymi wieżami w Nowym Jorku rozpięto stalową linę, po której, kilkaset metrów nad ziemią, jechał na motocyklu akrobata. W pewnym momencie uniósł się z siodełka, stanął na nim i, dalej jadąc, wyciągnął skrzypce – i zaczął grać. Na dole stało dwóch budowlanców z Podhala, którzy budowali wieżowiec dla Trumpe i jeszcze nie wiedzieli, że im nie zapłaci. Między jednym zaciągnięciem się papierosem a drugim przyglądali się i przysłuchiwali ryzykantowi. W końcu jeden z nich kręci z niezadowolaniem głową i mówi: „No, Menuhin to to nie jest”.

musi zostać prezydentem – pierwszym polskim prezydentem gejem, wywołującym się z ruchów społecznych, o jednoznacznie postępowych poglądach odnośnie do sprawiedliwości społecznej, równowagi ekologicznej, praw człowieka i świeckości państwa. Prezydent Robert Biedroń to przewrót kopernikański w polskiej tożsamości i kulturze politycznej”.

I tak teraz trzeba, po prostu, po bolszewicku i po wspólnotowemu razem i do przodu, bez oglądania się na ogony i maruderów (maruderki). Bo Polska z prezydentem Biedroniem będzie o niebo (tu się zbliżamy do pułapu Jezusowego) lepsza, uczciwsza, bardziej empatyczna, bo zatrzyma, co najgorsze, co fundowała nam prawicowa *praxis* od lat. Jakoś PiS nie lamentowało nad Dudą w 2015 r., Konfederacja nad Bosakiem czy Korwinem obecnie, Platforma nie mogła się opędzić od swoich superpomysłów. Tylko lewica podsuwa teraz sztabom konkurentów/tki argumenty i kumuluje swoje: „a ja uważam”. Otóż walka o prezydenturę w Polsce 2020 to nie jest zabawa w miss/mistera piękności. To nie „Milionerzy” ani „Szansa na

trzeba wreszcie na tym ringu zawalczyć o zwycięstwo, bo tylko to w ostateczności się liczy. Czekają nas kilka miesięcy wspierania, argumentowania, przekonywania i jednoznacznego poparcia. Mamy takiego kandydata i jest to nie tylko bardzo dobra kandydatura, ale także najlepsza kandydatura. Bo jest! Nie ostatnia, ale torująca drogę do poważniejszych zwycięstw politycznych. Nie zmarnujmy tego naszego alejauważanizmem. Nie stać nas na to. Nie chcemy Jezusa króla, chcemy Biedronia z lewicy na prezydenta. Do boju!



Anders na białym koniu nie przyjechał

Wstydliwie przemilczana rocznica wyzwolenia Warszawy

Rozmawia Ewa Smolińska-Borecka

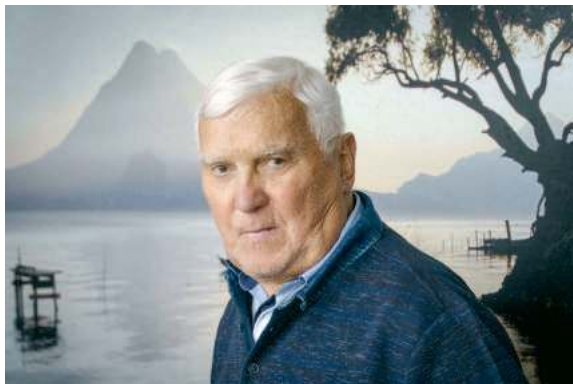
17 stycznia 1945 r. ukazał się dodatek nadzwyczajny „Życia Warszawy”. Redakcja wielką czcionką donosiła: „Warszawa wolna!” i informowała, że o godz. 10 tego dnia do lewobrzeżnej części stolicy wkroczyły od południa i północy Wojsko Polskie i Armia Czerwona. Jednocześnie na tyły wojsk niemieckich od zachodu uderzyły brygady pancerne, a w mieście wciąż trwały walki z odosobnionymi grupami nieprzyjaciela.

Przez lata 17 stycznia był obchodzony jako ten dzień, kiedy stolica kraju, a więc w pewnym sensie jego serce, została wyzwolona spod okupacji niemieckiej. Teraz tę datę się przemilcza. W wydanej przez IPN książce „Od niepodległości do niepodległości. Historia Polski 1918-1989” informacje dotyczące wyzwolenia ziem polskich spod okupacji niemieckiej zawarto w rozdziale „Utrata niepodległości”. Data wyzwolenia stolicy z rąk niemieckich w ogóle w książce się nie pojawia. Młode pokolenie, szczególnie uczniowie przygotowujący się do matury, do których książka jest adresowana, nie będą mieli szansy się dowiedzieć, co wydarzyło się 17 stycznia, kilka miesięcy przed dniem zwycięstwa. Zaskakujące?

Należy pan do osób, które rok 1944 i początek 1945 przeżyły w stolicy, konkretnie na Saskiej Kępie. Ale chyba nie do końca miał pan świadomość, co wtedy się działo w Warszawie, skoro miał pan zaledwie siedem lat.

– Faktycznie byłem dzieckiem, na tajnych kompletach chodziłem do

ANDRZEJ KOTNOWSKI



pierwszej klasy podstawówki. Ale na pewno byłem bardziej dojrzały niż obecne siedmiolatki, bo czasy wojny przyspieszały dojrzewanie. Trzeba brać pod uwagę, że był to okres bardzo dramatyczny i kilkulatki mniej zajmowały się dziecięcymi sprawami, a bardziej żyły problemami ludzi dorosłych. Pamiętam, jak do naszego mieszkania weszło

Pamiętam, jak we wrześniu 1944 r. po raz pierwszy zobaczyłem polski zwiad. Jakie to było przeżycie!

gestapo i żołnierze trzymali moich rodziców na muszce, a ja bałem się, że ich zabiją. Pamiętam, jak nad Wisłę zajechały niemieckie budy, które przywoziły ludzi z łapanek, jak prawie 300 osób wyprowadzono na plażę i rozstrzelano, a ja i moi koledzy byliśmy świadkami tej tragedii. Pamiętam, jak we wrześniu 1944 r. po raz pierwszy zobaczyłem polski zwiad. Jakie to było przeżycie! Samochód z żołnierzami jechał od wschodu, przez pola prawobrzeżnej Warsza-

wy. Widziałem biało-czerwone poręczki. Jak się potem okazało, żołnierze na czapkach mieli orły bez korony, ale to wówczas miało mniejsze znaczenie. Ważne było, że byli to polscy żołnierze i czuło się, że czas niemieckiej okupacji dobiega końca. A dwa dni później wkroczyło Wojsko Polskie. Dopiero potem Armia Czerwona. Pamiętam, jak w jednym

z prywatnych domów na Saskiej Kępie armia Berlinga zorganizowała szpital polowy. I jak we wrześniu 1944 r. polscy żołnierze na czółnach pokonywali Wisłę, żeby się przedostać na lewy brzeg i udzielić pomocy powstańcom. A potem przywozili pokancerowanych żołnierzy do szpitala wojskowego niedaleko naszego domu. Takich obrazów się nie zapomina. A ilu chłopców zostało rannych, bo rozbijało pociski. W rezultacie mimo tych siedmiu czy ośmiu lat człowiek był prawie dojrzały.

Ojciec nasłuchiwał jakiegoś radia, londyńskiego albo innego, mimo że groziła za to kara śmierci. On, mama, znajomi emocjonowali się Stalingradem, Kurskiem. Ludzie tym żyli. To nie było tak, jak dziś się mówi – że Polacy uważali, że idzie okupant. Ludzie mieli nadzieję, że zbliża się koniec okupacji niemieckiej. Sądzę, że nawet 85% narodu wołałoby, żeby wolność przyniosła nam nie armia Berlinga, ale Anders na białym koniu.

Andrzej Kotnowski – rocznik 1938. Absolwent Wydziału Budownictwa na Politechnice Warszawskiej. Równocześnie z podjęciem pracy zawodowej jako inżynier rozpoczął studia na Wydziale Afrykanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Sprawował wiele kierowniczych funkcji w dużych przedsiębiorstwach budowlanych. Za pracę przy realizacji bardzo poważnych inwestycji został odznaczony wysokimi odznaczeniami państwowymi, a za udział w odbudowie stolicy dwukrotnie Złotą Syrenką – odznaką honorową „Za Zasługi dla Warszawy”. Przez całe życie pracę w branży budowlanej łączył z wielką pasją do podróżowania po świecie i fotografowania. Od 2000 r. sam wydaje albumy ze zdjęciami ze swoich wypraw. Szczególne miejsce w jego sercu zajmują kraje Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

Ale on, a właściwie front zachodni, się nie śpieszył. Uważam, że Zachód cynicznie czekał na rozstrzygnięcie na wschodzie. Dopiero jak się zorientowano, że Stalingrad i Kursk to klęska Niemiec i że wojska radzieckie błyskawicznie zaczęły się zbliżać do Berlina, zdecydowano się na lądowanie w Normandii, bo zachodni politycy bali się, że Armia Czerwona może dojść do Paryża.

Jak Saska Kępa reagowała na pojawienie się armii Berlinga, a potem Armii Czerwonej?

– W pamięci utkwiło mi nie przybycie armii polskiej, czyli piechurów, ale moment, kiedy ulicą Francuską, jedną z głównych ulic Saskiej Kępy, jechała kolumna radzieckich czołgów. Ludzie rzucali kwiaty, wiwatowali, płakali ze szczęścia, że ta gehenna, ta ciągła groźba śmierci wisząca nad głową się kończy. Teraz przedstawia się to w sposób zakłamanym, twierdząc, że Polacy bali się Armii Czerwonej, traktując ją jako nowego okupanta. Tymczasem ludzie w Warszawie przez lata niemieckiej okupacji żyli w strachu. Zajeżdżały budy, zgarniano ludzi z ulicy. Zwyczajnych, którzy nie walczyli w ruchu oporu, po prostu byli zakładnikami. A rozstrzelania to nie było 5-10 osób, ale 120-150. Rozstawiano ludzi pod murem albo na plaży nadwiślańskiej. To było straszne.

Niemcy czy Japonia wyciągnęły naukę z doświadczeń wojny. Pracowałem kilka lat w RFN, a potem w zjednoczonych Niemczech, i miałem

Przez część społeczeństwa jest to jednak odbierane jako zamiana jednej okupacji na drugą.

– Jak tak można mówić?! Czy można sobie wyobrazić, że Armia Czerwona, licząca 1,5 mln ludzi, przechodzi przez terytorium Polski, a potem – jak uważają nasi światli przywódcy – dochodzi do Berlina i wycofuje się z powrotem na terytorium ZSRR? Że przywódcy ZSRR mówią: „A niech tam Amerykanie i Zachód wezmą

To nie było tak, jak dziś się mówi – że Polacy uważali, że idzie okupant. Ludzie mieli nadzieję, że zbliża się koniec okupacji niemieckiej.

sobie Polskę pod swoją agendę”. Przecież już wtedy zaczęła się zimna wojna. Berlin podzielono na cztery strefy. Dlaczego ZSRR miał oddać Polskę? Cały nasz spór o tzw. radziecką okupację wynika z tego, że oczywiście trzeba słuchać strony polskiej, lecz nie tak, jak to się robi teraz, za rządów PiS. Trzeba także słuchać strony rosyjskiej. Jeśli Putin teraz mówi, że Polacy mają swój udział w tym, że II wojna światowa była taka krwawa, to jak pani myśli, o czym on mówi? Moja teoria jest taka: w 1938 i 1939 r. Polska prowadziła tak niejednoznaczny politykę, że Anglicy i Francuzi naprawdę nie wiedzieli, za czym się opowiemy. Trzeba było być kretynem, żeby wejść na Zaolzie, zamiast z Czechami i z ich przemysłem ciężkim, zbrojeniowym, sprzymierzyć się

O tym już rok wcześniej się mówiło. Ale armia Andersa, za obopólną zgodą, wyszła z Rosji na Bliski Wschód i tam utknęła. W rezultacie praktycznie żadnego wkładu w wyzwolenie Polski nie wniosła. Niestety. Rosjanie nie chcieli jej trzymać, bo nie mieli pewności, po której stronie ostatecznie się opowie: radzieckiej czy niemieckiej. Według mnie tragedia rozstrzelania polskich oficerów miała takie podłoże.

Nastroje antyradzieckie były tak silne, że Rosjanie na wszelki wypadek zlikwidowali polską wojskową elitę, bo nie wiedzieli, jak nasi się zachowają. Putin mówi teraz, że Polacy mają swój udział w tym, że wojna wybuchła. Chyba Marian Brandys napisał wspomnienia z oflagu w Woldenbergu, w którym siedzieli polscy oficerowie. Dostarczano im ulotki, że jak armia radziecka się zbliży, to nie powinni chwycić za broń przeciwko Niemcom, tylko może trzeba będzie jej użyć przeciwko stronie radzieckiej. Takie były nastroje. Czego więc polska prawica teraz się spodziewa? Ona się zachowuje tak: nabroji, a potem mówi, że nas prześladują.

Skoro – jak pan uważa – 85% społeczeństwa oczekiwało armii Andersa, jak to się stało, że pana rodzice jej nie wyglądali?

– Wydaje mi się, że u nas w domu była rzetelna analiza sytuacji. Na Saskiej Kępie mieszkała ludność inteligencka. Ojciec to była przedwojenna średnia burżuazja. Miał swoje interesy, hurtownie, ale nie należał do sanacyjnej elity finansowej. W społeczeństwie polskim były silne antysanacyjne nastawienia. Ucieczka rządu przez Zaleszczyki była symbolem, że tamta władza do niczego się nie nadawała. Dlaczego nie przygotowało kraju na uderzenie ze strony Niemiec, tylko szykowano się na uderzenie radzieckie? Strategicznie wojsko polskie nie miało żadnego planu odparcia niemieckiego uderzenia. W środowisku moich rodziców sanacyjna władza była zniechęcona, bo uważano, że wykazała kompletny brak odpowiedzialności za państwo. ▶

Pamiętam, jak we wrześniu 1944 r. polscy żołnierze na czołnach pokonywali Wisłę, by udzielić pomocy powstańcom. A potem przywożono pokancerowanych żołnierzy do szpitala polowego.

odczucie, że społeczeństwo niemieckie zostało nastawione pacyfistycznie. A Japończycy zrobili tak: stworzyli parki pokoju, do których sprowadzają młodzież. Przekonują, że nigdy w żadnej wojnie nie ma zwycięzcy, bo obie strony ponoszą ogromne koszty. Mówimy o latach obecnych, które są konsekwencją tamtej wojny. Nie mogę się nadziwić, że wyrzekliśmy się zwycięstwa. Mówimy teraz, że jedną okupację zamieniliśmy na drugą. A to, że nasza armia doszła do Berlina i załknęła tam polskie flagi, prawica nazywa niemal zdradą narodową.

przeciwko Niemcom. A potem mamy pretensję do Rosjan, że oni robią to samo. Przecież oni w swoim interesie weszli 17 września. Uważali, że odepchną Niemców ileś kilometrów, że stworzą sobie strefę buforową.

Wróćmy do 1945 r. 17 stycznia wyzwolenie stolicy, a dwa dni później defilada w Alejach Jerozolimskich. Byli tacy, którzy mówili: „Nie ciescie się, bo teraz Ruscy będą”?

– Jak się stało w tym tłumie ludzi, to oczywiście można było usłyszeć, że wolelibyśmy Andersa. Ten przyśłowiu Anders na białym koniu.



Oddział 1. Armii Wojska Polskiego na ulicach wyzwolonej Warszawy, 17 stycznia 1945 r.

Plac Trzech Krzyży w styczniu 1945 r.



► Jak marszałek Edward Rydz-Śmigły mógł powiedzieć: „Nie oddamy guzika”? Powinien mieć świadomość, że są w ogóle nieprzygotowani. A współczesność? Jest oburzenie, że Putin tak sobie pozwala mówić. Anglicy i Francuzi przed wojną zaproponowali tzw. wielką koalicję, obejmującą oprócz nich także Polskę i ZSRR. Czyli w 1937 czy 1938 r. chcieli zrobić to, co zrobili potem w czasie wojny – zbudować wielką koalicję, by Niemcy nie mieli żadnej szansy. Polski rząd się nie zgodził. Putin może teraz powiedzieć: skoro tak się zachowaliśmy, to mieliście, co mieliście. **Nadal jednak nie rozumiem tego, że pana rodzina była zadowolona z tego powodu, że Wojsko Polskie, to ludowe...**

– Całe społeczeństwo było zadowolone. Ale to, że wołałoby tę „lepszą” armię, bardziej polską, nie ulega wątpliwości. Utkwiła mi w pamięci taka symboliczna scena: 19 stycznia 1945 r. przeszliśmy z tatą po lodzie do lewobrzeżnej Warszawy. Jest tłum ludzi. I z jednej strony tzy się leją ze szczęścia, że koniec okupacji, a z drugiej strony pytanie: dlaczego

ten Anders nie wkroczył, dlaczego zostawili wolne pole dla armii radzieckiej? Nie przeczę, były silne nastroje antyradzieckie. W moim domu też. Ale przecież, do diabła, armia radziecka była w koalicji z Anglikami, Francuzami i Amerykanami. Prawica mówi, że to się nie liczy. Co to znaczy, że się nie liczy? Co to znaczy, że w Polsce po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej była okupacja radziecka? Głupota polskiej prawicy nie ma granic. Jak słucham obecnego prezydenta, to się za głowę łapię.

W Warszawie przez lata niemieckiej okupacji żyło się w strachu. Zajeżdżały budy, zgarniano ludzi z ulicy. A rozstrzelania to nie było 5-10 osób, ale 120-150.

To jest coś tak bardzo bezczelnego, tak bardzo niewłaściwego. Jak można za burtę wyrzucić znaczną część społeczeństwa i powiedzieć o nim z pogardą: „To komuniści”?! Co to znaczy „żli komuniści”? Nie

liczy się, kto przyczynił się ostatecznie do odrodzenia państwa, do jego odbudowy, stworzenia jego struktury? Komuny prawie w Polsce nie było, demokracji też nie, podobnie jak w 20-leciu międzywojennym. W 1955 r. zdałem maturę. W szkole była religia, łacina, na tydzień zwalniali nas na rekolekcje. A teraz się mówi, że wtedy było prześladowanie

Kościół. Nie przypomina się, że zanim armia doszła do Berlina, w Łodzi powstały trzy uczelnie: akademie medyczna, uniwersytet i politechnika. A u mnie w rodzinie mówi się o tym. Po wojnie rodzina przeprowadziła się z Warszawy właśnie do Łodzi. Ojciec mówił o stolicy: „To miasto nie powstanie z gruzowiska”. Moja rodzina uważała, że to koniec stolicy, jej zagłada. Gdyby był kapitalizm, to według mnie Warszawa by nie powstała. Bo odbudowano ją wysiłkiem całego narodu. A jak kapitalizm może zorganizować wysiłek całego narodu?

Tak jak robi to Owsiak.

– Ale te szpitale, na które zbiera WOŚP, są w całej Polsce, zbiórka nie

SPROSTOWANIE

Artykuł „Znikające pieniądze publiczne” (PRZEGLĄD z 30.12.2019 r.) zawiera nieprawdziwe informacje, tj.:

– nieprawdą jest, że z GITD „wypłynęło 17 mln zł”, potwierdzono utratę ok. 50 tys. zł;

– nieprawdą jest, że GITD „nie potwierdza” utraty 17 mln zł, GITD informacji tej zaprzeczyło.

Alvin Gajadur

Główny Inspektor Transportu Drogowego

Al. Jerozolimskie 94, 00-807 Warszawa

dotyczy tylko Warszawy. A nastroje po wojnie były antywarszawskie. W czasie studiów działałem w ZSP i wiem, że w Krakowie dochodziło do awantur. Krakowianie nie chcieli usiąść przy naszym stole. „Bo wy wszystkie pieniądze, całego narodu, dla siebie bierzecie, jaka to jest sprawiedliwość – mówili. – Sami dopuściliście do tego, że w powstaniu Warszawa została zburzona, a teraz każecie nam za to płacić”.

Dlaczego pana burżuazyjna rodzina zapalała sympatią do ludowego wojska?

– Pani używa niewłaściwych słów. To nie jest kwestia sympatii. Moim zdaniem nie było alternatywy. Rozsądny człowiek widział: Zachód nie chce, czeka, aż Związek Radziecki trochę się wykrwawi, osłabi, i dopiero wtedy będzie wyzwalać Polskę. W końcu zaczął się bać, że Armia Czerwona dojdzie nie tylko do Berlina, ale i do Paryża.

Zrozumiałam, że ludzie nie byli do końca przekonani, że nastąpiło faktyczne wyzwolenie Warszawy.

– W tym środowisku, w którym ja przebywałem, traktowało się to jako wyzwolenie.

Przez wiele lat Polska znajdowała się w strefie wpływów ZSRR.

– Oczywiście, że tak było. Ale czy ja widziałem napisy cyrylicą na ulicy? Czy miałem pieniądze w banku rosyjskim? Czy odczuwałem jakikolwiek radziecki wpływ na życie codzienne? Żadnego. Gomułka miał antyradzieckie poglądy. Mówi się o nim, że komunistą, a on cały czas balansował, żeby utrzymać poprawne stosunki z ZSRR, ale żeby model radziecki nie wszedł do Polski w zbyt dużym stopniu. Jak zobaczyłem, jaki bajzel jest w ZSRR, to pomyślałem: „Boże, całe szczęście, że my się dystansujemy od ich modelu politycznego i gospodarczego”. Uważałem, że jak najszybciej musi się ustrój zmienić, głównie gospodarczy, dlatego że państwo nie jest w stanie przełamać pewnego biernego oporu społeczeństwa, który dominował. Mówi się, że był reżim. Nie do końca prawda. Reżim przejawiał się w ten sposób, że nie można było na ulicy wrzeszczeć: „Precz z Gomułką!”. Ale za to była kompletna anarchia w pracy. Była nadmierna dbałość o prostego człowieka, dziś suwerena. Czy się miało wyniki w pracy, czy nie, to 2 tys. na

życie się należało. Trzeba pamiętać, że to Wałęsa wołał, że wszyscy mamy równe żółtądkę, i wymógł na władzę „wałęsówkę” – 25 % pensji dla każdego zatrudnionego, niezależnie od stanowiska i rezultatów w pracy.

Jaki był stosunek ludzi po wojnie do ludowego Wojska Polskiego? Część generałów to byli generałowie radzieccy. To nie mogło dobrze nastrajać.

– Mimo wszystko po roku 1956 stosunek był dobry, a że często trzeba było ulegać sojusznikowi, to już inna rzecz. Czy Amerykanie nie mają swoich doradców na całym świecie? Czy pani by sobie sprowadziła następną obcą armię do kraju? Radzieckie wojska wyszły bez awantury za Jelcyna. Czy pani sobie wyobraża, że gdyby w Polsce nastrój się zmienił i ktoś by powiedział: „Amerykanie, wyjdźcie!”, to oni by wyszli? Czy nie widzimy, jaka jest sytuacja w Iraku? Naszymi prawdziwymi sojusznikami powinny być państwa Europy Zachodniej, członkowie Unii Europejskiej, choć na uznanie naszych granic na Odrze i Nysie Łużyckiej przez świat zachodni musieliśmy czekać do lat 80. Po 1945 r. gwarantem naszych granic był ZSRR, a Szczecin w ostatniej chwili przyłączono do Polski w wyniku

indywidualnego gestu Stalina. Dlatego jak Stalin umierał, część warszawskiej ulicy płakała. Cały świat zachodni uważał, że przed wojną mieliśmy granice za daleko na wschodzie, że nam się to nie należy. Śląsk sobie wywalczyliśmy, ale wschód musieliśmy oddać, bo nie mieliśmy żadnego wsparcia w świecie zachodnim. Oni mówili: „Was tam jest tylko 15% i na dodatek was tam nie lubią”. To dobrze, że dostaliśmy w zamian cenniejsze ziemie zachodnie. Bo mogli cofnąć wschodnie granice i nic nie dać na zachodzie. Byłem gorącym i aktywnym zwolennikiem zmian ustrojowych i nie wyobrażałem sobie, że w Polsce nie powstanie prawdziwy ustrój demokratyczny ze społeczeństwem obywatelskim, że nie będzie szanowany trójpodział władzy – podstawa ustroju demokratycznego. Dziś zdumiewa mnie tchórzliwa postawa lewicy, która nie obroniła Dnia Zwycięstwa czy choćby dnia wyzwolenia Warszawy – wyzwolenia, w którym brała udział armia Berlinga. To zwycięstwo zawdzięczamy zwykłemu, prostemu ludziom, którzy nie zdążyli do armii Andersa, choć chcieli. O ich poświęceniu powinno się pamiętać. Na wieki.

Ewa Smolińska-Borecka

LIST

Dylemat dzieci i wnuków

Armia Krajowa w Puławach wyszła z podziemia (jak się później okazało, nie w całości) zaraz po wyzwoleniu miasta w końcu lipca 1944 r. przez czołwki pancerne 1. Frontu Białoruskiego. Wśród ujawniających się był mój stryj Wacław Turski. Po ogłoszeniu poboru do wojska nie hamletyzował i zgłosił się do komisji poborowej, chociaż miał pewne szanse zostać wyreklamowanym. Pracował bowiem w Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego, a wojsko zwalniało ludzi potrzebnych instytutowi do jego reaktywacji po zniszczeniach wojennych.

W wojsku stryj został przyjęty bez zastrzeżeń. Mimo że skończył tylko podchorążówkę, mianowano go porucznikiem i skierowano do organizowanej w okolicach Siedlec 2. Armii Wojska Polskiego. Tam powołano go na dowódcę 6. kompanii w 32. pułku piechoty. Dowodząc tym oddziałem, przeżył ciężki czas, gdy brakowało zaopatrzenia, butów, a w początkowej fazie organizacji nawet mundurów. Z tą kompanią zakończył szlak bojowy na Łużycach, gdzie pod miejscowością Niesky (Niska) zginął 19 kwietnia 1945 r., odpierając zgrupowanie Schörnera idące na odsiecz Berlinowi. „Por. Turski padł w nierównym boju, walcząc jak bohater” – tak po starciu donosił kpt. Lipiński, szef oddziału politycznego dywizji.

Dziś dylemat mają moje dzieci i wnuki. Czy powinny być dumne z mojego stryja za podjęcie decyzji o walce wyzwoleniczej w szeregach ludowego Wojska Polskiego, czy – zgodnie z wersją IPN – uznać go za najemnika w polskojęzycznym wojsku pomagającym narzucić Polsce nową okupację? Sądzę, że jest to dylemat wielu rodzin w naszym kraju.

prof. Ryszard Turski



Sprawozdanie mjr. Edmunda Galina-
ta nt. Wojska Polskiego i wojny 1939 r.

(...) Wojna z Niemcami była nieuniknioną koniecznością. Literalnie wszyscy sobie z tego zdawali sprawę od wielu lat. A jednak nie miała żadnych realnych reperkusji w naszym życiu. „Klejenie” przyjaźni z Niemcami było oczywistym złem, ale złem, które wszyscy przyjęli z ulgą. Wreszcie łudzono się, że znajdzie się jakieś „cudowne” wyjście bez wojny, a byli i tacy, którzy zasugerowali się „cudotwórczymi” praktykami naszego „sprytnego” MSZet. To MSZet miało „jakoś tę wojnę odwrócić”, ale jak to się miało stać, z tego nikt sobie sprawy nie zdawał. A w tymże czasie wszystkie brutalne fakty mówiły, że wojna jest przygotowywaną. Te fakty musiały być znane wszystkim czynnikom odpowiedzialnym za losy państwa. Podjęcie kontrprzygotowań było nagłą koniecznością. Wymagały one olbrzymich ciężarów i poświęceń ze strony społeczeństwa. Trzeba było przełamać pokojowo nastrojone społeczeństwo i narzucić realne czynności przedwojenne.

Tego nie uczyniono.

Wszystko natomiast, co uczyniono, to było szamotanie się z nienacką napadniętego człowieka. Trzeba więc powtórzyć twardo komunał: do wojny z Niemcami Polska nie była przygotowaną na żadnym odcinku, (...) o czym Niemcy zdawali sobie sprawę bardzo dobrze.

Nie znalazła się żadna siła w RP, która by zawróciła życie ludności z łożyska mizernej pokojowej wegetacji na drogę zdecydowanych przygotowań wojennych.

Polska z ogólnej masy dochodu narodowego (oczywiście wg orientacyjnych obliczeń) zużywała na cele wegetatywno-konsumpcyjne

Rozbicie Polski uważano w Niemczech za minimum rewanzu.

około 90%. Zaledwie 10% szło na cele inwestycyjne, łącznie z przygotowaniem wojennymi. Odpowiedzialność społeczeństwa jest więc ogólną, ale oczywiście nie równomierną.

Czynnik kierownicze zbyt wiele energii i uwagi poświęcały na utrzymanie politycznego *status quo* i nie usiłowały przełamać pokojowego marazmu nawet za cenę rezygnacji

Rząd klęski narodowej

Polska do wojny z Niemcami nie była przygotowana na żadnym odcinku



Żołnierz Wojska Polskiego i cywile we wrześniu 1939 r. w Warszawie.

z kierownictwa. Nie chciały przełamywać, nie chciały narażać swego stanu posiadania. A przełamać ten marazm można było, stawiając wyraźnie przed oczyma społeczeństwa grozę położenia. Czy były dane wskazujące na grozę położenia – moim zdaniem tak.

Chronologicznie te dane, w bardzo pobieżnym rzucie, przedstawiają się następująco:

1. za „pacyfistycznych” czasów [Gustawa] Stresemanna i [Heindricha] Brueninga – w oficjalnej szkolnej

i nigdy na serio z niego nie zrezygnowano. Rozbicie Polski uważano za pierwsze minimum rewanzu. Te rzeczy musiały być znane naszym czynnikom kierowniczym.

2. Hitlerizm jedynie urealnił i zdyskontował zakonspirowane przygotowywania Republiki Weimarskiej. Z okresu przedseudeckiego miałem możliwość zebrać w Düsseldorfie i w Norymberdze, zaś profesor Zygmunt Wojciechowski w Prusach Wschodnich – materiały bezpośrednio wskazujące na przygotowywanie rozbioru Polski. Materiały te dostarczyłem wojskowym czynnikom decydującym. Charakterystyczną była reakcja na te materiały: „pokazać je w MSZet”. Tak jak gdyby to MSZet było zdolne cudotwórczo zażegnać wojnę i wyperswadować Niemcom ich apetytów. Niestety MSZet chętnie brało na siebie rolę „cudotwórcy” w rozmowach z wojskiem i wszelkimi siłami łagodziło „alarmy wojenne”. W rezultacie reakcje na oczywiste dowody niemieckich przygotowań wojennych

moralnych i materialnych w Polsce były przeważnie manifestacyjne, ale nie egzekutywne. Pocieszano się i po-krzepiano się byle czem. Sztucznie pomniejszano możliwy wysiłek Niemców i wg tej strusiej skali kombinowano polską obronę. Jedynie wojsko w tym dopiero czasie zaczęło działać realnie, ale było za późno. A poza tym w społeczeństwie wprowadzono zły obyczaj sztucznego lekceważenia i świadomego przeinaczania sił wroga („Tandetne” czołgi, głodujące Niemcy, „rewolucja” przeciw hitleryzmowi w razie wojny itp.).

W rezultacie w przededniu wojny zamiast wykuwania zbrojeń moralnych i materialnych kupowaliśmy licencje na niemieckie samochody (Wspólnota Interesów uskuteczniła wpłaty w sierpniu 1939 r.) i byliśmy dumni, że Niemcy jedzą mniej masła od nas. A społeczeństwo nie bardzo miało za złe, że od niego grozę wojny się odsuwa – chociaż by sztucznie.

Nie miałem ani jednej wzmianki w całej prasie polskiej bez różnicy orientacji (którą z obowiązku służbowego studiowałem) o konieczności stopniowego wprowadzania w życie Polski zasad gospodarki wojennej lub też militarnego wychowania młodzieży. Społeczeństwo, wraz z czynnikami kierowniczymi, siedziało wszystkimi swoimi upodobaniami w pacyfizmie moralnym i ekonomicznym i jedynie chyba wstrząs rewolucyjny mógł zmusić do innego, odpowiadającego grozie położenia, sposobu myślenia i działania. *Gros* społeczeństwa polskiego duchowo do wojny nie było gotowe, bo nie tolerowałyby *status quo*.

3. *Anschluss* był przygotowany jako wycinek akcji wschodniej. Reakcja Polski była tragiczna. Dopomagała własnej zgubie. Za to już trudno winić społeczeństwo. Ale nasze czynniki rozpoznające Niemcy są bezwzględnie odpowiedzialne za niedostarczenie danych albo też inne czynniki za niereagowanie na te dane. Jaką mogła być nasza reakcja realna:

- fortyfikacje,
- zbrojenia,
- gospodarka wojenna.

Czynniki decydujące były zdania, że pokój z Niemcami da się wyspekulować, i zajęły uwagę społeczeństwa „tryumfem nad Litwą”.

4. Sudety wraz z całą kampanią przygotowawczą niosły bezpośrednią groźbę wojenną przeciw Polsce.

Nasza sieć dyplomatyczna, konsularna i wywiadowcza musiały mieć te dane. Uczyniliśmy wbrew instynktom samozachowawczym najtragiczniejszą pomyłkę – zabezpieczyliśmy Niemcom rozbiór Czechosłowacji. (...)

Odpowiedź premiera Władysława Sikorskiego na list Sławoja Składkowskiego i Eugeniusza Kwiatkowskiego, 4 listopada 1939 r.

Pan Prezydent R.P. skierował do mnie pismo Panów z dn. 9 ub.m., dotyczące, w pierwszej linii losu b. członków Rządu oraz zgrupowanych na terenie Rumunii urzędników.

Na wstępie zaznaczyć pragnę, iż w piśmie Panów brak jakiegokolwiek śladu zrozumienia sprawy najważniejszej, a mianowicie odpowiedzialności tego rządu za ostatnie wydarzenia, odpowiedzialności tem większej, że uważają się oni za dalszy ciąg rządów

o jedności narodowej¹. Po wybuchu wojny natomiast, nie wahał się odpowiedzieć na powszechne w tym względzie pragnienie narodu nominacją płk. Kostka-Biernackiego, która była urągawiskiem dla społeczeństwa².(...)

Notatka urzędowa w sprawie złotych monet będących w posiadaniu premiera Sławoja Składkowskiego

Komisja Badawcza przy Ambasadzie RP w Bukareszcie

Notatka urzędowa

Były Premier Składkowski był we wrześniu ub. roku w posiadaniu większej ilości monet złotych, otrzymanych od wojewody Tyمیńskiego, a pochodzących z bezprawnie skonfiskowanych depozytów względnie z bezprawnie dokonanej rekwizycji. Komisja Badawcza w Bukareszcie ustaliła dowodnie, że złoto to kwalifikuje się jako bezprawnie przywłaszczzone. Złoto to rozdzielił p. Składkowski między ministrów b. Rządu, z których tylko niektórzy złoto to zwrócili.

Nie zwrócili złota pp. Beck, Roman i Poniatowski. (...).

Książka PRZEGLĄD

Dokumenty z okupowanego kraju i emigracji obnażają rządy sanacyjnej elity

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.

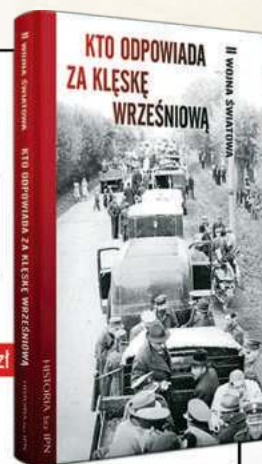
Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

E-BOOK
19,90 zł



45 zł



Fragment książki
Kto odpowiada za klęskę wrześniową,
Fundacja Oratio Recta,
Warszawa 2019

od r. 1926. Jest ona tak straszliwą, jak rzadko bywa w dziejach.

Nie waham się stwierdzić, że w tym stanie rzeczy wszelkie podnoszenie głosu przez rząd klęski narodowej jest czemś nieoczekiwanym.

Nie zapominajcie Panowie, że mimo nieuchronnie nadchodzącej burzy dziejowej rząd Panów ani jej nie przewidział, ani nie chciał dzielić swej odpowiedzialności z narodem. Odzucał on uporczywie wszelką myśl

¹ Chodziło o postulat powołania rządu jedności narodowej.

² Prezydent Mościcki 2 września powołał płk. Kostka-Biernackiego – odpowiedzialnego za Berezę Kartuską – na Głównego Komisarza Cywilnego jako ministra w rządzie Składkowskiego.

Trzy strzały przeciw faszystom

Po trzech tygodniach przekreślania ich swastyki hitlerowcy zaprzestali malowania jej na murach

Przemysław Kmiecik

Coraz częściej widzimy je na demonstracjach, na plakatach, na koszulkach i na internetowych grafikach. Choć trzy strzały są już dość popularnym symbolem antyfaszystowskim, ich geneza jest mało znana. By znaleźć źródła tego znaku, musimy przenieść się do Niemiec, do ostatnich tygodni 1931 r., w czasie katastrofalnego kryzysu gospodarczego, politycznej przemocy, postępującej radykalizacji postaw społecznych i rosnącego w siłę hitleryzmu. Sytuację pogarszała bierność centroprawowego rządu, który patrzył przez palce na kolejne awantury wzniecane przez nazistów.

W Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, głównej sile opozycji, panowały wówczas fatalne nastroje. Rok wcześniej SPD straciła władzę w Rzeszy, po czym pograżyła się w marazmie i systematycznie traciła poparcie. Szybko za to rosły notowania NSDAP, ale zyskiwali także komuniści, których bezkompromisowość trafiała do pogrążonego w kryzysie społeczeństwa.

W środowisku SPD coraz częściej pojawiały się więc głosy wzywające do zmiany polityki partii. Rosło przekonanie, że republikańskiego ustroju nie da się obronić, używając wyłącznie metod parlamentarnych. „Jeżeli inni grożą wojną domową, nie możemy machać gałązką pokoju. Jeżeli strzelają pociskami, nie możemy w odpowiedzi rzucać cukierkami”, przekonywano na jednym z wieców w Berlinie. Rosta też krytyka języka partyjnej propagandy. Zwolennikiem jego zmiany był m.in. biolog Siergiej Czachotin, 48-letni imigrant z Rosji. Jak twierdził, na plakatach SPD dostrzec można głównie „jęki i lamenty”, a konieczne jest pokazanie społeczeństwu siły i energii ruchu socjalistycznego. Uważał, że partia zbyt wiele wysiłku poświęca próbom merytorycznego uzasadniania swych

posunięć, nie doceniając znaczenia prostych impulsów emocjonalnych.

Wściekli naziści

30 listopada 1931 r. Czachotin szedł ulicami Heidelbergu, wzdłuż murów pokrytych swastykami wymalowanymi przez nazistów. Nagle zatrzymał się, bo coś przykuło jego uwagę. Jedna ze swastyk została przez kogoś przekreślona kredą. To był znak, którego Czachotin szukał. „Opracowałem jasny i prosty plan. To musi być robione wszędzie. Żadna swastyka w Niemczech nie może zostać oszczędzona”. By wzmocnić przekaz, Czachotin uznał, że zamiast prostej kreski należy użyć strzały. Następnego dnia zebrał grupę członków Reichsbannera, paramilitarnej organizacji związanej z SPD,

Czachotin uznał, że do przekreślenia swastyki zamiast prostej kreski należy użyć strzały.

która przemaszewowała przez miasto, przekreślając wszystkie napotkane swastyki. Wrażenie było ogromne. Wściekli naziści rysowali kolejne swastyki, które zaraz potem ludzie Czachotina przecinali strzałami. Po trzech tygodniach tej ulicznej wojny naziści się poddali i ich znaki przestały pojawiać się na murach.

Przekonany o skuteczności symbolu Czachotin postanowił dokonać jego modyfikacji. Jedna strzała zmieniła się w trzy, które miały oznaczać jedność, aktywność i dyscyplinę, a więc to, co powinno charakteryzować przeciwników faszyzmu. Jak przekonywał sam autor, „ten symbol, tak łatwy do odtworzenia, że każde dziecko mogło go narysować, miał dodatkową zaletę. Nasi przeciwnicy nie mogli zamalować naszego znaku swoim, bo zawsze wyglądało to tak, jakby to jednak swastyka była przekreślona trzema strzałami”.

Czachotin przesłał szkic symbolu do kierownictwa SPD i proponował, by na dużą skalę użyć go w kam-

panii przed wyborami prezydenckimi w marcu 1932 r. Odpowiedź była jednak chłodna. Berlińska centrala partii poinformowała go, że wykorzysta pomysł, jeżeli uzna go za potrzebny. Nie uznała. Ale Czachotin się nie poddał. Sam odwiedzał lokalne organizacje SPD i Reichsbannera, zachęcając je do wykorzystania symbolu trzech strzał. Uznał też, że socjaliści muszą operować gestem, który stanowiłby będzie przeciwwagę dla faszystowskiego salutu i dla okrzyku „Heil Hitler”. Zachęcał więc, by ustanowić socjalistyczne pozdrowienie w postaci uniesionej, zaciśniętej pięści, wraz z towarzyszącym mu okrzykiem „Wolność”.

Wielu socjalistów zareagowało entuzjastycznie. Był wśród nich Carlo Mierendorff, młody poseł SPD z Hesji. W połowie marca zaprosił Czachotina

do Berlina, by tam zaprezentował on swoje idee przywódcom Reichsbannera. Wciąż jednak napotymano opór. Pojawiały się głosy, że trzy strzały są zbyt nowoczesne i będą niezrozumiałe dla społeczeństwa. Jeszcze trudniej było przekonać liderów partii. Większość kierownictwa SPD przeciwna była tego rodzaju agitacji i upierała się, że od płytkiej i krzykliwej propagandy ważniejsza jest choćby rzetelna działalność oświatowa. „Będziemy wyglądać śmiesznie z tymi wszystkimi bzdurami”, zareagował Otto Wels, przewodniczący partii, na widok trzech strzał. Przywódcy SPD rzeczywiście znaleźli się w niezbyt komfortowej sytuacji. Przecież w poprzednich latach to oni sztychli z nazistów, podkreślając prymitywizm ich propagandy.

Propozycje Czachotina zostały więc odrzucone. Kolejna kampania, tym razem przed wyborami do pruskiego landtagu zaplanowanymi na 24 kwietnia 1932 r., znów prowadzona była w starym, umiarkowanym stylu. I zakończyła się dramatyczną klęską.



Manifestacja Żelaznego Frontu pod flagą z symbolem trzech strzał, Berlin, 1 maja 1932 r.

tać w polskim piśmie „Robotnik”, „rzecz jasna, że członkowie Żelaznego Frontu narażają się na pałki i kule hitlerowców przez samo noszenie trzech strzał. Ale o to właśnie chodzi, żeby zahartować wrogów hitleryzmu i przyzwyczaić ich do stawiania oporu w każdej chwili. Trzy strzały są miarą odwagi i gotowości do walki na śmierć i życie z hitleryzmem. I maszy Żelaznego Frontu z zapalem przywdziewają trzy strzały”.

W trakcie kampanii wyborczej trzy strzały dostrzec można było dosłownie wszędzie. Partia zamówiła milion odznak z tym symbolem i szybko okazało się, że trzeba dorabiać nowe, bo zainteresowanie jest o wiele większe. Trzy strzały znalazły się też na winiecie „Vorwärts”, głównego pisma SPD. W wielu miejscach zawieszano je na budynkach, a na berlińskiej siedzibie związków zawodowych nocami świecił prezentujący je elektryczny neon. Można je było zobaczyć na zakładanych na ramię opaskach, na przywdziewanych przez kobiety czerwonych strojach czy na przymocowanych do rowerów proporczykach. Szczególnie efektownie wyglądały kilkumetrowe metalowe strzały, dumnie noszone przez młodych działaczy socjalistycznych na demonstracjach.

Trzy strzały starano się też wypełnić dodatkową treścią. Na przedwyborczych wiecach wszelkie pozytywne czy negatywne hasła grupowano po trzy, tak by wzbudzić skojarzenie z głównym symbolem kampanii. Raz

Naziści wygrali wybory z przewagą ponad 15%. Okazało się jednak, że jednocześnie socjaliści uzyskali relatywnie niezły wynik w wyborach w Hamburgu. A Karl Meitmann, tamtejszy lider SPD i Reichsbannera, wykorzystywał w kampanii właśnie trzy strzały i inne zaproponowane przez Czachotina metody propagandowe.

Następnym testem miały być wybory do heskiego landtagu 19 czerwca 1932 r. Stamtąd wywodził się Mierendorff i tam udało się przekonać miejscowe kierownictwo SPD do użycia nowych metod propagandowych na szeroką skalę. Przez cztery tygodnie trwała w Hesji efektowna wojna na symbole między socjalistami a nazistami. Czerwone flagi z trzema strzałami były wszechobecne. Działacze SPD rozprowadzili 50 tys. przypinek z trzema strzałami, a na ulicach każdemu salutowali gestem zaciśniętej pięści i okrzykiem „Wolność”. Wprawdzie wybory i tutaj przyniosły zwycięstwo NSDAP, jednak wynik socjalistów uznano za sukces. SPD bowiem nie tylko nie straciła w Hesji poparcia, ale jeszcze uzyskała o 2 pkt proc. więcej niż podczas poprzedniej elekcji.

Milion odznak

Nim jeszcze poznano te wyniki, 14 czerwca kierownictwo SPD spotkało się z Mierendorffem i Czachotinem. Skuteczności ich metod nie można już było ignorować. Tym bardziej że Niemcy po raz kolejny mieli pójść do urn. Na 31 lipca 1932 r. wyznaczono bowiem przyspieszone wybory do Reichstagu. SPD przyjęła w końcu symbol trzech strzał, podobnie jak

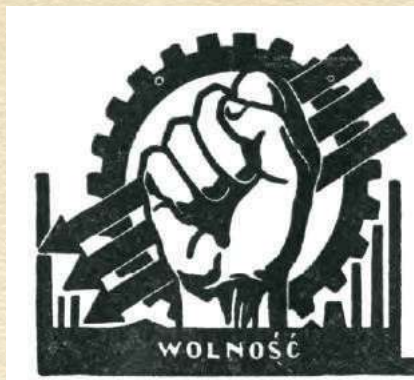
Grupa członków paramilitarnej organizacji związanej z SPD przemaszewowała ulicami Heidelbergu, przekreślając wszystkie napotkane swastyki.

i inne rozwiązania propagandowe zaproponowane przez Czachotina. By podkreślić nowe, bojowe oblicze partii, na szeroką skalę wykorzystano też w kampanii hasło Żelaznego Frontu. Nazwą tą już od grudnia 1931 r. posługiwali się w antyfaszystowskiej działalności przedstawiciele Reichsbannera, związków zawodowych oraz robotniczych stowarzyszeń sportowych. I to ludzie Żelaznego Frontu byli głównymi promotorami nowej symboliki. Jak można było przeczy-

wieć trzy strzały symbolizowały pokój, wolność i chleb, a innym razem oznaczały sprzeciw wobec Hitlera, arystokracji i kapitalizmu. Rozmach kampanii SPD był tak duży, że po raz pierwszy od dawna powstało wrażenie, że to naziści znajdują się w defensywie.

„Gdy komuniści starali się zamazywać hakenkreuz swoim znakiem, swastyka zawsze wyłaziła i przez kilka lat panowała nad ulicą niemiecką – relacjonował w lipcu 1932 r. korespondent

► polskiego tygodnika „Świat”. – Dopiero w ostatnich dniach partia socjalno-demokratyczna zrozumiała znaczenie dobrego znaku partyjnego. W poszukiwaniu przeciwwagi dla swastyki wynalazła trzy równoległe strzały, rzucone ukośnie w dół. Znak ten jest prosty, widoczny, dynamiczny. Nie tylko neutralizuje swastykę, lecz przekreśla ją, niweczy”. I choć nazistowska propaganda próbowała walczyć z trzema strzałami, socjaliści potrafili skutecznie te ataki odparować. „Hakenkreuz przebity strzałami poważnie zaniepokoił główną kwaterę Hitlera. Szukano sposobów na trzy strzały i postanowiono je ośmieszyć. Domalowano parę kresek i trzy strzały stały się trzema niezdatnymi parasolami. Wtedy zaczęto strzały rysować bliżej siebie, tak, aby się nic nie zmieściło wewnątrz. Hitlerowskie dowództwo na to wystąpiło



Trzy strzały na winiecie PPS-owskiego pisma „Łódzianin”, 1938 r.

mniej wpływy hitlerowców zmalały od czasu wyborów do Sejmu pruskiego. Kto zechce się posłużyć koleją miejską, elektryczną, podziemną, autobusem lub tramwajem i objeździe dzielnice berlińskie we wszystkich kierunkach, ten się przekona

Symbol trzech strzał wykorzystał piłkarski zespół robotników z Warszawy, który w listopadzie 1933 r. rozegrał towarzyski mecz w Gdańsku.

z nowym plakatem: trzy strzały przełamano pośrodku i umieszczono nad nimi swastykę. Wtedy dorobiono ostrza w miejscu przełamania strzał, a swastykę przebito na wylot”.

Również inni korespondenci prasowi podkreślali skuteczność propagandy SPD. „Polska Zbrojna” pisała: „Bezstronny obserwator musi stwierdzić, że zewnętrznie przynaj-

naocznie, że dominującą flagą jest wszędzie czerwona z trzema srebrnymi strzałami. W dzielnicach robotniczych tylko ta flaga panuje”.

Wybory nie przyniosły jednak socjalistom oczekiwanego sukcesu. Przekonujące zwycięstwo osiągnęła NSDAP, zdobywając 37,3% głosów. SPD, która od dwóch dekad była najsilniejszą frakcją w parlamencie, tym razem uplasowała się na drugim miejscu, uzyskując ledwie 21,6% głosów. W powszechnej opinii to jednak nie użycie nowych form propagandy wpłynęło na porażkę, ale brak reakcji socjalistów na swego rodzaju zamach stanu, jakim było odwołanie rządu Prus przez władze federalne 11 dni przed wyborami.

Mimo przynębiającego wyniku wyborczego trzy strzały pozostały więc w symbolice niemieckich socjalistów. Szukano też innych sposobów ich wykorzystania. Przed kolejnymi wyborami, w listopadzie 1932 r., produkowano np. paczki papierosów z nadrukiem trzech strzał.

Strzały w klapach

Symbol robił wrażenie nie tylko w Niemczech, ale i poza ich granicami. Socjaliści innych krajów brali trzy strzały na swoje sztandary, z jednej

strony, by podkreślić międzynarodową solidarność w walce z faszyzmem, a z drugiej, by wykorzystać je w walce politycznej na własnym podwórku. W pierwszej kolejności trafiły do Austrii. Jak pisano w listopadzie 1932 r., na ulicach Wiednia „roi się od niezmiernie popularnej antyfaszystowskiej odznaki: trzech strzał”. W tym samym czasie pojawiły się również w Belgii, na Łotwie czy w Czechosłowacji.

Dużą rolę w rozpropagowaniu symbolu miał robotniczy sport. We wrześniu 1932 r., na zjeździe w Liège, znak ten przyjęła Socjalistyczna Międzynarodówka Sportowa, zrzeszająca robotnicze stowarzyszenia sportowe. W spotkaniu nie wzięli jednak udziału reprezentanci Polski, gdyż sanacyjne władze odmówiły wydania paszportów delegatom. Piłkarzom znad Wisły udało się za to dojechać na mecz robotniczych reprezentacji Polski i Niemiec, rozegrany w Lipsku 26 grudnia 1932 r. Na pomeczowej akademii niemieccy socjaliści uroczysto wręczyli polskim towarzyszom odznaki z trzema strzałami, prosząc, by przyjęli je jako swój znak bojowy.

W naszym kraju symbol ten zdobył popularność jesienią 1933 r., głównie za sprawą Polskiej Partii Socjalistycznej. Trzy strzały zaczęły się pojawiać na demonstracjach, a także na winietach partyjnych czasopism. „Noście, rozpowszechniajcie oznakę trzech strzał – symbol walki z faszyzmem, kapitalizmem i reakcją, symbol jedności, karności i aktywności proletariatu”, brzmiało wezwanie opublikowane przez PPS 28 listopada 1933 r.

Wśród pierwszych Polaków, którzy postanowili zmanifestować w ten sposób swój sprzeciw wobec hitleryzmu, znalazł się piłkarski zespół robotników z Warszawy, który w listopadzie 1933 r. rozegrał towarzyski mecz w Gdańsku. Jak donosiła prasa, „sensację wywołało ukazanie się naszej drużyny z trzema strzałami w klapach. Bandy hitlerowskie spoglądały ze szczególną nienawiścią”.

W ten sposób ponad 85 lat temu trzy strzały stały się symbolem międzynarodowym. I choć dopisywano im nowe znaczenia, choć ich interpretacja dostosowywana była do lokalnych warunków, ich podstawowym znaczeniem na zawsze pozostał sprzeciw wobec faszyzmu.

Przemysław Kmieciak



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Zaciska się pętla

Coraz częściej spotykam ludzi, którzy mówią, że chcą, by ich dzieci emigrowały z Polski, a jeszcze kilka lat temu tak nie mówili. Liczne nastolatki, gdy z nimi rozmawiam, też deklarują, że zamierzają zwiewać – za mało tu możliwości, za wiele złych emocji. Czy zostaną tylko starcy i plemię prawdziwych Polaków? Nie jestem aż takim pesymistą. Chociaż tak w ogóle to jestem i od lat zaciemniam krajobraz swoimi felietonami. A jednak irytuje mnie, że wszyscy znajomi są pewni, że przegramy wybory prezydenckie i będzie zamordyzm. Pamiętam nasz skrajny pesymizm, gdy wprowadzono stan wojenny. Byliśmy pewni, że mrok nastał na stulecie, a po ośmiu latach szlag trafił imperium. Teraz to nie potrwa dłużej. Tylko bieda, że za dziesięć lat, jeśli dożyję, będę miał na karku 80. To darowany czas, szkoda mi go.

Zaciska się pętla. Jednego dnia wiadomość o śmierci kolegi z klasy, zaraz potem trafiam na nekrolog znajomej ze Sztokholmu. I nagle dowiaduję się, że moja bliska kuzynka... Ale po kolei. Od lat się gniewam, że ona do mnie nigdy pierwsza nie zadzwoni, tylko ja podtrzymuję kontakt. Na dodatek utopiłem kiedyś komórkę i straciłem jej numer. Zapałem się, niech ona pierwsza zadzwoni. Już nigdy nie zadzwoni. Jest po dwóch udarach. Mieszka w domu opieki. Nazajutrz telefon od przyjaciela, jego żona na nartach we Włoszech miała udar. A zupełnie przed chwilą wiadomość, że poderżnięto gardło mojemu koledze, dziennikarzowi Krzysiu Leskiemu (szlachetny – dwa lata temu nie przyjął odznaczenia od Andrzeja Dudy). Wnioski: trzeba się śpieszyć spotykać ludzi, nie naburmuszać, nie można zwlekać. I trzeba się cieszyć każdą chwilą. I koniecznie załatwić sobie pigułkę, szybką, przyjemną i niezawodną, która w ciągu sekundy przenosi higienicznie i pięknie w nieistnienie. Co warto jest życie bez ładnej puenty?

W maju będzie komunია mojego młodszego synka, Frania. Patrzę na to krzywym okiem. Ani ja, ani żona nie chodzimy do kościoła, żona mówi, że wierzy, ale nie wierzę, że wierzy, a jak wierzy, to doprawdy nie wiem w co. Ja głęboko nie wierzę. Ale moje dzieci lubią lekcje religii. Do kościoła jednak nie chodzą, nie mają z kim, zresztą nie wykazują też ochoty. A księdza nie wpuściłem, jak chodził po kołędzie, chciałem mu oszczędzić przykrych pytań, ja-

kie bym mu zadał. Okazało się, że mają zanotowane, że ksiądz został niegrzecznie niewpuszczony. Wypomnieli to już kiedyś żonie. I ona teraz się boi iść do naszego kościoła, że ją opieprzą i na komunię Frania zgody nie dadzą. Mówię, że ja chętnie pójde i dam im popalić. Żona jednak chce tej komunii. Umywam ręce.

Ale to nie koniec kościelnej męki. Po świętach żona z dziećmi pojechała na kilka dni do leśnego domku kuzynki, tam wiejski kościół, gdzie Franio był chrzczony. Z tego kościoła z kolei potrzebny jest akt chrztu. Ksiądz brzuchaty i grubianin, powiedział, że nie da, nie ma czasu. Nazajutrz też nie będzie miał czasu, ma ważniejsze rzeczy na głowie. Nic go nie obchodzi, że ona jechała z Warszawy. Jak tu wierzyć w polski Kościół? Chcieliśmy dać dzieciom wybór, ale polski Kościół w tym przeszkadza. Jakiś czas temu spotkałem mądrego księdza, który mi się skarżył, że polski Kościół przeszkadza mu w wierze. Nie tylko jemu.

Mój przyjaciel Krzys, autor słynnej stoczniowej „Piosenki dla córki”, mieszka na stałe w Toronto. Ale wiele podróżuje. Zafascynowany teraz argentyńską Patagonią. Na kilka miesięcy osiadł w miejscowości El Chaltén, u podnóża ośnieżonych Andów, gdzie króluje potężny

Nastolatki chcą zwiewać, za mało tu możliwości, za wiele złych emocji. Czy zostaną tylko starcy i plemię prawdziwych Polaków?

biały kiel Cerro Torre w masywie Fitz Roy. Ale nawet na antypodach Krzys nie potrafi uwolnić się od Polski. I cierpi. Pisz mi: „Na YouTube znalazłem skok Kubackiego, a w tle zapiewało narodowy z TVP. I do tej histerii narodowej w głosie musiał dodać oczywiście wątek religijny. Przed nami co najmniej parę tygodni onanizmu narodowego. I ten język mediów – Kubacki zdeklasował, rozwalił, rozniósł rywali. A on taki normalny, skromny chłopak. W języku mediów pełno agresji zaplątanej w kompleks niższości. My już nic normalnie nie możemy – ani wygrać, ani czegoś dokonać, coś osiągnąć. Wszystko musi pawać na głębi innych. Drugi Iran, tylko nie ma kto ich stuknąć z drona. Rzygać mi się chce, gdy słyszę takie świętojeblliwe banialuki. Coraz bardziej czuję się wyobcowany ze współczesnej Polski. Ta szara masa nienawistnych przygłupów przeraża mnie i odstręcza”. Mnie też, Krzysiu, to odstręcza, już nawet polskim sportowcom trudno kibicować, wszystko nam zasrało.

Wiesław Kot

„Często zadają mi ludzie w barze pytanie: Kiedy trzecie »Psy«? – mówił Władysław Pasikowski w 1995 r. – Odpowiadam, że nigdy. A kiedy je nakręcę i schwycicie mnie na niekonsekwencji, to powiem, że kłamałem”.

Faktycznie – kłamał. „Psy 3. W imię zasad” wchodzi na ekrany 17 stycznia. Pierwsze „Psy” miały Polską porządkującą. Drugie miały pokazać, że właśnie dotychczas do Zachodu, bo i u nas działają mafie, a także kręci się filmy za setki tysięcy dolarów. A „Psy” z numerem trzecim? Cóż, zawsze jest moment, że przychodzi kolej na wspomnienia kombatantów...

Dlaczego wspomnienia? Bo tytuł filmu powtarza greps z pierwszej części, a wyjściowa sytuacja fabularna – Franz (Bogusław Linda) wychodzi z więzienia po dłuższej odsiadce i dawny kumpel (Cezary Pazura) pomaga mu się odnaleźć – jest identyczna jak w części drugiej. I jak pierwsza część waliła na odlew w bogoojczyńnianą gębę ówczesnej Solidarności, tak obecne „Psy” dokładać będą PiS i jego suwerenowi. Z tym że nie na pewno. Bo zeszłoroczny film Pasikowskiego „Kurier” o Janie Nowaku-Jeziorańskim był pod tym względem obły. W sumie – kompletne

PSY

Szok sterowany

Jak pierwsza część waliła na odlew w bogoojczyńnianą gębę ówczesnej Solidarności, tak obecne „Psy” dokładać będą PiS i jego suwerenowi. Z tym że nie na pewno

przez następnych 30 lat. Widownia obejrzała – i zdębiała. Film był tak odmienny od wszystkiego, co pokazywano, że zupełnie nie było wiadomo, jak się do niego obrócić. Na konferencji prasowej po projekcji Pasikowski otworzył butelkę coli i próbował wlać nieco napoju do szklanki. Siedziałem blisko i pamiętam, że z nerwów, jak też film zostanie przyjęty, ręka tak mu się trzęsła, że ledwo trafiał. Z miejsca ruszył atak patriotycznej krytyki na scenę, w której pijani ubecy śpiewają o Janku Wiśniewskim, wynosząc ze stołówki kumpla zalanego w sztok.

ryjka policyjna, na którą w trakcie kręcenia „Krolla” wpadł Olaf Lubaszenko. Juliusz Machulski, szef zespołu Zebra, pomysł pochwalił, ale scenariusz odrzucił. Że niby szkoda pieniędzy na szaradę kryminalną, która toczy się wszędzie i nigdzie. Niech się to rozgrywa tu i teraz! „A co się rozgrywa tu i teraz?”, zapytał Pasikowski. Szybko mu donieśli: byli ubecy palą akta konfidentów, niektóre sobie zatrzymują, żeby szantażować tych, którzy się ustawili przy nowej władzy. Kto żyw przerzuca się na narkotyki, zwłaszcza na nowość, amfę. A poza

Efekt świeżości był w 1992 r. tak silny, że na Maurerze wzorowały się miliony mężczyzn. Choć zaledwie trzy lata po zmianie ustroju powinno być odwrotnie.

dziwadło. Nowak-Jeziorański z jednej strony wygłasza patriotyczne referaty, a z drugiej działa – w warunkach twardej okupacji – jak chimeryczny urazowiec, a nie dyplomata i konspirator. „Ani dupa, ani ojczyzna”, mawiają filmowcy w takim przypadku. Ale nawet jeżeli trzecie „Psy” okażą się tylko popłuczynami, to i tak można będzie na nich zarobić. Taką siłę ma etykieta. „Etykiety najczęściej dostaje się niesłusznie, chyba że jest się wódką”, mówił niedawno reżyser. Ta zasada dotyczy jednak i wódki, i filmów Pasikowskiego, gdzie zresztą wódki pije się o wiele więcej niż w innych filmach.

Film inny niż wszystkie

Takiego wstrząsu jak tej listopadowej nocy 1992 r., kiedy na festiwalu w Gdyni po raz pierwszy pokazano „Psy”, nasze kino nie odnotowało

Redaktor Maciej Pawlicki aż się zachłynał z oburzenia, że – owszem – należy rozrywać narodowe rany, by się nie zabliznyły itd., ale „to, co pan wyprawia, przekracza wszelkie granice”. Inni pytali, o co właściwie chodzi z tymi teczkami, co to je rzekomo ubecy palą, bo jakoś mało się o tym słyszy. A jeszcze inni chcieli wiedzieć, dlaczego pan Linda ściął włosy, skoro w lokach było mu do twarzy. Tego przystrzyżonego Lindę poprosiłem zaraz o chwilę rozmowy i – ciągle oszołomiony – mówię w ten deseń, że sądząc po reakcjach, powinien się szykować na objęcie pozycji nowego Cybulskiego czy Olbrychskiego. Na to pan Bogusław, przeciągając sylaby, jak mi się wydawało, w nieskończoność: „Bardzo pan miły, ale gdzie mnie tam do Olbrychskiego...”.

A szok był planowy i nie. Początkowo miała to być warszawska histo-

tym przestali się pieścić – strzelają do siebie jak w Chicago w czasach prohibicji. Do tego Pasikowski usłyszał, że jego kumpla akurat puściła kantem dziewczyna, z zawodu modelka. Zdradziła go z najlepszym kolegą i wyjechała z nim do Paryża. Złożenie tego w całość zajęło Pasikowskiemu i Lindzie całą niedzielę. Połowa dialogów Władka, połowa Bogusia, niektóre są słyszane. Operatorowi Pawłowi Edelmanowi nie trzeba było tłumaczyć, gdzie ustawić kamerę. Nakręciło się całą historię raz-dwa. Awantura wybuchła dopiero wtedy, gdy publiczność to sobie spokojnie obejrzała.

Nasz przystojny bohater romantyczny

O kogo było najwięcej zamieszania? O Franza Maurera, ubeka usuniętego ze służby. A tak naprawdę



o nowego bohatera i więcej – o nową postać kulturową, której rodzima widownia jeszcze nie oglądała. A właściwie widziała, ale dawno, i zapomniała. W każdym razie efekt świeżości był w 1992 r. tak silny, że na Maurerze wzorowały się miliony mężczyzn. Choć – na zdrowy rozum – zaledwie trzy lata po zmianie ustroju powinno być odwrotnie. Przecież ubek relegowany ze służby to modelowy antybohater, postać odrażająca, widownia na jego widok powinna płuć na ekran. A tu nagle takie ogólnonarodowe zakochanie...

Rozłóżmy więc tego ubeka na części. Niegłupi, bo studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim ukończył z wyróżnieniem. I nie taki idiota, by tyrać w sądach za średnią krajową. Wiedział, gdzie stoją konfitury – wstąpił do SB, ale do roboty operacyjnej się nie przykładał. „31 nagan, 18 pochwał”, wypomną mu na komisji weryfikacyjnej. Słowem – raczej olewał robotę, niż szarpał. Ale żeby go nie posunęli z posady, ubezpieczył się ożenkiem z córką wiceministra spraw wewnętrznych. I nie przeszkadzało mu, że „to zła kobieta była”. Cynik? Niekoniecznie. Zastrzelił najlepszego kumpla, gdy temu odbiło i zaszantażował szefów, że jak nie dostanie podwyżki, to zabije własną córkę. I ta zadra ciągle w nim tkwi. Poza tym Franz wkracza właśnie w smugę cienia. W lustrze widzi faceta po przejściach, rzadko całkiem trzeźwego, z workami pod oczyma. Linie jeszcze trzyma, porusza się sprężysto, czujnie, kocimi ruchami, zawsze przygotowany na atak. Włosy przycięte krótko przy skroni, zamiast płaszcz

lotnicza kurtka, sposobna do pościgu i do chowania giwery. Przekonuje się przecież, że tak naprawdę może liczyć tylko na swoją spluwę. Bo jego świat wali się w gruzy. Do fundamentów. Ze służby wyrzucili go z wilczym biletem. Kumple z SB poszli w rozsypkę, większość „świętuje służbę u nowych panów”. Dziewczyna, którą wydobył z rynsztoka i pokochał późną, za to gorącą i opiekuńczą miłością, zdradziła go z najlepszym kumplem. Co mu w tej sytuacji zostało? Ano – zasady. Ta wewnętrzna, moralna busola. To ona każe mu zastrzelić zdradzieckiego kumpla, byle tylko przywrócić w jego świecie elementarną równowagę moralną.

Znamy? Znamy. I to z mnóstwa lektur szkolnych. To one – oczywiście podprogowo – podpowiadały masowej publiczności, że Franz jest w sumie w porządku. Dlaczego? Ano dlatego, że Maurer cały był zrobiony i z Konrada z III części „Dziadów”, i z Kordiana, z księdza Robaka, z bohaterów Josepha Conrada i z „Kamieni na szaniec”. Toż to – wypisz wymaluj – bohater romantyczny sezonu '92. Przy tym pokazany bez mazgajstwa naszych cierpiących za ojczyznę inteligentów, bez użalania się nad sobą. Mówi krótko, dosadnie, frazą ekspresyjną, mocną, trafiającą w cel. A dookoła niego panoszą się typy płaskie, ślizgacze i oportuniści, pieski łaszące się do każdego nowego pana. „Czas się zmieniają, a pan zawsze jest w komisjach”, rzuci w twarz jednemu z nich. Ta twardość Franza była w roku 1992 jak haust świeżego powietrza. Bohaterowie niedawnego podziemia właśnie dorwali się do władzy

i naród ze zdumieniem patrzył, jak szybko dotknęła ich inflacja. Z dnia na dzień w pogoni za władzą gubili autorytet, dorobek, zasługi, nazwisko i twarz. I tak się dziwnie porobiło, że ten był ubek z zasadami, ale też *loser*, przystojniak, pijak, amant i bandyta w jednym, to najlepsza część spadku, jaki pozostawiła nam po sobie komuna.

Franz Maurer mówi Dostojewskim

Ten wątek reżyser Pasikowski pociągnął w sequele „Psów” dwa lata później. Szło opornie, bo branża niby się zorientowała, że „w mieście jest nowy szeryf”, ale zabrakło pomysłu, co mu dać do roboty. Padły najdalsze pomysły, choćby taki, że producentami filmów Pasikowskiego powinni zostać teraz na spółkę Krzysztof Zanussi (bo trzęsie polską kinematografią) i Menahem Golan (bo produkował hity z Chuckiem Norrisem). Forsa na te superprodukcje miała pochodzić od banków, z teleturniejów i od producentów lodów. Tymczasem Pasikowski półtora roku odpoczywał na bezrobociu. W końcu jednak ukonstytuowała się grupa producencka z Wojciechem Fibakiem na czele, która wyłożyła pieniądze, ale też zażądała happy endu. Bo przecież bohater filmu za setki tysięcy dolarów nie powinien na koniec tak po prostu strzelać sobie w łeb. Pasikowski się zastosował.

No i pracował ciągle nad warsztatem. Część pierwsza pokazywała, jak bardzo zapatrzył się na policyjne kino amerykańskie. Nauczył się opowiadać

► jak twórcy „Brudnego Harry’ego” czy „Shafta”, prowadzić bohatera, jak prowadzono na ekranie Marlona Brando, Steve’a McQueena albo Paula Newman. Całe sekwencje z „Psów”, jak ta z akcją ubeków w motelu czy na wysypisku śmieci, należałoby studentom szkoły filmowej dawać do drobiazgowej analizy i wpisywać do podręczników. Po raz pierwszy też słyszeliśmy z ekranu przyzwoite dialogi. Nareszcie nie były to lekko uzdatnione referaty przemieszane z „mową zlewozmywakową”. Słowa popychały akcję, odśaniały ludzkie wnętrza, dawały się zapamiętać. A przy tym brzmiały naturalnie. Ot, Franz w rozmowie z (byłą) ukochaną dowiaduje się, że ta puściła się z jego kumplem. To taka niegodziwość, że temu twardemu ubekowi na moment zatyka dech w piersi. Powinien ją w pierwszym odruchu zwymyślać, poniżyć, wytrzeć nią podłogę. Ale ten zraniony mężczyzna nie jest w stanie wydusić słowa. Bo właśnie dostał zdradziecki cios od tyłu pod siódme żebro. Zatkło go, zamroczyło. I mówi rzecz pierwszą z brzegu. I tak infantylną, że odrzuciłby ją scenarzysta nawet najgłupszej telenoweli: „Nie chce mi się z tobą gadać...”. Ale to właśnie brzmiało prawdziwie.

Panie dyrektorze, dwa lata trzymania halabardy wystarczą. Marnieję, piję i tracę najlepsze lata.

W drugich „Psach” widać już o wiele większe pieniądze. Poszerzyły się plenery, zyskał drugi plan, pojawili się uroczy epizodyści, np. kryminalista, który ciągle „wrywał chwasty”. Akcja skacze do Ukrainy po kraje egzotyczne, awantury toczą się na autostradach, w powietrze wylatuje cały skład kolejowy z amunicją. Oczywiście wszystko na polską miarę, co oznaczało, że scenę militarną w chorwackiej wiosce kręcono 40 minut, a nie dwa dni, jak by należało. A w fabule? Zmienia się wszystko: sytuacja międzynarodowa, sfery przestępcze – rodzime i europejskie – ale nie Franz. A nawet więcej, podczas odsiadki jego moralna wrażliwość się pogłębiła. I właśnie ona nie pozwala mu zarobić góry pieniędzy (po pobycie za kratami bardzo by się przydały) na eskortowaniu broni na wojnę do byłej Jugosławii. Pamiętamy finalny dialog Maurera z rosyj-

skim handlarzem bronią? Sawczuk: „Moja śmierć niczego tu nie zmieni. Wydaje ci się, że jesteś taki dobry. Ale jest tak tylko dlatego, że ja jestem taki zły... Beze mnie jesteś niczym... Ty to ja, taki układ... Raj – piekło, Bóg – szatan, dobro – zło, tak było i tak będzie, my albo oni...”. Tu Franz naciska spust po raz pierwszy i dodaje: „A jeśli Boga nie ma, to co z ciebie za szatana?”. Nie czeka na odpowiedź, strzela po raz drugi. Znamy? Gdzieś już słyszeliśmy? W „Braciach Karamazow”, a i u Sartre’a...

Ogólnopolska kariera pewnego halabardnika

Franz Maurer to kawałek polskiego życiorysu, ale i biografia samego Lindy, bez którego by go nie było. To też niezły kawałek historii. Biedne dzieciństwo na toruńskim blokowisku (niemal przez płot z dzisiejszą siedzibą Radia Maryja). Z wiecznego niedojadania, z braku witamin Boguś zapadł na krzywicę klatki piersiowej, ale kto miał mu ją zdiagnozować? Pierwszy raz całował się na koloniach przy „Jest długie lato w Portofino...”. Na prywatki chodził w butach z frędzlami (z Jugosławii!), w koszuli w kwiatki i w dzwonach.

Do szkoły aktorskiej uciekł do Krakowa, bo raz, że światowe miasto, a dwa, że gra w filmach to lekka robota i pozwala bez problemu wyrwać laski. Zaraz po studiach angaż marzenie, do Starego Teatru plus pokoik na zapleczu sceny po Jerzym Radziwiłowiczu, z siennikiem na podłodze. Imponowało mu, ale krótko. Ze sceny dobiegały wielkie romantyczne monologi prof. Jerzego Trela, ale najczęściej wtedy, gdy szedł do ubikacji w korytarzu, aby rzucić to, co zalegało na żołądku po kolejnym pijaństwie. „Panie dyrektorze, dwa lata trzymania halabardy wystarczą. Marnieję, piję i tracę najlepsze lata”, powiedział, gdy zrozumiał, że pierwszą poważną rolę powierzą mu najwcześniej, gdy dobiegnie czterdziestki. Tyle że na razie polski teatr i film nie miały pojęcia, że takie zjawisko jak młody Linda się marnuje. Do czasu, aż we wrocławskim teatrze zagrał Hamleta, ale tak,

jak by to zrobić – jego zdaniem – młody Brando. Za kulisy wpadli z gratulacjami Andrzej Wajda z Agnieszką Holland, zdziwieni, że ktoś w Polsce gra tak naturalnie, jak Zbyszek Cybulski grał 20 lat wcześniej.

Takiego przechwyciła go Agnieszka Holland do roli anarchisty w „Gorączce” (1980). Swobodny, bez cienia maniery teatralnej, współpracujący z kamerą, o szelmowskim uśmiechu (zęby jeszcze wtedy nienaprostowane), z burzą romantycznych loków nad czołem. Tak, to był ktoś! Tylko co z tego? Lindę wprawdzie wyłowila z tłumu polska czołówka reżyserska – grywał u Wajdy, u Kiesłowskiego, u Zaorskiego, u Holland – ale aż 13 kolejnych filmów z jego udziałem poszło w latach 80. na półki. Kiedy ten czy tamten pokazała telewizja po roku 1989, Linda czuł się jak podtatusiały facet, który próbuje się wcisnąć w stare dzinsy.

Aktor charakterystyczny wychodzi z roli

Nie było sensu grać jak dotąd. Ale znowu: kto to zrozumie? Najpierw tłumaczył jak komu dobru: „Przyszedł taki moment, w którym miałem już dość ról inteligentnych. Czuję, że taki inteligent bez poważniejszych doświadczeń życiowych, targany idealistycznymi sprzecznościami, to już nie jest bohater na nowe czasy. I to nie ja...”. A jak nie docierało, to wyjaśniał po swojemu: „Mam już dość grania inteligenta z kawalerki na Ursynowie, który wiecznie dostaje w dupę od systemu”. To był kolejny skok na głęboką wodę. Linda dobiegał wówczas czterdziestki i zwycajam polskich aktorów powinien już do emerytury klepać na planie tych swoich hamletyzujących inteligentów. Jak to „aktor charakterystyczny”. A on tymczasem mówi pani redaktor Ninie Terentiew w telewizji, że marzy mu się jakaś postać z Chandlera, jakiś Bogart. Pani Nina w śmiech, bo to przecież paradne, że czołowemu aktorowi kina moralnego niepokoju zachciewa się grać twardziela z giwerą za pazułą. I jeszcze dorzuciła kokietyrjnie: „Panie Bogusławie, pan się już pewnie pogodził z faktem, że nie będzie pan już popularny”.

Na szczęście nie cała branża myślała tym torem. Reżyserowi Jackowi Bromskiemu ówczesny Linda nadał



się właśnie jako taki złajdaczony czaruś, bandyta niby, ale z tych, których trudno nie lubić. W pierwszym polskim filmie gangsterskim „Zabij mnie, glino” (1988) Linda brawurowo odstawia bystrego recydywistę, wygłasza kwestie z gatunku głupio-mądrych i przeciąga samogłoski.

Jeszcze mocniej je przeciągał, gdy do roli ubeka z zasadami wziął go w 1992 r. młody reżyser Władysław Pasikowski. Nowością było to, że samogłoski tkwiły w bluzgach, które w takiej ilości u nas dotąd nie padały. „Bo to było środowisko kurew i policjantów. To mówiliśmy językiem kurew i policjantów, bo jakim mieliśmy mówić? Literackim, kurwa?!” wyjaśniał, gdyby kto nie rozumiał nowej poetyki. Z tym że jednocześnie zrobił wiele, żeby do tego etatowego twardziela się nie ograniczyć. Różnie mu z tym szło. Po „Psach” brano go w ciemno do każdego filmu, bo udział Lindy gwarantował frekwencję. A on, niestety, nie zawsze umiał odmawiać. Na przykład gdy Andrzej Żuławski kazał mu w „Szamance” zagrać wykładowcę archeologii z problemami osobistymi. Pół biedy, gdy prezentował na ekranie kolejny wariant twardziela, jak w thrillerze „Sara” Macieja Ślesickiego, pastiszu „Leona zawodowca”, gdzie podopieczna zawodowego ochroniarza jeździ na rowerze nagiśienka, jak ją Pan Bóg stworzył (mama nieletniej Agnieszki Włodarczyk musiała podpisać zgodę). Miejscami bywało zabawnie – Linda mierzy do gangstera, ten przestraszony jęczy:

„O Jezu!”. Na to Boguś: „Właśnie!” i naciska spust.

Kolejne lata, kolejne decyzje, kolejne wpadki. W „Tajemnicach Westerplatte” miał grać mjr. Sucharskiego, ale kampanię wrześniową filmowano w listopadzie. Linda dziesięć dni dygotał na planie w letnim polowym mundurze i kiedy dopadło go zapalenie płuc, a na koniec zdjęć się nie zanosilo, po prostu podziękował. I jeszcze Wajda pod koniec życia namówił go na rolę malarza Władysława Strzebińskiego, gnębionego przez ministra Włodzimierza Sokorskiego, który w latach 50. zadekretował akurat

sobie, podobnie jak serial („Tak czy nie?”), w którym próbowali go adaptować do roli żonkosia w papciach. Poza tym jak Linda gra, to nie sposób oderwać wzroku od ekranu, by podlać pelargonie. A jak go pokazywali w serialu, to nabierało się ochoty. Zrozumiał, że telewizja go spłaszca, i dał sobie spokój: „Jeżeli w naszych serialach telewizyjnych ktoś mówi »Kocham cię«, to my nie słyszymy, że ona czy on kocha jego czy ją, tylko że musi tak powiedzieć, bo to jest dzisiaj kwestia, za którą dostaje pieniądze”. Niby zawsze to podejrzewaliśmy, ale miło słyszeć.

Franz Maurer to kawałek polskiego życiorysu, ale i biografia samego Lindy.

w polskiej sztuce socrealizm. Wyszło z tego kino socrealistyczne *à rebours*. Linda zagrał, a potem pluł sobie w brodę. W podobnych sytuacjach na szczęście ratuje go ironia, dystans do tego, co robi. Ot, wcześniej Wajda zaproponował mu rolę Jacka Soplicy w swojej pompacyjnej i nadętej wersji „Pana Tadeusza”. Dziennikarze byli ciekawi, z czym Lindzie się kojarzy Soplica. Odpowiedział: „Soplica, Soplica... dawno tego nie piłem”.

Harleyem po piwo

Brat się do reżyserii, ale skończyło się (jak w „Seszelach” czy w „Sezonie na leszcza”) na mocno zwietrzałych „inteligentkich rozdrapach”, popłuczynach po Kieślowskim. Odpuścił

Więc seriale nie, ale „twarz whisky” w reklamie – jak najbardziej. „Może w poprzednim ustroju nasz zawód był przede wszystkim misją, ale dzisiaj jest wspaniałą, ale ciężką pracą”. I jeżeli ktoś w związku z tą pracą proponuje dodatkowe pieniądze, to tylko się cieszyć, bo można będzie szybciej spłacić kredyt. I jeszcze próba prowadzenia sieci knajp (plajta!), turystyka ekstremalna: wyścigi psich zaprzęgów we włoskich Alpach, rajdy konne na argentyńskiej pampie i przedzieranie się przez wietnamską dżunglę. I dosiadanie harleya – choćby tylko po to, żeby skoczyć po zakupy do najbliższego spożywczaka. I cieszyć się z tego, że sześćdziesiątka dawno stuknęła, a człowiek ciągle nie rdzewieje.

Wiesław Kot

Jerzy Pilch

Postanowiliśmy pobrać się w całkowitym sekrecie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wszyscy będą przeciwko nam. Ja będę głównym szwarczakiem – uwiodłem. Weronika w ciut lepszej, ale też kiepskiej roli – dała się uwieść. I to komu! Wyliniałemu, schorowanemu, o przeszło 40 lat starszemu uwodzicielowi z bożej faski. Z daleka może to wyglądać jeszcze gorzej, z daleka mianowicie, a i z całkiem bliska moja żona w sensie ścisłym sprawia wrażenie, jakby dopiero co ukończyła 16 lat – może więc niejednemu się wydać, że uwiodłem małą i sposoby obrony mogą tu się okazać mało przekonujące. Przecież gołym okiem widać, że ona to dziecko! Że też na takich jak ja zbrojeńców kary boskiej nie ma! Postanowiliśmy pobrać się w sekrecie także celem oszczędzenia przykrych wiedzy mojej matce i rodzicom Weroniki. Nie mieliśmy szans na pozyskanie ich poparcia, wiadomo było, że będą przeciw. Wiadomo było, że będą przeciw zarówno przed, jak i po. Tu naprawdę nie było dobrego wyjścia. Przed – bo będą samym pomysłem przerażeni, po – bo będą głęboko urażeni, że niczym sobie na taką nieojalność nie zasłużyli. Co ludzie powiedzą – użyje nieśmiertelnego argumentu moja matka. Czyś ty zdurniał do reszty, plus pełna gama poniżających argumentów wobec których jestem całkowicie bezbronny, bo niby na co mam się powoływać? Na miłość? Miłość takich par jak my nie cieszy się wielkim poważaniem i nie ma co wydziwiać. Wszyscy doskonale wiedzą, że to długo nie potrwa i nasza nieobalalna wiedza stanie się obalalna. Sekretny ślub był kiepskim rozwiązaniem, ale jakimś był i co więcej – zdawał się możliwy do przeprowadzenia. W każdym razie główny walor: sekretność akcji nie wydał się nam specjalnie trudny do osiągnięcia, rychło jednak okazało się, że całkowity sekret jest – jak prawie wszystko co całkowite – niemożliwy. O tym, że się pobieramy, z natury rzeczy musieli wiedzieć świadkowie oraz urzędnicy wiadomej instytucji. Tyle. Nikt więcej. Jak masz zamiar pobrać się w konspiracji, czynisz to i żyjesz w konspiracji. Chyba że traktujesz



Historia sekretnego ślubu

Opowieść o różnicy wieku i wszelkich wynikających stąd konsekwencjach

własny ślub jako swoisty test dyskrekcji, i pobrawszy się w rzekomym sekrecie natychmiast albo najdalej nazajutrz lecisz na zbity ryj do niczego się niespodziewającej rodziny, do żyjących w błogiej niewinności znajomych i do kogo tam jeszcze i powiadamasz wszystkich, że właśnie się w najgłębszej konspiracji ożeniłeś. Daruj, ale jest to niezrozumiałe. Oczywiście wieść się może szerzyć i bez twego udziału, świat jest tak

urządzony, że kto wie, co się zdarzy, np. obdarzeni darem intuicji sąsiedzi zawsze mogą się znaleźć w informacyjnym pogotowiu, a nawet na plotkarskim głodzie, ściśle tajna wiadomość może, kto wie, jakimi kanałami i gdzie przenikać; w odpowiednich warunkach domyślać się jej mogli nawet co przenikliwsi przechodnie. Dajcie spokój! Tłum się zbierał. Jak idzie o świadków – stanęliśmy przed zadaniem: odnaleźć parę ludzi niezwykle bliskich i zarazem patologicznie dyskretnych. Proste? Weźcie tedy i spróbujcie dla czystego ćwiczenia znaleźć taką parę wśród swoich znajomych. Udało się? Szczere gratulacje. Nawet jak nam się udało (a udało się całościowo), łatwo nie było. Znaleźliśmy w końcu parę. Niestety, niemieszana. Inaczej mówiąc, jednopłciową. Być może jest to wbrew tradycji, ale na szczęście nie reguluje tego żaden przepis – jeśli tradycja, to niepisana. Krótko mówiąc, znaleźliśmy w końcu parę kolegów. Jeden w moim, drugi w wieku Weroniki. Tak, ma to znaczenie. Olbrzymie. Historia ta jest opowieścią o różnicy wieku i wszelkich wynikających stąd konsekwencjach. Jest trudną lekcją pisania, bo wątki ściśle autobiograficzne sąsiadują tu z zupełnie fantastycznymi, trzeba dokładnie uzgodnić tonację, a to jest tylko dla lekkomyślnych amatorów łatwe. Powieść jako taka, powieść w odcinkach czy powieść w opowiadaniach? Swego czasu w pewnej historii jej bohaterka dała zdumiewającą uwagę na ten temat. Czy dziś zauważyłaby, że tam, gdzie mowa o ojcu, panują powieściowe nastroje, a tam, gdzie mowa o różnicy wieku, jest zwięzłe i poetycko? Aż tak? Nikt nie mówił, że będzie łatwo, ale żeby aż tak?

Pewnych rzeczy zupełnie nie przewidzieliśmy. Nie śniło nam się o nich nawet. Żeby było absolutnie jasne: do nikogo, a zwłaszcza do naszych świadków nie mamy cienia pretensji, zarówno mój stary przyjaciel, jak i kolega Weroniki z ławy szkolnej spisali się świetnie, byli dyskretni w stu procentach albo prawie w stu procentach. W końcu całkowita szczelność – przypominam – jest nie tylko w tej dziedzinie niemożliwa, ja sam, gdy postanowiliśmy – a długo narady nie trwały – w ścisłej konspiracji pobrać się z Weroniką – otóż ja sam temu i owemu to i owo palnąłem, potem

rejterowałem w popłochu – dziw się teraz, człowieku!

„Z natury rzeczy” musieli też znać nasz zamiar urzędniczy z wiadomego urzędu i to nie jeden urzędnik, a cała ich chmara. Okazywało się, że mimo perfekcyjnych – jak nam się zdawało – przygotowań – nie wszystko było z nami i z naszymi papierami w porządku; wyznaczano nam kolejne posłuchania, za każdym razem przyjmował nas kto inny, nie chciałbym popadać w przesadę, ale chwilami wyglądało to tak, jakby cały urząd był

szczupła sylwetka, dodatkowa para żeber radykalnie zwężająca i tak wystarczająco wąskie wcięcie w talii – nie tylko przeto niezwykła uroda, ale i magnetyczna anatomia – blond włosy i raz po raz zmieniające kolor oczy pieczętowały ten los, ten obraz i tę samotność.

Mężczyźni – jak powszechnie wiadomo – boją się pięknych i inteligentnych kobiet, ja się nie bałem, a raczej podejmowałem decyzję, że się nie boję, na ogół wychodziłem na tym nieźle – czasem dobrze,

des femmes”, „Zazie dans le métro”, „Le Misanthrope ou l’Atrabilaire amoureux”. O każdym z wymienionych dzieł – oczywiście w nieco mniej porównawczych okolicznościach – miała rzeczy zupełnie niekonwencjonalne do powiedzenia, o tych, o tamtych i jeszcze o owych. Jakkolwiek byśmy się bowiem w mojej lilipucie sypialni ułożyli, zawsze było tak, jakbyśmy na dnie płytkiej, za to książkami wyłożonej studni leżeli – Weronika zawsze miała jakieś tytuły czy nazwiska przed oczyma. Spowszedniało jej to do tego stopnia, że przestała pytać, czy to a to czytałem i co sądzę.

Była piękną młodą kobietą, obdarzoną talentem nie byle jakiego obcowania z językami obcymi i tropieniem fikcji wszędzie i we wszelkiej postaci. Ja byłem o przeszło 40 lat starszym wrakiem, przy niej budziłem się ze snu wiecznego, dochodziłem do siebie z trudem, ale dochodziłem; wracałem najprzód do świata półżywych, potem żywych jak nie na 100%, to prawie; zmartwychwstawałem – śmiało można powiedzieć. Tak, historia naszego sekretnego małżeństwa jest też historią mojego w sensie ścisłym zmartwychwstania.

Z wielu tedy powodów, a są tu i takie, o których sami nie wiemy, postanowiliśmy się pobrać w skrajnym sekrecie, przyjdzie je nieraz jeszcze – od wstrząsającej miłości poczynając, na drobniaczkach kończąc – wyliczyć, ale przecież formalizowaliśmy nasz związek nie po to, by się bronić przed zawsze gardzącym takimi historiami jak nasza głosem ludu, przed jadowitymi spojrzniętami, przed głuchymi albo wręcz na odwrót – telefonami; przed

wrogimi okrzykami, przed obelżywami na nasz widok wyrażanym zdumieniem. Ja byłem za stary,

ona była za młoda. W naszym słynącym z wielowiekowej tolerancji kraju to wystarczający powód, żeby pozbawić nas obywatelstwa i przegnać, gdzie raki zimują. Ach, niezniszczalna nadziejo na męczeństwo! Ja folgowałem starczym popędem, wprawnie uwodziłem, ona choć dzieckiem już nie była, naiwnie wierzyła w moje grubo szyte zaloty – tyle w naszym słynącym z uchwalenia Konstytucji 3 maja kraju wystarcza, żeby skazać i zabić.

Dała się uwieść. I to komu! Wyliniałemu, schorowanemu, o przeszło 40 lat starszemu uwodzicielowi z bożej łaski.

żywo naszym małżeństwem zainteresowany. Śluby w urzędzie udzielającym ślubów – to przecież codzienna rutyna, w naszym przypadku: ani codzienna, ani rutyna. Chwilami wyglądało to tak, jakby wzywano nas na kolejne spotkania – bo taki, a taki kierownik jeszcze nas nie widział. Stawialiśmy się na kolejne wezwania. Jeździliśmy z kolejnymi – jak się okazało: nie do końca poprawnie wypełnionymi – dokumentami. W końcu zaczęło mi się zdawać, że nie tylko znajdując się na ludziach taksówkarze, ale wręcz przypadkowi przechodnie też przyglądają nam się znacząco. Zwariowałem? We łbie mi się w sensie ścisłym przewróciło?

Ach, nie mam złudzeń, nie chodziło o moje książki, które – owszem, przyniosły mi pewien rozgłos, ale jednak nie taki, by cały urząd stanu cywilnego stawiać na nogi. Szło o co innego, szło o to, o co szło wszystkim – szło o wspomnianą już dramatyczną różnicę wieku. Nie zamierzam zaprzeczać ani się wybielać, ani winy mojej zamazywać, była ona – różnica wieku między nami – istotnie dramatyczna, a jeśli do wymiernej młodości Weroniki dodać jej niewymiernie młody czy wręcz dziecięcy wygląd, robiło się groźnie w sensie ścisłym.

Powiem to od razu, choć tysiąc-kroć będę do tego wracał, pierwszy powtarzający się potem wieloecho-wo akord symfonii miłosnej słysząc teraz: była niezwykłą kobietą. Miała 24 lata, kończyła studia filologiczne, ostra jak brzytwa inteligencja skazywała ją raczej na samotność. Jej wybitna uroda, dorodny biust,

klęskowo nigdy. Jej obecność w moim życiu – jeśli nie była dowodem na istnienie najwyższego – z całą pewnością wskazywała, że nie wszystko, co o Bogu napisano, było martwą retoryką. Większość tak, ale nie wszystko.

•

Wprowadziła się do mnie w zesze wakacje, mam ciasne mieszkanie, skrajnie powiedziałbym ciasne. Nieraz – jak mi się zdawało – zagrożony w samotności powtarzałem wkoło: To jest mieszkanie jednoosobowe! To jest mieszkanie jednoosobowe! I faktycznie dwie osoby mieszczą się tu z trudem, a raczej nie mieszczą się wcale. Tyle że teraz nikomu to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie! Mikroskopijna przestrzeń wzmacnia nasze dusze i uskrzydla nasze ciała.

Gdy dosiada mnie o świcie, to w miarę coraz gwałtowniejszych ruchów łapie się wznoszącego się nad nami regału i bezwiednie wykrzykuje

Miłość takich par jak my nie cieszy się wielkim poważaniem i nie ma co wydziwiać.

nazwiska autorów znajdujących się na wprost jej oczu. Och! Bułhakow! Ech! Mandelsztam! Oj! Sołżenicyn, À propos! Szestow! Na „à propos Szestow” kończą się jej zmysłowe – i w większym stopniu spółgłoskowe, niż to zapisuję – przerywniki. Przechyla głowę w stronę literatury francuskiej i pruje samymi, błyskawicznie na język oryginału (miałem wyłącznie polskie przekłady – nie znam francuskiego) z powrotem przetłumaczonymi tytułami: „L’Assomoir”, „L’École

► Nasze nadzieje na ocalenie przez małżeństwo były silnie ograniczone, w końcu nie zamierzaliśmy aktu ślubu nosić niczym dla wszystkich widocznego proporca, ale co małżeństwo to małżeństwo, co mąż i żona, to mąż i żona, co wspólne życie, to nie stary uwodziciel z młodzieńką łaską.

Owszem, można powiedzieć, że chroniliśmy się za murami USC przed wrogą publicznością, niestety nasi wrogowie już tam byli, już

– Mam na myśli żywego orła – niemal krzyknęła moja wtedy jeszcze naręczona.

– Przepraszam – wydukał urzędnik.

Może od tego momentu zaczęto nas taktować z lekkim przymrużeniem oka? Kto to wie? Wracając do przepisów: istniał w nich też paragraf ustalający, że w razie choroby uniemożliwiającej nowożeńcom osobiste dotarcie do urzędu (tu i ówdzie zwanego pałacem) można też przedstawić świadectwo lekarskie,

w ryzach uprzejmości poleciła się z nim zapoznać. Nagle oświadczyła, że zwolnienie lekarskie nic nam nie da, ale jest absolutnie konieczne. Następnym tedy razem mieliśmy stawić się z daremnym zwolnieniem w garści, tym daremniejszym, że wpłata w wysokości 1 tys. zł została dokonana. Nieprawdaż? Prawdaż.

Nie pytaliśmy już o nic, podaliśmy tytuły, nie zwątpiliśmy ani na sekundę, ale w całym korowodzie elementarnych przygotowań był to dzień najgorszy.

Druga wizyta przytrafiła się parę tygodni później. Przybyliśmy na nią zaopatrzeni w wyczerpujące – jak nam się zdawało – zwolnienie lekarskie, urzędnik, który nas przyjął zdawał się wiedzieć, jak ciemne moce i jakie nie do przejścia labirynty reprezentujemy, z miejsca skierował nas do gabinetu naczelnika. Z początku nie kleiło się, choć na oko wyglądało, że się klei. Naczelnik odnosił się do nas tak, jak wszyscy naczelnicy odnoszą się do reprezentowanej przez petentów rzeczywistości – z tchnącym wyższością pobłażaniem. Gawędził o warunkach sanitarnych, uzasadniał konieczność obecności godła, całko-

Sekretność akcji nie wydała się nam specjalnie trudna do osiągnięcia, rychło jednak okazało się, że całkowity sekret jest niemożliwy.

na nas czekali. Rzec jasna mało ich było i nie okazywali nam tak bezceremonialnej wrogości jak ci na ulicy, aż takiej zjadłości w sobie nie mieli, ale niewątpliwie sięgali po argumenty mówiące: same przyjemności to nie będą, nie wszystko wam się uda. Niedobrze, bardzo niedobrze. I co my z państwem pocniemy?

Po części sami byliśmy sobie winni, postanowiliśmy bowiem skorzystać z nowych (w istocie już paroletnich) przepisów. W ich myśl ślub można obecnie brać w dowolnym miejscu w Polsce. Na plaży nadbałtyckiej, na szczycie Śnieżki albo Kasprowego, na Stadionie Narodowym, gdzie wola. Warunkiem jest zapłacenie kwoty 1 tys. zł i bliska, i widzialna obecność godła (tzw. orła) podczas ceremonii. Co do tego detalu nie ma jak się zdaje pełnej ortodoksji, my jednak nabywszy orła na stronie internetowej Taniej książki za sumę 19 zł – byliśmy przygotowani niczym para prymusów do klasówki. Nie mieliśmy jakiegoś magicznego miejsca, drewnianej altany w Tatrach, aquaparku pod Warszawą, hotelowej plaży w Sopocie. Chcieliśmy w domu, chcieliśmy najprościej w świecie – skryć się w domu. Słowem powinno iść, a nie szło. Być może Weronika, gdy instruowano nas co do godła, niepotrzebnie zadała pytanie:

– Czy może być żywe godło?

– Co masz na myśli, dziecko drogie? – odparł pytaniem na pytanie urzędnik.

Zapadła chwila pozornie żartobliwej, w istocie wrogiej ciszy.

które zwalnia z opłaty, a wiadomego urzędnika (zwanego niekiedy dowcipnie biskupem) oblige do udania się pod wskazany adres i odbycia imprezy nawet na szpitalnym łóżku. Nie wiadomo, czym wiedzeni (przecież nie przezornością jakąś nadzwyczajną) zdecydowaliśmy się – by tak rzec – na oba rozwiązania naraz. Mieliśmy kasę i mieliśmy wystawione przez doktora B. zwolnienie lekarskie. I zaczęło się. Ścisłe mówiąc,

Chroniliśmy się za murami USC przed wrogą publicznością, niestety nasi wrogowie już tam byli, już na nas czekali.

zaczęły się jałowe rozmowy, w których setny raz pada, co już sto razy padło. Zaczęły się naciski, którym staraliśmy się nie ulegać. Zaczął się słowem chaos, który daremnie staraliśmy się uporządkować.

Już nasza pierwsza wizyta w urzędzie była niefortunna, być może jej niefortunność udzieliła się wszystkim późniejszym akcjom, o których powiedzieć, że okazywały się niefortunne, to nic nie powiedzieć. Był początek lipca, upały jak betonowa ściana i rozmawiająca z nami urzędniczka zdawała się w sensie ścisłym przebywać za jeśli nie betonową, to kryształową ścianą. Nie poprawiało to sytuacji. Nie znała nowej ustawy, w panice raz po raz znikąca za drzwiami najwyraźniej prowadzącymi do jakiejś wyższej szarży, wracała stamtąd nie tyle uspokojona, co zgaszona i z pustymi rękami, pod koniec przyniosła wydruk starego przepisu i głosem z trudem utrzymanym

wicie zakwestionował – głos mu stwardniał – jakość dostarczonego zwolnienia lekarskiego; brakowało, jego zdaniem, szczegółowego opisu choroby, a zwłaszcza wyliczenia tych jej objawów, które udaremniają mi wizytę w pałacu. Mówił też o zwrocie 1 tys. zł, ale ponieważ gołym okiem widać, że kwota jest nie do odzyskania, że czekanie na nią to jest odwleczenie ślubu *ad infinitum*, dosyć konsekwentnie przed takim rozwiązaniem się bronimy. Kolejna korektura zwolnienia lekarskiego odpada stanowczo, ale bez centralnej rezygnacji. Sama myśl, że trzeba by doktorowi B. perswadować kolejne układanie, tym razem nieskończenie obszerniejszych argumentów, odgrywa tu rolę niepoślednią. Doktor B. – świetny, bo zna część moich sekretów. Ale, na Boga, nie wszystkie. W końcu – jeśli można tak rzec – kapitulujemy w punkcie pierwszym, godzimy się mianowicie na

brak (nieuwzględnienie) świadectwa lekarskiego i uiszczenie (w praktyce przecież już uiszczonej i niemożliwej do odzyskania) opłaty. Mamy czekać na mejla – potwierdzi on wpłatę i zatwierdzi termin. Generalnie wybrany termin – 18 listopada – pasuje; mogą

w mejlu. Czyli potwierdzenie jest, ale nie jest to wyczekiwane i pisemne potwierdzenie potwierdzeń, ale potwierdzenie ustne. Zaledwie. Ustne, czyli najgorsze. Możesz mieć same zalety, ale zawsze może ktoś wstać i zapytać, co z resztą?

Chyba że... Ach nie! Oczywiście, że tak! Stawimy się i wypełnimy! OK.

Trzy dni przed imprezą dzwoni „biskup” dla wzmożenia efektu noszący imię i nazwisko znanego piosenkarza. Ku naszemu ogromnemu (na granicy rozczarowania) zdumieniu nie kwestionuje ani zwolnienia lekarskiego, ani jego braku, nie wspomina o godle, nie żąda ponownego wypełnienia wniosku. Pyta o specjalne życzenia i liczbę gości.

Liczba najmniejsza, reszta tak samo. Po trzech dniach spóźnia się pół godziny. Ale dzwoni z trasy, że jedzie i zaraz będzie. I faktycznie jest. Z fest sfatygowanej czarno-złotej reklamówki Hugona Bossa wydobywa łańcuch z orłem. Z szaloną wprawą wiesza go sobie na szyi i patrzy na nas pytająco.

Po przeszło dwu miesiącach od początku naszych starań telefon od kierowniczkii USC: musimy zmienić wniosek, wypełnić go jeszcze raz.

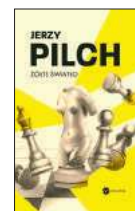
być drobne korektury godzinowe, ale generalnie pasuje. Na dziś to wszystko? Tempo szalone, ale żeby aż tak? Aż tak.

Mejl przychodzi po paru tygodniach – potwierdza ustalenia. Odpowiadamy, potwierdzając je bez zastrzeżeń; liczymy na potwierdzenie potwierdzeń. Niestety, brak odpowiedzi. Cisza. Im bardziej się w nią wsłuchujesz, tym dotkliwsza. Niepodobna nie pomyśleć: złowróżbna. Niby drobiazg, a nie drobiazg. Słynne złe przeczucia biorą nas w swoje posiadanie. Po kolejnych paru tygodniach telefon z identyczną propozycją jak

W tym samym tygodniu telefon z pytaniem o zmianę godziny. Drobiazg? Drobiazg. Jak nie wiesz, co to drobiazg, spróbuj się ożenić. Definicja wypłynie sama. Przystajemy i czekamy.

Po przeszło dwu miesiącach od początku naszych starań telefon od kierowniczkii USC: musimy zmienić wniosek, wypełnić go jeszcze raz, na starym jako przyczyna domowej ceremonii widnieje bowiem choroba, co jest sprzeczne z ustalonymi ustaleniami... Czyż nie tak? Choroba to choroba... A przecież... Mimo to... Zapłacili państwo... Tak czy nie?...

Fragment książki
Jerzego Pilcha
Żółte światło,
Wielka Litera,
Warszawa 2019



Laureaci nagród im. BOLESŁAWA PRUSA

Duch Prusa żyje. Bolesław Prus, a właściwie Aleksander Głowacki herbu Prus, był bohaterem uroczystości w Domu Dziennikarza w Warszawie jako patron dorocznych nagród swojego imienia. Laurów Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Nagrodę główną Złotego Prusa za całokształt osiągnięć dziennikarskich otrzymał Przemysław Talkowski – dziennikarz Polsat News, od lat prowadzący audycję „Państwo w państwie”. Laudację na cześć laureata wygłosiła dr Hanna Machińska, zastępca rzecznika praw obywatelskich.

Tytuł zwycięzcy w kategorii Młody Dziennikarz i statuetkę „Zielonego Prusa” otrzymał Jakub Tarka – reporter Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia. Laudację wygłosił wieloletni dziennikarz Polskiego Radia – Marek Gaszyński.

Kapituła pod przewodnictwem prof. dr. hab. Janusza Adamowskiego, dziekana Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW, nominowała ponadto w kategorii Młody Dziennikarz Ewelinę Kosałkę-Passię z Polskiego Radia Katowice oraz do nagrody głównej Krzysztofa Karwata – dziennikarza prasy i telewizji z Katowic.

Patronami nagród byli: Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców REPROPOL, Rada Miejska Nałęczowa i Uzdrowsko Nałęczów, które ugości laureatów.

(amaś!)



Złotego Prusa
otrzymał Przemysław
Talkowski – dziennikarz
Polsat News.



Zdobywcą Zielonego
Prusa został Jakub
Tarka ze Studia Reporta-
żu i Dokumentu PR.

KURTYNA W GÓRĘ



PRZEKLĘTE CIAŁO

Nie jest to adaptacja „Matki Joanny od Aniołów”, choć wykorzystuje fragmenty opowiadania Iwaszkiewicza. Nie po to jednak, aby ilustrować dzieje związku księdza Suryna i matki Joanny, podszytego domniemanym opętaniem, ale by przestawić opowieść o trwającej od wieków opresji kobiet, której patronuje Kościół katolicki. Stąd motto spektaklu z pism św. Tomasza z Akwinu: „Kobiety są błędem natury... z tym ich nadmiarem wilgoci i ich temperaturą ciała świadczącą o cielesnym i duchowym upośledzeniu... są rodzajem kalekiego, chybionego, nieudanego mężczyzny”. Może i z kobietami dałoby się ostatecznie wytrzymać, gdyby nie to przeklęte ciało. Ojcowie Kościoła i pomniejsi bractwiskowie mają z tym nie lada kłopot.

W Powszechnym powstał spektakl pełen feministycznej energii, którego puentą staje się lekcja z proponowanego przez autorki programu edukacji seksualnej. Ukoronowaniem tej lekcji pogładowej jest opis orgazmu tektaczkowego, poprzedzony musicalowym szlagierem poświęconym akceptacji ciała. Wywoła to zapewne poruszenie w kręgach obrońców cnoty, niechętnych cielesności, którzy już doszukują się braku poszanowania symboli patriotycznych. Taki jest ten niepozabawiony dowcipu spektakl o sprawach całkiem serio. Widzowie muszą być przygotowani na (niegroźne) zaczepki aktorek, które wciągają wybranych panów do akcji.

Tomasz Miłkowski
„Diabły”, reżyseria Agnieszka Błońska, scenariusz i dramaturgia Joanna Wichowska, Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera, premiera 7 grudnia 2019

MIĘDZY REWIA I SZLACHTUZEM

Monumentalne schody jak z berlińskiej rewii, czerwona kurtyna, a na przedzie sceny siekiry wbite w drewniane krzyżaki. Tworzy to ciąg skojarzeń budujących atmosferę grozy, łagodzoną jednak surrealistycznym nawiasem. Kto czytał opowiadanie Iwaszkiewicza, pamięta, że siekiera jest symbolem pchającym księdza Suryna w odmęty zła i zarazem narzędziem odrażającej zbrodni. Jan Kłata trzyma się opowiadania blisko, ale nasyca je współczesnymi odniesieniami. Historia o rzekomym opętaniu, które Suryn (Bartosz Bielenia) nieporadnie próbuje okiełznać, jest opowieścią o fascynacji złem i urzeczowieniu kobiet. Mizoginiczny wywód o tych wiecznych grzesznicach wygłasza miejscowy proboszcz Bryn (Zygmunt



Malanowicz). Winę za udręki kobiet ponosi więc Kościół panujący. Jedyne Suryn próbuje się temu przeciwstawić, za co zapłaci najwyższą cenę.

Nie brak tu elementów satyry – świetny epizod Macieja Stuhra jako

Młodego Papieża, powtarzającego jedno słowo: „Zapomnieliśmy” – ani chwil metafizycznego uniesienia, np. podczas spotkania Suryna z rabinem (wielka rola Jacka Poniedziałka), a zwłaszcza w trakcie zmagania z pokusą zła albo pokusą świętości w walce matki Joanny (Małgorzata Gorol) i Suryna. Nie wszystkie zamysły reżysera się sprawdzają – zawodzi zachęcanie publiczności do wspólnej modlitwy „Ojcze nasz”, nie tłumaczy się fastryga songu Boba Dylana, brzmiącego w wykonaniu Wojciecha Kalarusa jak piosenka oazowa. Ale nie osłabia to wymowy całości – sugestywnego obrazu spętania przez stare wmówienia.

Tomasz Miłkowski
„Matka Joanna od Aniołów”, reżyseria, scenariusz i opracowanie muzyczne Jan Kłata, Nowy Teatr w Warszawie, premiera 30 listopada 2019

MIĘDZY OKŁADKAMI



Harlan Coben
O krok za daleko
tłum. Magdalena Słysz
Albatros, Warszawa 2019

Simon Greene usiłuje odzyskać córkę narkomanek, ale gdy wreszcie namierza ją wśród grajków w Central Parku, skutkiem jest tylko filmik „bogacz bije bezdomnego” wrzucony na YouTube’a przez

świadków zajścia i aresztowanie Simona za atak na dilera Paige, Aarona Corvala. W dodatku wkrótce Corval zostaje zamordowany... Niesprawiedliwie traktowany przez opinię publiczną i policję Greene budzi nasze współczucie, bo mimo że to garniturowiec w krawacie od Hermès, jest przede wszystkim wrażliwym i zdesperowanym ojcem, któ-

ry próbuje zrozumieć, co popchnęło jego dziecko ku samozniszczeniu. Połykamy tę przynętę, a potem jesteśmy systematycznie podkarmiani kolejnymi wątkami i dramatycznymi zdarzeniami, więc odłożenie książki, jeśli akurat trzeba się zająć własnym życiem, naprawdę wymaga silnej woli.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

TYDZIEŃ FILMU NIEMIECKIEGO

Najciekawsze tytuły niemieckiej kinematografii od piątku w warszawskim kinie Muranów. W tym roku są to m.in.: „Błąd systemu” Nory Fingscheidt, laureat Srebrnego Niedźwiedzia na Berlinale, „Obrazy bez autora” Floriana Henckela von Donnersmarcka, „Lotte w Bauhausie”



– obraz sięgający do historii słynnej szkoły architektonicznej, a także osadzony w latach 80. „Wackersdorf”. Dla miłośników dokumentów „Die Toten Hosen w trasie”, czyli powrót legendy sceny punkowej.

**WARSZAWA, KINO MURANÓW,
17-23 STYCZNIA**

GORĄCY TEMAT

reż. Jay Roach, prod. USA,
w kinach od 17 stycznia

Charlize Theron gra tak, że choćby tylko dla jej kreacji opłaca się kupić bilet do kina. Aktorka przeszła radykalną metamorfozę. Zdecydowała się nawet na protezy, żeby upodobnić się do Megyn Kelly, twarzy stacji FOX News, która wespół z inną republikańską gwiazdą mediów, Gretchen Carlson (fantastyczna Nicole Kidman), wystąpiła przeciwko szefowi kanału Rogerowi Ailesowi (rewelacyjny John Lithgow, dwumetrowy chudzielec, który przed kamerą nosi gargantuiczny bandzioch). „Gorący temat” powstał w słusznej sprawie – odmalowuje bohaterkie postawy kobiet, które po latach wykorzystywania seksualnego przerwały zмовę milczenia. Mimo to film Jaya Roacha nie jest czarno-biały. Ekranyemu Ailesowi, choć obleśnie ślini się na widok miniówek stażystek, nie można odmówić intelektu i rozeznania w gustach widzów, a kobiet, które stały się symbolem akcji #MeToo, na pewno nie da się nazwać feministkami. Ale nawet skomplikowane psychologicznie postacie i rewelacyjny zespół aktorski nie są w stanie nic poradzić na mało przekonujące przemiany bohaterek. Dlaczego Carlson i Kelly wreszcie zdecydowały się mówić, tego z filmu się nie dowiemy.

Artur Zaborski

SERIAL

OUTSIDER

„Outsider” to serialowa ekranizacja powieści Stephena Kinga. Jej akcja toczy się wokół śledztwa w sprawie makabrycznego morderstwa chłopca. Sprawę prowadzi detektyw Ralph Anderson (Ben Mendelsohn), który dokonuje oględzin odnalezionego w lasach Georgii zmasakrowanego ciała 11-letniego Frankiego Petersona.



Okoliczności zbrodni sprawiają, że Ralph, nadal pogrążony w żałobie po śmierci swojego syna, postanawia włączyć do sprawy znaną z nietypowych metod pracy prywatną detektyw Holly Gibney (Cynthia Erivo), w nadziei, że dzięki niej zdoła zrozumieć, co się dzieje.

**HBO GO, HBO,
OD 13 STYCZNIA,
GODZ. 20.10**

BYLIŚMY

SUMMERTIME ZIMĄ

Rewelacyjny koncert muzyki George’a Gershвина przygotowało 14 uczestników Akademii Operowej działającej przy Teatrze Wielkim-Operze Narodowej oraz sześciu pianistów, którzy starali się zgłębić jazzujący styl amerykańskiego twórcy najslawniejszych przebojów i standardów jazzowych. Pomysł, by artystyczną młodzież nauczyć dobrze śpiewać i grać Gershвина, powstał w głowie Tomasza Koniecznego, znakomitego basa o światowej już sławie. W program zaangażowa-

ła się także Orkiestra Polskiego Radia towarzysząca solistom, a podczas koncertu wykonano najbardziej zna-



ne piosenki Gershвина oraz wybrane fragmenty jego jedynej opery, „Porgy and Bess”. Nie zabrakło oczywiście przeboju wszech czasów, kołysanki „Summertime”. Cały koncert transmitowała na żywo radiowa Dwójka, a szczęśliwcy mogli podziwiać amerykański styl lat 20. i 30. w Studiu Polskiego Radia.

Bronisław Tumitowicz „Mistrz i młode talenty”, Tomasz Konieczny oraz adepci i absolwenci Akademii Operowej TW-ON w Warszawie, Orkiestra Polskiego Radia, dyrygent Michał Klauza, koncert w Studiu im. Witolda Lutosławskiego, 5 stycznia 2020

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Tadeusz Kucharski

Zastępca rzecznika prasowego PiS Radosław Fogiel na konferencji 16 września 2019 r. orzekł, że stworzenia ustawy regulującej status dziennikarza domaga się m.in. „sprawa Durczoka”. W jaki sposób Kamil Durczok wpadł w tryby „dobrej zmiany” PiS?

Przyjechał do Warszawy z katowickiej telewizji i od razu został prezydentem głównego wydania „Wiadomości” TVP. Wkrótce zachorował na nowotwór. Pokonał jednak chorobę i zaczął szybko awansować w TVP, a później w TVN, aż do stanowiska redaktora naczelnego „Faktów”.

„Po chorobie stał się królem życia – relacjonuje w internecie znany publicysta – stał się też znany ze słabych nerwów i wybuchów gniewu”. Reakcja na to zachowanie ze strony środowiska dziennikarskiego była żałostna. W Warszawie utracił wszystko i wrócił do Katowic. Założył tu portal Silesion.pl, w którym przekazywał treści nieraz bardzo krytyczne wobec PiS.

Kamil Durczok zapewnia, że jest abstynentem. Jednak 26 lipca 2019 r. popełnił występki, który tak jest opisany w Kodeksie karnym (art. 178a): „Kto, znajdując się w stanie nietrzeźwości, (...) prowadzi pojazd mechaniczny w ruchu lądowym (...), podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch”. Durczok popełnił najpowszejsze w Polsce przestępstwo (55 359 skazań w 2017 r.), ale przeproszał za nie jak za zbrodnię: „Bardzo, bardzo wszystkich przepraszam. Mam pełną świadomość, że to, co się zdarzyło, jest karygodne absolutnie”.

Prokurator nie patyczkował się i zarzucił mu popełnienie zbrodni z art. 174 kk, który stanowi: „Kto spowoduje bezpośrednie niebezpieczeństwo katastrofy w ruchu lądowym (...), podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu”. Ten zarzut podniósł prokurator, walcząc nie o skazanie dziennikarza, ale tylko o zastosowanie wobec niego aresztu tymczasowego. W tym celu odkrzył stosowaną w PRL koncepcję tzw. zamiaru ewentualnego: „Sprawca znajdujący się w stanie nietrzeźwości zdawał sobie sprawę, że jego zdolności psychomotoryczne zostały osłabione, toteż godził się na stworzenie

Polowanie na Durczoka

Postępowanie prokuratury ma uzasadniać stworzenie ustawy regulującej status dziennikarza



Kamil Durczok w Sądzie Rejonowym w Piotrkowie Trybunalskim, 29 lipca 2019 r.

niebezpieczeństwa spowodowania katastrofy”. Jednak koncepcja ta została już przed laty odrzucona przez naukę i Sąd Najwyższy: „O zamiarze sprawcy tego czynu może świadczyć wyłącznie jego zamiar bezpośredni. Konieczny jest zatem rzetelny proces dowodzenia, że sprawca zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa katastrofy, które i jemu groziło, a mimo to godził się na jego spowodowanie”.

Sądy obu instancji oddaliły wnioski o areszt tymczasowy. Ale internet nadal wierzy prokuratorowi i powtarza, że Durczok dopuścił się zbrodni.

Prokurator mógł i powinien oskarżyć dziennikarza na podstawie art. 178a Kodeksu karnego. Ale maksymalna kara przewidziana w tym przepisie wynosi „tylko” dwa lata pozbawienia wolności. W dodatku dziennikarz od razu przyznał się do winy, a według wykładni tego przepisu „przyznanie się do zarzuczone-

go czynu pozwala na wystąpienie o umorzenie postępowania karnego” (komentarz Lextraffic.pl).

Prokurator nie skierował przeciwko Kamilowi Durczokowi aktu oskarżenia. Za to już miesiąc później portal TVPInfo.pl przyniósł rewelację: „Kolejna afera Durczoka? Durczok w 2008 r. podrobił podpis ówczesnej żony na wekslu, za co grozi mu kara 25 lat więzienia”. Podejrzanie ogłoszono, ale konieczne były dowody przestępstwa. Prokuratura Regionalna w Katowicach wystąpiła więc do Sądu Okręgowego w Warszawie o zwolnienie Getin Noble Banku z tajemnicy bankowej, aby mogła znaleźć dowody winy dziennikarza. Sąd oddalił wnioski. Rzeczniczka Prokuratury Krajowej Ewa Bialik wyjaśniała przyczynę: „Sąd zarzucił wnioskowi prokuratorskiemu ogólnikowość i niewskazanie konkretnych osób, które miałyby złożyć zeznania”.

Kiedy 2 grudnia 2019 r. dziennikarz mógł już zapominać o sprawie, Centralne Biuro Śledcze Policji zatrzymało go (został zakuty w kajdanki), a Prokuratura Regionalna w Katowicach złożyła w sądzie wniosek o tymczasowe aresztowanie z powodu sfałszowania weksla w 2008 r. Sprawę rozpoznawał tym razem sąd w Katowicach, uchodzący (słusznie lub nie) za najbardziej uległy wobec prokuratury. Sąd jednak oddalił wniosek. Uzasadnienie tego stanowiska to klarowny wykład na temat warunków i podstaw stosowania tymczasowego aresztowania. Ale portal braci Karnowskich wPolityce.pl wie lepiej: „Sąd w Katowicach rzucił całą odpowiedzialność na śledczych (...). Jego uzasadnienie do odmowy aresztowania K. Durczoka jest pełne mielizn i półprawd”.

Można zaakceptować pogląd (ale nie język) wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, że „nic nie tłumaczy pijackiego rajdu Durczoka”. Ale przesadny rygoryzm połączony z nie zawsze rzetelnym zawodowo postępowaniem prokuratorów uchroniły dziennikarza od wszelkiej odpowiedzialności za ten „rajd”. Natomiast wolni od uprzedzeń obserwatorzy tego „polowania na Durczoka” mogli się przekonać, do czego prowadzi „dobra zmiana” PiS w wymiarze sprawiedliwości, gdy partia szykuje się do stworzenia ustawy regulującej status dziennikarza. ■



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

PONIEWCZASY

Abba, ojcie. „Dancing Queen”, Studio 2, białe dzwony, bokobrody, środek lat 70. Mam cztery latka, tak jak teraz mój najmłodszy syn. Siedzę na podłodze, wy z mamą w fotelach przed czarno-białym ametystem i oglądamy, słuchamy; to jest moje najdawniejsze wspomnienie. Porządek kosmosu jest prosty i odwieczny – ja to centrum wszechświata, krążą wokół mnie dwa ciała niebieskie, miękkie i przytulne ciało matki, twarde i szorstkie ciało ojca, oboje żyją mną, dla mnie, kręcą się wokół mnie; wszystko wokół mnie się kręci. I potem festiwale piosenki, kabaret Lipińskiej, transmisje sportowe, poranki dla dzieci aż po prawdziwy koniec lat 70. – dzień bez Teleranka, za to z premierową „Brombą” w dziecięcym teatrze TV (naprawdę, tak pamiętam: 13 grudnia jedynym programem oprócz mowy generała była adaptacja mojej ulubionej książki Wojtyłki). Telewizyjne Technikum Rolnicze zahaczające o Teleranki, Adam Słodowy ze skrzynką narzędzi, wygadani okularnicy w Sondzie, Gucwińscy wśród zwierząt, Wiktor Zin i chrobot węgielka na papierze, Webern w czołówce Pegaza, Kilar w czołówce dziennika, ragtime w czołówce starego kina – moje magdalenki, mamó. „Curro Jiménez”, „Telefon 110”, pancerni, Kloss, Stirlitz, Kojak, Banaczek – seriale dla dorosłych, które mogłem oglądać razem z wami, matko, ojcie, jeśli nie było „momentów” (nazywałem je „scenami z gołym brzuchem”) ani „gehaktesów” (tak z niemiecka nazywanych przez ojca filmowych jatek). W razie jatek mama zasłaniała mi oczy, na goliznę tata zrywał się z fotela i stawał przed telewizorem, zasłaniając wszystkim, by mieć go tylko dla siebie.

Voyeurizm miał najwyraźniej za samotniczy występ; pomnę np., jak to nader chętnie zabierał mnie na weekendowe wycieczki do kąpieliska Starganiec, gdzie zniknął na długie minuty, może nawet kwadrans, a ja pilnowałem wtedy naszej suki (skądinąd nadałeś jej imię Abba, ojcie) i czekałem cierpliwie, wiedząc, że poszedł „coś załatwić”. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że Starganiec był za PRL ulubioną plażą górnośląskich nudystów. Wciąż cię odkrywam, tato, nakrywam, chciałoby się rzec. „Co raz się wydarzyło w czasie, wciąż się powtarza w wieczności”, siedzę tam ciągle „na plaży brudnopiaskowej”, a ty poszedłeś popatrzeć na toplesy, tato, zaraz przyjdiesz i wrócimy przed dobranocką, mama mi umyje głowę i będzie suszyć włosy w trakcie dziennika, przecież i tak nie warto słuchać propagandy, poczekamy na sport, pogodę i „film po dzienniku”, który zapowie Suzin albo Wojtczak, albo Loska. Tak uwielbiałem te dziennikowe rozczesywania i suszenia włosów (natura mi nie poskąpiła, wciąż się

trzymają, choć tysiąca większość rówieśników przekonuje, że podobno to z niedoboru testosteronu), że przez lata całe obiecywałem sobie zostać mężem fryzjerki. Nie udało się, ale odgłos suszarki wciąż jest moim szumieniem, a jak mnie kto dobrze poczesze, podpiszę każdy cyrograf.

Patrzę na synka mojego uważnie, bo właśnie wkroczył w czas kielkowania swoich przyszłych wspomnień. To, co tu i teraz, w przyszłości będzie wywoływało jego ataki dziecięcej tęsknoty. Ogląda Scoobiego na laptopie mamy, bo ja na swoim właśnie się melancholizuję niniejszym tekstem. Wsuwa kanapki i zajada ulubionym serkiem homogenizowanym. Czasem pogłaszcze Korka, poprosi o picie, oczy już mu się trochę kleją, zaraz pójdzie pod prysznic, ale głowy myć nie lubi. Suszarka się spaliła od moich szumisiowań, włosy nam same wysychają. Szczęściem nie mamy telewizora z dziennikiem rządowej telewizji, bo synek zapamiętałby twarze dzisiejszych funkcjonariuszy medialnych, tak jak ja zapamiętałem gęby dziennikarzy, którzy w stosownym

Powtarzałeś, tato, że świat się kończy, a on wciąż trwał i cię przeżył. A teraz ja myślę, że on się kończy naprawdę.

czasie przywdziali mundury – na ich widok powinienem się wzdygać, a kojarzą mi się z dzieciństwem, które nie było nieszczęśliwe, nic na to nie poradzę. O rozrywce w telewizji publicznej też na szczęście nie ma pojęcia, nie będzie za pół wieku łkał na wspomnienie śpiewanych aforyzmów Zenona z Gredeli ani inne kurwizyjne atrakcje jednoczące lud polski nie staną mu przed oczyma.

Być może nic mu przed nimi nie stanie, bo starość nie będzie mu dane dożyć. Powtarzałeś, tato, że świat się kończy, a on wciąż trwał i cię przeżył. A teraz ja myślę, że on się kończy naprawdę, i choć wszystkim nam coraz do tej myśli bliżej, im bardziej się tego spodziewamy, tym niespodziewaniej koniec nadejdzie. Życie nam się urwie zniemacka jak „Kunst der Fuge”, wszyscy zastygniemy w niewypowiedzianym „jak to?”. Spalimy się, utoniemy, pozabijamy, co za różnica, ważne, że już czuć ten żar, tę wilgoć, tę nienawiść, za oknem, za ścianą, pod drzwiami. Wiadomości płoną ze wszystkich stron, nie mogę już nawet czytać gazet, chowam się w głębokiej przeszłości. Siedzę na podłodze, Abba leci na drugim, przełęczcie, posłucham sobie chwilę z wami, robię się śpiący. I tak niedługo padnę i tata mnie przeniesie do łóżka.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Czy lewica ma coś do zaproponowania?

Metodą walki z wykluczeniem nie może być wykluczanie kolejnych grup

Rozmawia Tomasz Borejza

Czy macie w tej kadencji do zaproponowania coś, czego nie proponują inni?

– Rozumiemy, że nie ma solidarności bez wolności. Nie boimy się mówić o prawach człowieka i mamy zdecydowane stanowisko, jeżeli o nie chodzi. Rozumiemy też, że prawem człowieka jest prawo do mieszkania, opieki medycznej i godnie przeżywania starości. Do tej pory te wszystkie prawa nie były w pełni realizowane lub były wymieniane na coś innego, co było związane z politycznymi grami i układami. Chcemy wyjść poza te układy. Jesteśmy także tą siłą polityczną, która rozumie wagę sytuacji związanej z katastrofą klimatyczną. Wiemy, że musimy zmienić bardzo dużo i puste gesty nie wystarczą. To będzie ogromny wysiłek.

Jednak wolność jest już wypisana na sztandarach Platformy Obywatelskiej.

– Ale tylko do pewnego stopnia. Zauważ, że to wolność, która np. nie jest wolnością posiadania takiej rodziny, jaką się chce. To nie jest wolność

Nie jest tak, że mamy jednowymiarowe społeczeństwo i wrogów publicznych. Wszyscy jesteśmy częścią tego samego społeczeństwa.

od bania się o dach nad głową. To wolność rozumiana bardzo wąsko. Mam wrażenie, że Platforma weszła w przestrzeń, gdzie liczy się tylko ta „wolność”, która jest istotna w kategoriach medialnych. Tylko to, co medialnie nośne, jest głoszone i tylko o to się walczy. Jeśli chodzi o wolność słowa, PO skupia się na tym, kto i jak często jest pokazywany w TVP Info. Ja to rozumiem szerzej. Inne sprawy też rozumiem szerzej i to chcieliśmy opowiedzieć w kampanii. To samo chcemy pokazywać i robić w Sejmie.

Jak wygląda szersza definicja wolności słowa? Jestem ciekaw, bo to mnie dotyka bezpośrednio.

– To dotyczy dziennikarstwa, ale również przestrzeni publicznej i prawa do formułowania sądów. W sposób bezpośredni dotyka to obecnie także artystów, którzy tworzą sztukę krytyczną. Na takim najprostszym poziomie uważam, że powinniśmy zacząć od tego, co wolność słowa w Polsce ogranicza. Moim zdaniem to choćby zapis o obrazie uczuć religijnych. Jest to też kwestia tego, jak konstruujemy przestrzeń medialną. Mam świadomość, że to, jak media prawicowe i liberalne prezentują świat, to pytanie o rzetelność dziennikarską, ale nie tylko, bo np. o to, czy i jak dziennikarz może być obiektywny.

Nie ma ludzi obiektywnych.

– Przychylam się więc do takiej wizji, w której media jasno określają stanowisko, przekonania i mówią o wartościach, które chcą realizować. I z tej perspektywy oceniają polityków oraz ich działania. Dla mnie to system bardziej przejrzysty niż ta opowieść, w której media muszą być obiektywne. Nie uważam, by była to jedyna opowieść o tym, jak powinny działać.

Nie jest. Klasyczny model dziennikarstwa jest bliższy temu, o czym mówisz. Jednak moim zdaniem tym, co najmocniej wpływa na nierówność polskiej debaty publicznej, są pieniądze. Jest na lewicy pomysł na zapewnienie wszystkim stronom podobnej pozycji?

– Bardzo bym chciała, żeby media lewicowe uczestniczyły w tej debacie na równych prawach, ale one nie są tak dużymi graczami. Nie wiem, jak do tego doprowadzić. W Razem od dawna toczy się dyskusja o mediach,



DARIA GOSEK-POPIOŁEK

– działaczka społeczna i polityczna, posłanka na Sejm IX kadencji

ale nie daje ona rozwiązań i nie wiem, czy da. Jesteśmy jednak świadomi, że to jedna z tych zapór, z którymi musimy sobie poradzić.

Gdy kilkanaście lat temu zaczynałem pracę w zawodzie, to kiedy lewica obrażona za krytykę kolejnych posunięć Leszka Millera dążyła do likwidacji sympatyzujących z nią mediów, prawica inwestowała w rozwój zaplecza medialnego. Dbła o to też przez kolejne lata i dziś nierównowaga jest gigantyczna.

– Masz rację, ale obecnie pojawia się możliwość korzystania z alternatyw, np. mediów społecznościowych. Te jednak są dla nas kochanym wrogiem, ponieważ równocześnie pomagają nam i zamykają nas w bańkach informacyjnych. Mam nadzieję, że im bardziej dyskurs lewicowy będzie się umacniał, tym mocniejsze będą media prezentujące taki światopogląd.

Nie wiem, czy to jednak nie jest relacja odwrotna. Powiedziałaś o wolności, ale też o solidarności. W ostatnich latach idea sprawiedliwości społecznej jest nie tylko najmocniej obecna od początku III RP, ale chyba również najlepiej realizowana. Trudno wam będzie z tym konkurować.

– Zgodzę się z obserwacją, że za rządów PiS hasła solidarności i sprawiedliwości społecznej wróciły po latach wygnania. Jednak wciąż

odbywa się to kosztem czegoś. Wciąż jakaś część rodzin jest wykluczona z tego wsparcia. Także symbolicznie. Mamy deklaracje wsparcia osób starszych, ale nie mamy spójnego systemu, który by takie wsparcie zapewnił. Wciąż jest kwestia instytucji związanych z polityką opiekuńczą, z transportem, tych które sprawują funkcję kontrolną, jak NIK.

Polityka sprawiedliwości społecznej nie jest realizowana całościowo. Dla mnie jako matki 500+ jest ogromną pomocą. Jednak mieszkając w Krakowie, muszę liczyć na prywatny żłobek, znacznie droższy niż 500 zł.

To prawda, ale w ten sposób połowę mam zapłaconą, a do niedawna nie miałbym nic.

– Oczywiście. Z perspektywy „nic” albo „coś” zwykle wolimy „coś”. Powinniśmy jednak przestać myśleć, że musimy zadowalać się małym. Możemy zacząć walczyć o instytucje. O publiczne żłobki, o pekaesy, o kolej. 500+ pomoże dziecku w dojeździe do szkoły, ale może bardziej pomogłoby połączenie autobusowe albo kolejowe.

Mamy ustawę pekaesową. O naprawie państwa w innych sferach dużo się mówi.

– Z pekaesami sprawa jest skomplikowana, bo z tą ustawą są liczne problemy. Natomiast lewica jasno mówi, że wsparcia potrzebują wszystkie rodziny. Także związki jedнопłciowe, samodzielne matki i ojcowie. To może się wydawać mniejszym problemem, ale w tęczy rodzinach wychowuje się ok. 100 tys. dzieci, a są to rodziny, których polskie prawo nie uznaje. Chodzi też o osoby i rodziny, które dotyka symboliczne wyrzucenie poza nawias. Choćby w postaci uchwał anty-LGBT. Grupa osób, które nie pasują do opowieści PiS o Polsce, polskich rodzinach i polskich miastach, jest bardzo duża. Nie mamy więc pełnej solidarności. To solidarność z grupą, która spełnia określone wymagania.

Jest również kwestia tego, co pojawia się w naszym projekcie emerytalnym, czyli podniesienia minimalnej emerytury oraz emerytury obywatelskiej. Będzie to dyskusja trudna, ale potrzebna. Bardzo dużo ludzi, którzy przez lata pracowali na śmieciówkach, nie będzie mieć prawa do godnej emerytury. Trzeba zacząć o tym myśleć teraz, zanim to pokolenie wejdzie w wiek emerytalny i będzie za późno.

Może się okazać, że emerytura obywatelska nie będzie trudnym tematem. Policzyłem kiedyś, ile wyniosłaby teraz, gdyby zachować budżet i zmienić system. Większość by skorzystała.

– Tak, ale zdajesz sobie sprawę, że w Polsce jest niesamowita tendencja do bronięcia przez osoby słabsze i będące w większości interesu bogatszej mniejszości, która tej obrony nie potrzebuje, bo doskonale sobie bez niej radzi. I dzięki temu jej głos przeważa w debacie publicznej.

Dlaczego tak jest?

– Nie wiem.

Ja uważam, że to dziedzictwo transformacji gospodarczej i sposobów myślenia, które nam wtedy wpojono. Ale dopytuję nie bez powodu. Mam poczucie zdominowania przestrzeni politycznej przez duopol PO-PiS i staram się zrozumieć, gdzie w podziale na Polskę liberalną i solidarną widzi dla siebie miejsce lewica.

– Jest jeszcze jeden ważny wątek. Kwestia tego, czy jesteśmy państwem nowoczesnym. Dotąd za takie uważano państwo, które miało autostrady, biurowce, wzrost PKB i *outsourcing*. Teraz pojawia się grupa, która mówi, że takie państwo nie jest nowoczesne, tylko aspirujące, na dorobku, w sytuacji postkolonialnej, zapatrzone w powierzchowne wzorce dobrobytu, które próbuje realizować. A państwo

Lewica jasno mówi, że wsparcia potrzebują wszystkie rodziny. Także związki jedнопłciowe, samodzielne matki i ojcowie.

naprawdę nowoczesne działa inaczej. W innych kategoriach postrzega godność człowieka i inaczej ją realizuje. Wydaje mi się to możliwe także dlatego, że coraz młodsze pokolenia mogą głosować, a one widzą inne rzeczy niż pokolenie moich rodziców lub moje. My jeździliśmy na zmywak.

Jeździliśmy.

Daria Gosek-Popiołek – feministka, działaczka na rzecz kultury, członkini Stowarzyszenia Kuźnica i współorganizatorka krakowskich Manif. Współtworzyła Stowarzyszenie Zakład Usług Miejskich. W wyborach parlamentarnych w 2019 r. uzyskała mandat posłanki, startując w okręgu krakowskim i otrzymując 17 488 głosów.

– I to jest nasze doświadczenie. Pamiętam sytuację, kiedy miałam umowę-zlecenie za 800 zł, pracowałam do godz. 22 w piątek w biurze.

Mamy dużo wspólnych doświadczeń pokoleniowych.

– Umowę w wydawnictwie traktowałam jak awans. A teraz patrzę wstecz i widzę, że to był czas, w którym nie za wiele się nauczyłam, nic nie oszczędziłam i niczego nie odłożyłam na emeryturę. Będę miała pięć-siedem lat „pustych”, bo pracowałam na zleceniach, nikt nie opłacał za mnie składek. I jeżeli nie zadamy o faktyczną sprawiedliwość społeczną, nikt mi tego czasu nie zwróci.

Opozycja związana z PO chce powrotu do tego, co było wcześniej, zanim PiS przebudowało debatę publiczną. Ty brzmisz, jakbyście chcieli iść dalej.

– My ten wątek przepracowaliśmy, kiedy od 2017 r. odbywały się protesty związane z sądami. Stawialiśmy sprawę bardzo jasno. Wychodzimy na ulice, często współorganizujemy protesty, ale mówimy, że nie ma powrotu do tej sytuacji, która była wcześniej. Sądy nigdy nie działały bez zarzutu. Dlatego wydarzyła się afera reprivatyzacyjna. Dlatego kobiety, które samodzielnie wychowują dzieci, przez lata nie mogły się doczekać sprawiedliwości, kiedy chodziło o pomoc i opiekę ze strony państwa. Tak

samo kobiety, które doświadczają przemocy. Dlatego twardo mówimy, że do pewnych rzeczy nie ma powrotu. Nie ma restauracji. Nie jest możliwe, żebyśmy mieli taki świat, jaki był przed rokiem 2015, bo to nie była dobra rzeczywistość. Niezależnie od tego, co się dzieje teraz, nie było dobrze.

Gdyby było dobrze, pewnie nie byłoby tego, co dzieje się teraz.

– System był niestabilny, niewydolny i oparty na wykluczeniu, także symbolicznym, dużej grupy ludzi. Jednak metodą walki z wykluczeniem nie może być wykluczanie kolejnych grup. Państwo powinno dawać bezpieczeństwo wszystkim obywatelom i obywatelkom oraz tym, którzy mieszkają w jego granicach. To jest duży problem i kwestia wizji, jak ma wyglądać Polska.

► **Wydaje mi się, a polityka to też procenty, że opowieść PiS jest przeznaczona dla liczniejszego elektoratu. Macie pomysł, jak wyjść poza 15% poparcia?**

– Na to pytanie odpowiedzi będziemy szukać przez kolejne cztery lata. To pytanie o strategię parlamentarną, prezydencką. O to, jak chcemy działać w terenie i budować struktury. Nie możemy być tylko w parlamencie. Musimy być obecni wśród ludzi. Bawowało na tym PiS, które nie obrażało się na wyborców, wychodziło do nich i słuchało. A ja mam doświadczenia z przedwyborczych debat organizowanych np. na placach handlowych. Sprzedawcy denerwowali się, że politycy przeszkadzają im pracować. Nie chcieli nas słuchać. Atakowali postów PO, opozycji. Były emocje. Można było się obrażać i tłumaczyć sprzedającym, że są oczadziali dezinformacją z TVP Info – taką metodą wybrała część polityków PO – odmawiać im głosu i kazać się słuchać. Ale można było uznać prawo tych osób do niezadowolienia, porozmawiać i to zrozumieć.

Po prostu potraktować ludzi z szacunkiem, na który zasługują.

– Takie rozmowy to baza do budowania relacji. Lewica musi pokazywać wyborcom – szczególnie PiS – że rozumiemy, dlaczego tak wybierali, że rozumiemy ich problemy i to, jak wszystko działało przed paroma laty. I że nie tylko niczego nie zabierzemy, ale jeszcze będziemy się starać, by te instytucje były mocniejsze, żeby pomoc była systemowa. Równocześnie musimy tłumaczyć, pokazywać, że grupy, na których dotąd skupiała się niechęć PiS, nie są złe. Nie jest tak, że mamy jednowymiarowe społeczeństwo i wrogów publicznych. Wszyscy jesteśmy częścią tego samego społeczeństwa.

Jeszcze przed wyborami w 2015 r. przebudowano całą dyskusję w Polsce. Jednym z narzędzi zmiany była polityka historyczna. Planujecie wejść w dyskusję o polskiej historii?

– Wchodziłam w nią wiele razy. Na przykład podczas rozdawania ulotek mówiłam, że Ignacy Daszyński był socjalistą. Dowiadywałam się wtedy zwykle, że Daszyński nie mógł być

socjalistą, bo był patriotą, a polski patriota nie może być socjalistą. Lewica położyła kwestię polityki historycznej, ale to się zmienia. Zaczynamy o tym rozmawiać od innej strony. Korzystamy z doświadczeń feminizmu. Chcemy budować narracje historyczne o kobietach, o innej stronie rzeczywistości, o ruchu robotniczym, ruchu ludowym. O doświadczeniach, które fundowały naszą historię, a niekoniecznie są zwycięskimi bitwami z wrogiem. W ten sposób można pokazać inne oblicza patriotyzmu, choćby to, że jest nim walka o prawa wyborcze. To jednak proces.

Wszyscy wyborcy lewicy, z którymi rozmawiam, przyjmują to, co się zdarzyło w ostatnich wyborach, z nadzieją i troską. Nadzieją, że lewica w końcu znalazła formułę, która pozwoli jej zagościć w Sejmie. A troską o to, czy się nie pokłóćcie. Jak będzie?

– Docieramy się. I jeżeli nadal będzie tak jak teraz, to mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

Tomasz Borejza

Szkolenia WORDPRESS

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl






SzkoleniaMi.pl
Profesjonalne szkolenia informatyczne

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Chodź, powiem ci, kto to chasyd

Kiedy cadyk (charyzmatyczny duchowy przywódca chasydów) chciał zwerbować nowego zwolennika, kuśił go słowami: „Chodź, powiem ci, kto to chasyd”. Kryła się za tym obietnica uchwycenia „prawdziwej natury” chasydyzmu, istoty zjawiska, tego, co najważniejsze. I to właśnie w swojej wieloletniej pracy robi z powodzeniem prof. Marcin Wodziński, jeden z najznakomitszych specjalistów od chasydów na świecie, autor kilku wyczerpujących książek o tym ekstazyjnym ruchu religijnym. Ostatnio ukazał się jego „Chasydyzm. Atlas historyczny”, kartograficznie opracowany przez Waldemara Spalleka. Rzecz wyjątkowa i już doceniona na świecie, nie tylko przez gojów, ale i – co ważniejsze – przez chasydów właśnie.

Definicje, które profesor przytacza we „Wstępie do chasydyzmu”, skupiają się na chasydzkiej pobożności, restrykcyjnej religijności, specyficznym stroju, wschodnioeuropejskich korzeniach ruchu czy jego domniemanym twórcy – Beszcie. Ruch ten stał się w XIX w. masowy i obrosł setkami legend i przesądów. Dominowało przekonanie, że to sekta – *kat chasidim* (sekta chasydów), i *minut* – herezja, odszczepieństwo. Pisano także o niskich kompetencjach intelektualnych chasydów czy – szerzej – o antyintelektualnym charakterze chasydyzmu

w ogóle. Mówiono, że wyznawcy słabo znali podstawowe hasła i pojęcia kabalistyczne, a z księgą Zohar obcowali „dla pobudzenia pobożności”, bez głębszej analizy tekstu. Wodziński zajmuje się recepcją mistyków, interesuje go, jak byli postrzegani, ale przyjmuje inną perspektywę niż większość badaczy, bo performatywną – w celach badawczych sięga do praktyk i deklaracji szeregowych zwolenników ruchu. Bada religijność oddolnie, poprzez zwyczaje i codzienność wyznawców. W „Atlasie historycznym” wyjaśnia np., jak działał dwór cadyka.

Pielgrzymka na taki dwór była jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu religijnym chasyda. Zazwyczaj cadyk mieszkał w niedużym mieście lub na wsi i wycieczka zajmowała wiernym kilka dni, składały się na nią bowiem modły w bożnicy, rytualne tańce, rozmowy na tematy religijne i oczekiwanie na wezwanie cadyka. Wodziński zaznacza, że charyzmatyczny przywódca mógł wezwać do siebie o trzeciej, czwartej czy piątej rano. Przecież wszystko podczas pielgrzymki miało być nadzwyczajne, włączając czas świętej wizyty. Profesor opisuje dwór jako miejsce pełne życia, gdzie swoje funkcje (czasem quasi-religijne, jak pewnego rodzaju pośrednic-

two) miały matki, żony czy córki cadyka. Chociaż trzeba zaznaczyć, że chasydyzm nie tylko nie dopuszczał kobiet do pełnienia wyższych funkcji, ale po prostu kobieta nie mogła być chasydem/chasydką, aczkolwiek badacze mówią o pewnej kobiecie cadyku. Natomiast synowie charyzmatyków najczęściej przejmowali stopniowo funkcje duchowych przywódców. Na dworze funkcjonowało wielu współpracowników – m.in. skryba czy gabaj (człowiek, który zajmował się kontaktami cadyka z jego chasydami). Był też bliski krąg najbardziej oddanych uczniów i rezydentów, którzy przebywali czasem na dworze kilka miesięcy z rzędu.

Wodziński pisze o kłopotach, jakie niesie ze sobą słowo sekta, które – najpierw neutralne – stało się z czasem pejoratywne, kojarzone z nieracjonalnymi zachowaniami, przemocą wewnątrz grupy, wrogością wobec świata zewnętrznego itd. (włączając nieobliczalne, manipulujące przywództwo i techniki prania mózgu). Słowo to stało się tak stygmatyzujące, że właściwie nie można go używać w dawnym, nieobciążonym znaczeniu. Wodziński podkreśla, że chasydzi nigdy sektą nie byli, funkcjonowali

Cadyk mógł wezwać do siebie o trzeciej, czwartej czy piątej rano. Przecież wszystko podczas pielgrzymki miało być nadzwyczajne.

raczej jak bractwo, różnice liturgiczne wywodzili z tradycji, a zanoszenie prośb do cadyka (chodzi o tzw. kwitle) także miało w judaizmie długą tradycję. Nowością zaś były interpretacje pewnych praktyk religijnych, takich jak gestykulacja w trakcie modlitwy. I oczywiście rola cadyka, który nie tylko był duchowym przewodnikiem, ale także potrafił czynić cuda. Czytając źródła, które ukazały się w opracowaniu Marcina Wodzińskiego, można się przekonać, ile czasu i energii poświęcano na formułowanie rozmaitych, nieraz bardzo przyziemnych prośb: o to, żeby żona zaszła w ciążę, żeby ustąpiło krwawienie z ust, żeby komuś tam się powiodło. Źródłem historycznym może być dla Wodzińskiego wszystko. Zbadał spisy pożarowe, książki telefoniczne chasydów, wpływ kolei na życie duchowe itd.

Profesor używa w pracy także narzędzi socjologicznych, co łatwo zauważyć, studiując choćby wydany ostatnio „Atlas historyczny”. Jeśli nadal nie wiedzą Państwo, „kto to chasyd”, gorąco zachęcam do lektury tej publikacji. W przeciwnym razie też do niej Państwa zachęcam.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Zielona szafa

Światowy przemysł tekstylny próbuje się zmierzyć z wyzwaniem katastrofy klimatycznej



Drzewa wykorzystane w pokazach Diora zostały potem przesadzone do parków i na skwery. Nz. Julianne Moore na Paris Fashion Week, 24 września 2019 r.

Mateusz Mazzini

Gabriela Hearst przez lata zdobyła status jednej z największych modyfikacji ikon Ameryki Południowej. Urodzona w Urugwaju projektantka, znana przede wszystkim z charakterystycznych małych torebek, na modowe szerokie wody wypłynęła w Nowym Jorku, gdzie do dziś mieszka i tworzy. Jej projekty są utrzymane w bardzo klasycznym, uniwersalnym stylu – od dawna przykuwają uwagę na największych branżowych imprezach. A niewprowadzone do seryjnej produkcji prototypy potrafią wywołać szal wśród kolekcjonerów.

Nikogo zatem nie powinno dziwić, że pokaz zapowiadający wiosenną kolekcję projektantki na 2020 r. wzbudził ogromne zainteresowanie mediów. Jednak tym razem akurat nie chodziło o torebki ani inne elementy kreacji prezentowanych na wybiegu. Zaplanowany na 11 września zeszłego roku pokaz w ramach nowojorskiego tygodnia mody był bowiem zapowiadany jako pierwsza w historii sektora mody impreza w całości zeroemisyjna. Innymi słowy, ani trochę nie powiększył globalnego poziomu emisji dwutlenku węgla do atmosfery.

Żeby ten cel osiągnąć, należało zreorganizować logistykę i samo wydarzenie. Uczestniczyć w nim mogły tylko modelki, które do Nowego Jorku nie musiały się dostać

samolotem. Wybierano je spośród obecnych na miejscu albo mogących przyjechać pociągiem. Wbrew pozorom nie było to wielkim wyzwaniem, bo w czasie tygodnia mody Nowy Jork jest zalany modelkami, a wiele z nich przyjeżdża w ciemno kilka dni czy tygodni przed rozpoczęciem serii pokazów, licząc na angaż w ostatniej chwili. Trudniej było zamortyzować szkody klimatyczne niezwiązane z fizyczną obecnością ludzi. Jak można przeczytać na stronie internetowej projektantki, podawane za kulisami jedzenie pochodziło wyłącznie od

Branża, której istnienie opiera się na tworzeniu trendów, przyjęła teraz trend z zewnątrz: bycie eko.

lokalnych dostawców, wyeliminowano plastikowe naczynia i narzędzia, zminimalizowano zużycie energii przy przygotowaniu pokazu. Problem tego, bez czego nie można było się obejść, czyli np. zużytego mimo wszystko prądu, rozwiązano poprzez przekazanie równowartości kosztów energii na konto Hifadhi-Livelihood Project, organizacji pozarządowej zajmującej się ochroną środowiska i zrównoważonym rozwojem w Kenii. I choć oczywiście był to przede wszystkim zabieg marketingowy, właśnie Gabriela Hearst zyskała miano pierwszej projektantki mody, która pokazała światu nową kolekcję bez pogarszania stanu atmosfery.

Sceptycy natychmiast powiedzą, że nie ma z czego się cieszyć, bo

jeden pokaz ekologicznej rewolucji w modzie nie czyni. Mylą się jednak ci, którzy uważają, że inni projektanci, a przede wszystkim producenci, nie mają zamiaru zmieniać podejścia do środowiska naturalnego. Branża, której całe istnienie opiera się na tworzeniu trendów, przyjęła teraz trend z zewnątrz: bycie eko.

Szybki przegląd informacji prasowych z ostatnich kilkunastu miesięcy pokazuje, że zielone oblicze chce pokazać każdy większy gracz, zarówno ekskluzywni projektanci, jak i sieciówki. Zaledwie dwa dni po

pokazie Gabrieli Hearst zeroemisyjny *show* zrobił dom mody Gucci. Dior w nowojorskiej imprezie wykorzystał sto drzew, które zostały potem przesadzone do lokalnych parków i na skwery. YSL do oświetlenia pokazu użył generatorów na biopaliwo.

Ze wszystkich gigantów najdalej poszedł koncern LVMH, właściciel m.in. marki Louis Vuitton, który powołał w swojej strukturze specjalny program LIFE, mający już w tym roku zmniejszyć o 25% emisję dwutlenku węgla generowaną przez spółkę i tak zreformować łańcuch dostaw, aby stał się bardziej przyjazny dla środowiska naturalnego. Co ciekawe, LIFE w korporacji LVMH istnieje od 2012 r., lecz dopiero w ostatnich kilkunastu miesiącach zaczął być

wykorzystywany przez firmowy PR jako wizytówka koncernu w czasach ekologicznej rewolucji.

Zwrot ku redukcji zanieczyszczeń w modzie i przemyśle tekstylnym jest zjawiskiem tyleż pozytywnym, co koniecznym. I niestety o wiele lat spóźnionym. Bo choć wytwórcom tekstyliów daleko do reputacji globalnych trucicieli, jaką mają przemysł ciężki, lotnictwo czy przemysł zbrojeniowy, i tak ślad w środowisku naturalnym pozostawiany przez produkcję ubrań jest trudny do wyobrażenia.

Według danych firmy doradczą McKinsey światowy przemysł tekstylny odpowiada aż za 10% wszystkich emisji dwutlenku węgla na naszej planecie. Dla lepszego zobrazowania sytuacji – przewyższa to zsumowane emisje całego lotnictwa cywilnego i handlu morskiego. Dzieje się tak, ponieważ kupujemy coraz więcej ubrań. Z jednej strony, dlatego że stać nas na nie dzięki bogaceniu się zachodnich społeczeństw, a z drugiej – są ogólnodostępne i tanie, co z kolei jest konsekwencją globalizacji i przenoszenia produkcji do krajów z niemal darmową siłą roboczą, nieuwzględniających praw pracowniczych ani higieny pracy. *Think tank* przy Światowym Forum Ekonomicznym w Davos szacuje, że globalna produkcja ubrań podwoiła się przez ostatnie dwie dekady. Nie znaczy to jednak, że nasze szafy pęcznią – choć kupujemy dwa razy więcej ciuchów, korzystamy z nich średnio dwa razy krócej niż jeszcze 15 lat temu. Cała reszta ląduje w koszu. Pod tym względem globalne statystyki są szokujące. Portal Business Insider, cytując dane Europejskiej Komisji Gospodarczej, pisze, że na wysypiskach ląduje aż 85% rocznej produkcji ubrań z segmentu *fast fashion*, czyli produkowanych przez tanie sieci odzieżowe.

Na tym łańcuch katastrof się nie kończy. W ponad 60% produktów przemysłu tekstylnego znajduje się poliestr lub inne materiały i elementy zawierające plastik. Przez szybką utylizację, ale też najzwyczajniejsze pranie w pralce mikrocząsteczki plastiku trafiają do środowiska, głównie do zbiorników wodnych. Autorzy raportu organizacji Union for Conservation of Nature z 2017 r. szacują, że aż 35% plastiku w oceanach pochodzi właśnie z ubrań powstałych

w produkcji *fast fashion*. Nie mówiąc o litrach wody zużytej do ich wyprodukowania i wielokrotnego prania.

Nie wszystkim jednak ta masowość się opłaca. Konsumenci stają się coraz bardziej świadomi i zaczynają unikać marek szkodzących środowisku, wielkie sieci odzieżowe mogą więc mieć kłopoty z utrzymaniem zysków na odpowiednim poziomie. Zwłaszcza jeśli zamykają rok, tak jak szwedzki koncern H&M w 2018 r., z niesprzedanymi ubraniami o wartości prawie 4,5 mld dol. Jak zatem tekstylni giganci mogą przyciągnąć do siebie nowych, bardziej wybrednych klientów, jednocześnie nie tracąc starych? Próbuje zbudować wokół siebie aurę marki proekologicznej.

Właśnie H&M jest dobrym przykładem zwrotu korporacyjnego w kierunku dbania o środowisko naturalne. Od 2011 r. pod marką H&M Conscious sprzedaje produkty m.in. z powtórnie użytej bawełny. Od 2013 r. z kolei prowadzi kampanię zbierania w swoich sklepach (a ma ich prawie 5 tys. na całym świecie) starych ubrań, oferując klientom zniżki za ich oddanie. Firma zmieniła też zasady funkcjonowania łańcucha dostaw, eliminując chociażby plastikowe opakowania w fabrykach w Indiach i Bangladeszu. I choć wraz z koncernem Inditex, zarządzającym markami Zara, Stradivarius i innymi, Szwedzi pozostają liderami

ekologicznej zmiany na rynku, wciąż zachodzi ona zbyt wolno.

Eksperci są zdania, że jej przyspieszenie stanie się możliwe, tylko jeśli zmianie w podejściu do produkcji towarzyszyć będzie przełom technologiczny. Rozwiązaniem problemów branży ma być wprowadzenie na masową skalę drukarek 3D. Matthew Drinkwater z London College of Fashion twierdzi, że ich zastosowanie w procesie projektowania, tworzenia prototypów i później regularnej produkcji mogłoby z czasem bardzo zredukować negatywne skutki działania przemysłu odzieżowego. Pierwsze kroki są już zresztą podejmowane – zarówno sieciówki, np. H&M, jak i bardziej ekskluzywne marki, Prada czy Dior, rozwijają działy technologiczne, a szwedzki koncern ma nawet stanowisko dyrektora ds. sztucznej inteligencji.

Na końcu tego łańcucha znajdujemy się jednak my, konsumenci. I to w nas musi się dokonać największa zmiana. Badania przeprowadzone przez firmę Deloitte pokazują, że najwięcej ekologicznie świadomych klientów jest wśród mileniśców. Tylko że nawet tam, gdzie są najliczniejsi, czyli w USA, stanowią zaledwie 49% wszystkich kupujących ubrania. Dopóki ten odsetek się nie podwoi, o zielonej rewolucji w modzie będziemy mogli zapomnieć.



Wydawnictwo MG w Warszawie
 PRZEDSIĘWZIĘCIA POWIĘŻONE
 AUT. TADEUSZA DOŁĘGI-MOSTOWICZA
 II. PROKURATOR ALICJA HORN
 NOWA SERIA: SERIA FANTASTYCZNA PASTORAŁ
 WYPIĘKLIWY ŚWIAT FANTASTYCZNEGO WYKŁADU
 WYKŁADY NA WIELKOŚĆ

www.wydawnictwomg.pl

A serce robi swoje

Na oddziale onkologicznym najistotniejsze są numery telefonów krewnych

Christie Watson

Rak, podobnie jak ciąża, jest niewidzialny, dopóki nie przydarzy się nam albo naszym bliskim, a wtedy nagle widzimy go wszędzie. (...) Zachoruje na niego połowa z nas. W Wielkiej Brytanii co dwie minuty rozpoznaje się u kogoś nowotwór. Wszyscy będziemy mieć z nim do czynienia.

Na oddziałach onkologicznych zawsze panuje ruch. Podobnie jak w przychodniach onkologicznych, na oddziałach dziennych i w placówkach prowadzących chemioterapię. W przychodniach, gdzie pacjenci czekają czasem na pierwszą diagnozę, nie ma wolnych miejsc siedzących. Ściany podpira kolejka wychudzonych, zalewających się potem, obojętnych pacjentów (...).

Oddziałyienne są stale przepełnione i mamy mnóstwo pilnych wezwań, ponieważ na pierwszą chemioterapię wielu pacjentów reaguje wstrząsem anafilaktycznym. Nie ma tu łóżek, tylko rozkładane fotele, a między pacjentami śmigają pielęgniarki podające chemioterapeutyki do wkłucia centralnego (cewników Hickmana), zakładające specjalne chłodzące czepki kobietom chorującym na raka piersi i desperacko pragnącym ocalić swoje i tak wątłe włosy, donoszące kubki z lodem pacjentom ze straszliwymi owrzodzeniami w ustach.

Podczas podawania leków cytostatycznych pielęgniarki muszą zachowywać wyjątkową ostrożność. Terapie nowotworowe opracowano podczas II wojny światowej, gdy okazało się, że gaz musztardowy, środek bojowy stworzony przez armię amerykańską, działa toksycznie na komórki szpiku kostnego. Japońskie środowisko medyczne zauważyło, że szpik kostny ofiar ataków atomowych na Hiroszimę i Nagasaki uległ całkowitemu zniszczeniu. Pewnego Żyda z polsko-amerykańskiej rodziny, niejakiego Sidneya Farbera, jak

wielu innych Żydów nie przyjęto tymczasem na uczelnię medyczną w Stanach Zjednoczonych i w połowie lat 20. rozpoczął studia medyczne w Niemczech. Jakiś czas później powrócił do Ameryki i kontynuując naukę na Harvardzie, ożenił się z Normą Holzman, autorką książek dla dzieci i płodną poetką. Niedługo po zakończeniu II wojny światowej Farber odkrył, że środek zwany aminopteryną pomaga dzieciom chorującym na ostrą postać białaczki, hamując proces związany z podziałem komórkowym. Tak narodziła się współczesna chemioterapia. Domyślam się, że zarówno Farber, jak i jego żona poetka jednakowo poszukiwali w życiu sensu.

Poszukiwała go też Jane Cooke Wright. Jej ojciec był jednym z pierwszych czarnoskórych absolwentów Wydziału Medycyny Uniwersytetu Harvarda, a Jane, ukończywszy najpierw uczelnię artystyczną, zaczęła studiować medycynę i w 1945 r. została lekarką. Jane Cooke Wright odkryła środek zwany metotreksatem, dziś stosowany powszechnie w chemioterapii. Uratowała tym życie milionom ludzi. W późniejszym

Pielęgniarstwo polega na umiejętności zapewnienia pacjentowi i jego rodzinie komfortu.

okresie podjęła współpracę z Jewel Plummer Cobb, inną uczoną, i razem odkryły, że metotreksat znajduje zastosowanie w leczeniu określonych typów raka skóry, raka płuc oraz białaczki dziecięcej. (...)

Cytostatyki, leki stosowane w chemioterapii, działają toksycznie na komórki. Organizacja Cancer Research UK przyrównuje chemioterapię do strzelania z armaty do wróbla. Działanie leków cytostatycznych polega na hamowaniu czy też przerywaniu aktywności komórkowej na określonym etapie cyklu komórkowe-

go. Ale cytostatyki niszczą wszystko. Lecząc raka, mogą go także wywołać. Na czas zabiegów pielęgniarki wieszają na drzwiach oddziału tabliczkę zakazu wstępu, żeby do środka nie dostały się osoby niepowołane. Same pielęgniarki zakładają fartuchy ochronne, wciągają dwie pary rękawiczek, osłaniają twarz i oczy, pilnują, żeby nic nie pękło, i obchodzą się z preparatami jak z jajkami. Rozlany lek do chemioterapii to poważny powód do żartów.

Niektóre środki się utleniają, co oznacza, że mogą trafić do układu oddechowego. Jeśli tak się stanie albo zostaną połknięte lub przenikną przez skórę, mogą wywołać u pielęgniarki raka czy zwiększyć prawdopodobieństwo zachorowania w przyszłości. Ten lek wprowadzamy bezpośrednio do krwiobiegu pacjenta. To dlatego po dwóch dniach leczenia niektórzy pacjenci nie są w stanie ustać na nogach i wymiotują żółcią do oporu, a nawet zdarza się, że ich skóra nabiera odmiennego koloru i zapachu; to efekt zatrucia.

Maria Skłodowska-Curie, która wyemigrowała na studia do Francji, zdobyła dwie Nagrody Nobla za odkrycie radu i polonu. Pod jej kierunkiem przeprowadzono pierwsze w świecie badania nad leczeniem nowotworów za pomocą izotopów promieniotwórczych. Tak powstała radioterapia. Dziś w leczeniu raka łączy się często chemioterapię, radioterapię oraz interwencje chirurgiczne. Oczywiście z uwagi na postępy w dziedzinie chemioterapii i radioterapii oraz zmianę w podejściu do ich stosowania wskaźniki wyleczeń i przeżywalności z roku na rok rosną. Wiemy już, jak ważne jest ostrożne obchodzenie się z lekami do chemioterapii, i rozumiemy zagrożenia płynące ze stosowania radioterapii. Sama Skłodowska-Curie nabawiła się odmiany raka zwanej niedokrwistością aplastyczną po tym, jak nosiła w fartuchu laboratoryjnym próbki radu rozświetlające kieszeń jak piękne fluorescencyjne gwiazdki nad dziecięcym łóżkiem.



Pewne czynniki zmniejszają prawdopodobieństwo zachorowania na nowotwór. Z rządowych programów profilaktyki zdrowotnej możemy się dowiedzieć, że do czynników rakotwórczych zalicza się: papierosy, alkohol, przypaloną żywność, środki czyszczące, pestycydy, dorastanie w pomieszczeniach pełnych azbestu. Zdarza się jednak, że lekarze nie umieją określić, dlaczego dana osoba zachorowała. (...)

W miarę jak przybywa mi lat i widzę wokół siebie coraz więcej nowotworów, mogę sobie tylko przypominać, by spędzać życie sensownie i szczęśliwie, cenić to, co czyni nas ludźmi: nie dobra materialne, tylko miłość, dobroć, nadzieję. Co dzień staram się pamiętać, że nie my panujemy nad wiatrem. (...) Czasem raka nie da się wyjaśnić. Tak jak kart, które trafiają nam się w grze. W każdym razie rak przypomina nam o tym, co się naprawdę liczy.

Pracuję jako pielęgniarka od 20 lat, ale dopiero gdy przedwcześnie umiera na raka płuc mój tata, zaczynam rozumieć znaczenie dobroci oraz tkwiącą u jej podstaw głębię czło-

Rak jest niewidzialny, dopóki nie przydarzy się nam albo naszym bliskim.

wieczeństwa. Gdy wszystko już zawiodło – chemioterapia, radioterapia i leki – a wraz z zespołem onkologów, radiologów, ultrasonografistów i naukowców salę opuszcza nadzieja, to czuwająca przy łóżku pielęgniarka ma do zaoferowania coś innego: godność, spokój ducha, nawet miłość. Po śmierci Curie-Skłodowskiej jej dzieło jest kontynuowane. W Wielkiej Brytanii pielęgniarki onkologiczne z organizacji Marie Curie pomagają rocznie 40 tys. nieuleczalnie chorych – ludziom, którym medycyna nie może już pomóc.

Cheryl, pielęgniarka mojego taty, wykonuje obowiązki, które są mi rzeczą jasną dobrze znane. Przygotowuje przepisane leki. (...) Czujna jak zawsze zagląda do zaleceń i ponownie sprawdza dawkę. O przebiegu leczenia zdecydował onkolog taty, który rozważył wpięty szereg zmiennych naukowych i indywidualnych czynników: metabolizmu leków w za-

atakowanej przez przerzuty chorobie, maksymalne stężenie w osoczu, różnice we właściwościach wiązania się z receptorami opioidowymi.

Cheryl przewiduje zawczasu ból taty, obserwuje mowę jego ciała, nasłuchuje barwy głosu i zwraca uwagę na przerwy w rozmowie: to, co niewypowiedziane.

– Nic mi nie jest – odzywa się tata.

Mówi głosem nieznacznie tylko wyższym, ale rozmawiała z nim przez tyle godzin i tak często go słuchała, że wie. Podaje lek, siedzi przy nim w milczeniu przez dobry kwadrans i rozsuwa zastony dopiero wtedy, gdy lek przeciwbólowy zaczyna działać. Cheryl dobrze wie, że gdyby nie spotkała się z bólem w połowie drogi na szczyt, lekarstwo nie zadziałałoby tak skutecznie. (...)

Uczę się wtedy, że pielęgniarstwo polega nie tyle na wypełnianiu obowiązków, co na umiejętności zapewnienia pacjentowi i jego rodzinie komfortu w najdrobniejszych szczegółach. Zaszczepem jest towarzyszenie ludziom w granicznych, ważkich chwilach największej słabości, zaszczepem jest umiejętność pokochania zupełnie obcych ludzi. Pielęgniarstwo, tak jak

► poezja, to sfera, w której fakt styka się z przenośnią. (...) Jest – lub powinno być – bezkrytycznym aktem troski, współczucia i empatii. Powinno nam przypominać o naszej zdolności darczenia człowieka uczuciem. Jeśli poziom rozwoju społeczeństwa wyraża się tym, jak traktuje ono swoich najsłabszych obywateli, to sam akt opieki staje się miarą człowieczeństwa.

A jednak jest to najbardziej niedoceniana ze wszystkich profesji. Każdy, kto na ścieżce zawodowej zetknął się z rakiem, pojmuje jednak istotę pielęgniarstwa i je ceni, bo wie być może, że gdy człowiek staje u kresu, to nie remedium, które zresztą często już nie działa, liczy się najbardziej. (...)

W szpitalach szafuje się określeniem „śmierć naturalna”, jakby umieranie bez interwencji było czymś przyjemnym. A nie jest. W chorobie nowotworowej śmierć naturalna wygląda nienaturalnie, okropnie. Człowiek zaczyna się psuć, śmierdieć, gnić, żyły wydymają mu się i skręcają, i poci się, jakby przeciekała mu skóra, wilgotnieje jak ser pozostawiony po pikniku w pełnym słońcu. Śmierć naturalna potrafi się zmienić w najokrutniejszą torturę, a radioterapia paliatywna, choć także dręcząca, bywa okrucieństwem łagodniejszym.

Tata leży, ale czas zwolnił. Mimo to łaknie jeszcze każdej godziny, każdej sekundy. Zażywa tyle tramadolu, że zamazuje mu się obraz i trudno mu przez dłuższy czas zachowywać przytomność, ale gdy się to udaje, chodzi z mamą na nabrzeże i obserwuje fale, światło, ptaki. W miesiącach poprzedzających śmierć ogląda więcej wschodów i zachodów słońca niż przez 63 lata życia. Stają się dla niego ważne. Wyraża zgodę na radioterapię paliatywną, a ja się martwię. (...) Towarzysząc umierającemu tacie, wcale nie dobiegam czterdziestki. Mam cztery lata, siedzę mu na ramionach, a on pokazuje mi gwiazdy i opowiada o planetach. Mam 14 lat, zerwałam z chłopakiem, a on kołysze mnie w ramionach, gdy płaczę. Mam dwadzieścia kilka lat, podaję mu moją nowo narodzoną córeczkę, a na jego twarzy maluje się czysta radość, tak zupełna i kompletna, że takiego wyrazu twarzy nie widziałam nigdy wcześniej ani później. Chcę tego wszystkiego.

W dzień Bożego Narodzenia idziemy na plażę. Normalnie po świątecznym obiedzie odsuwamy na bok przygotowane planszówki i obsypani papierkami po słodyczach zasypiamy na sofie, ale te święta są jego ostatnimi. Wiemy, bo nie działa ani chemia, ani radioterapia paliatywna, ani sterydy. Wiemy.

Na plaży jest zimno, tacie sinieją wargi. Zimna nie znosi. Na Saharze wciągnął kiedyś sweter, mówiąc: „Na dworze dziś jakoś rzeško”. A tu zima. Morze Irlandzkie i kości na wyczerpaniu. Ale ja chcę jeszcze zrobić kilka

Czasem raka nie da się wyjaśnić. W każdym razie przypomina nam o tym, co się naprawdę liczy.

zdjęć. Staram się zachowywać naturalnie ze swoim wielkim aparatem, udaję, że szukam muszelek i fotografuję go mimochodem (...).

Zbyt wiele widziałam i nie wymażę już tego z pamięci. O okropności życia nie muszą nam przypominać wojny ani tragiczne wypadki drogowy. Mamy raka.

– Wskakuj. – Tata odkrywa kołdrę i przywołuje Cheryl gestem.

Ona parska śmiechem, serdecznym i prosto z serca, i dalej wypełnia dokumenty.

– Tupeciarz z ciebie – mówi.

Krzyżują spojrzenia i uśmiechają się.

Dziś jest ostatni dzień taty na ziemi i my tego jeszcze nie wiemy, ale Cheryl – tak. W naszym domu kręci się w pobliżu pokoju, który wybrał sobie do umierania, i wpada na dół tylko po to, żeby zaparzyć sobie herbaty albo, w odróżnieniu od mojej mamy i brata, zostawić mnie z nim czasem sam na sam. Nie rozmawia ze mną o sprawach związanych z pielęgnacją. Dziś jestem córką jej pacjenta. Często otacza mnie ramieniem, a gdy pomaga tacie skorzystać z fotela sanitarnego, wyprasza mnie z pokoju. Zza drzwi słyszę, jak ryczą ze śmiechu. Siedzę przy tacie, obserwuję przyjaźń, którą nawiązali, i usiłuję zrozumieć, o co chodzi w tej mojej wieloletniej pracy. (...) Cheryl przypatruje się tacie odrobinę dłużej niż zwykle. Podążam za jej spojrzeniem, choć niełatwo mi na

niego patrzeć. Tata nigdy nie należał do postawnych, ale rak go skurczył. Skora obwisa mu na wychudłych kończynach i ma inny kolor, nie żółty, raczej ziemisty, a zapadnięte oczodoły obwiedzione ma na szaro. Nie słyszy. Wyjął sobie aparat słuchowy i zamiast mówić, krzyczy. Nie czuje smaku. To dla niego najgorsze.

– Mógłbym już równie dobrze umrzeć. Nawet nie wiem, jak smakuje mój obiad.

Przegląda czasopisma z przepisami, których już nigdy nie wypróbuje: tadżin jagnięcy, suflet serowy, turbot po kornwalijsku ze szpikiem i selerem naciowym, francuska zupa cebulowa.

– A wiesz, nigdy nie ugotowałem *coq au vin*! Ani razu! – krzyczy.

– Ale przyrządziłaś kaczkę *à l'orange* – odpowiada Cheryl. – W dodatku z sosem jeżynowym. Opowiadałaś mi o swoich kuchennych wyczynach. O tych wszystkich cudach, które gotowałaś.

Opowiadam Cheryl o naszym dzieciństwie, o tym, jak wracaliśmy do naszego domu komunalnego w Stevenage i zastawialiśmy zwieszane z futryny bażanty, które sam upolował; albo jak zapraszaliśmy kogoś na herbatę, a tu tata przyrządza faszerowane serca; albo jak chodził co wieczór na działkę po warzywa na kolację. (...) Gdy mówię, tata zapada co chwilę w niespokojny sen i zaraz się z niego wyrwywa; śmiesznie wygląda, gdy śpi z podniesioną ręką, którą opiera na czole, i nie pozwala jej sobie zdjąć, choć ilekroć dłoń się zsuwa, jego ciało się podrywa.

Pojękuje. Coraz ciszej oddycha.

Milknę, Cheryl patrzy na niego, a potem na mnie.

– Myślę, że trzeba by ściągnąć mamę na górę, niech będzie w pobliżu.

Nie chcę przytaknąć. Nie chcę potwierdzać tego, co sugeruje. Że tata jest bliski śmierci. Widzę, że oddycha wolniej, wierci się, a potem zastyga w kompletnym bezruchu. Ale nie jestem gotowa na jego odejście. Nie jestem gotowa.

– Tak tu przytulnie – mówi Cheryl. – I jaki śliczny dzień.

Tata umiera w domu, w łóżku, mama trzyma go za jedną rękę, brat za drugą, ja trzymam za rękę mamę. Bólu nie ma. Jest godnie. Jest spokojnie. Lepszej śmierci sobie nie wyobrażam. Zdążyliśmy powiedzieć to, cośmy musieli, i przemilczeć to, czegośmy

nie wystawili. Mama zdążyła na niego spojrzeć, on zdążył spojrzeć na nią. Jest czas na płacz i jest czas na śmiech. Do ostatniej chwili jest sobą i tylko sobą. Okazuje się, że tata to mistrz umierania. Mama uczy mnie, jak żyć pełnią życia: cieszyć się, odczuwać, wybaczać, być wierną sobie. Tata uczy mnie, jak dobrze umierać. Umiera z humorem, godnością i całkowitym brakiem strachu. (...)

Ale ja i tak się boję. (...) Nie mogę jednak tacie pomóc. Dziś nie jestem pielęgniarką o specjalizacji ratunkowej. Dziś w ogóle nie jestem pielęgniarką. Jestem córką. I to boli. Boli wszystko. (...)

Po kilku dniach wracam do pracy. Jestem odrętwiała. (...) A pierwsze tego dnia wezwanie przychodzi z onkologii. Na oddziale onkologicznym jest spokojniej niż w innych miejscach szpitala. Pielęgniarki poruszają się powoli, taktownie, rozmawiają przyciszonymi głosami. (...) Przy końcu korytarza znajduje się pokój, w którym lekarze i pielęgniarki przekazują złe wiadomości.

Na tym oddziale wiedzą, jak to robić, rozumieją, że do odrętwiałego, zamrożonego człowieka dociera tylko szczery przekaz. Dlatego słów „Pani mąż w nocy zmarł. Przykro mi” nigdy nie zastępuje wyrażenie „Odszedł spokojnie we śnie”.

Pielęgniarki dzwonią i wzywają krewnych do szpitala, próbując jednocześnie ocenić, czy istnieje ryzyko, że spowodują po drodze wypadek.

– Może pan przyjechać jeszcze przed południem? Teraz stan jest stabilny, ale myślę, że trzeba przyjechać.

Wskazując, kiedy pora przybyć do szpitala, polegają na swoim doświadczeniu, bez względu na odczyty parametrów i wyniki badań krwi. Na podstawie miliona szczątkowych rozmów z rodzinami formułują przekaz tak, by krewny dotarł na miejsce szybko i bezpiecznie; jeśli obawiają się, że może być inaczej, dzwonią na policję z prośbą, by dzielnicowy powiadomił krewnego osobiście i szybko przywiózł go do szpitala. Na oddziale onkologicznym to nie informacja o ciśnieniu krwi, diagnoza ani schemat leczenia są najważniejsze, choć i one mają oczywiście znaczenie. Najistotniejsze są jednak numery telefonów krewnych. „Zawsze pamiętaj, by wyraźnie zapisać numer”. To straszne

uczucie, gdy nie możesz kogoś powiadomić w porę. (...)

Zaciskam zęby i wchodzę za ekipą do jednoosobowej sali, w której na łóżku siedzi mężczyzna z maską tlenową na twarzy. Wynurza się lekarz, zdejmując rękawiczki.

– Fałszywy alarm – mówi. – Było podejrzenie anafilaksji, ale nic mu nie jest.

Ekipa rozprasza się pojedynczo, ale ja z jakiegoś powodu stoję jak wryta. W końcu zostaję sam na sam z pacjentem. Mężczyzna ściąga maskę i uśmiecha się.

– Ma pani chwilę? – pyta.

– Oczywiście. – Siadam obok i na jego prośbę podaję mu leżącą na stoliku nocnym gazetę.

– Może mi pani poczytać wyniki?

Otwiera gazetę na wynikach wyścigów konnych. Mam masę papierkowej roboty, do tego za chwilę prowadzę szkolenie. – To zajmie chwilę – mówi. – Nie chcę sprawiać kłopotu, ale bez okularów guzik widzę.

Odczytuję imiona koni oraz wyniki. Przy niektórych fragmentach pacjent młóci ręką powietrze.

– O, to to – mruczy.

Nie podnoszę wzroku znad gazety, ale czuję, że jego skóra wydziela metaliczną woń chemii, słyszę też cichy warkot pompy. Dobijają mnie jednak

**Tyle chcę powiedzieć.
Kochajcie. Koniec końców,
liczy się tylko to. Kochajcie się.**

kapcie. Para kapci ustawionych pedantycznie pod łóżkiem. Zupełnie jak u taty. Dławiony przez wiele dni płacz wypływa z taką mocą, że strącam stojącą przy łóżku szklankę z wodą.

– Przepraszam – mówię. – Bardzo przepraszam.

Podrywam się, jakbym chciała wyjść, ale on łapie mnie za ramię i sadza z powrotem, a ja płaczę. Zagarnia mnie ramieniem i tuli do rżęcej piersi; kości policzkowe kontra żebra, łzy prędkie i nieskrępowane. To musiało trwać zaledwie kilka sekund, ale rozciągnęło się w czasie: on – pielęgniarz, ja – pacjentka.

– Wyrzuc to z siebie, dziecko.

– Przepraszam. To takie nieprofesjonalne. To ja mam pomagać panu.

– Bzdura – odpowiada. – Wszyscy mamy sobie pomagać. (...)

Cheryl przychodzi na pogrzeb. Trzyma się z tyłu, przy drzwiach, z dala od przyjaciół i rodziny, z pokorą i szacunkiem. A jednak stojąc na proździe z zaptakanymi dziećmi u boku i podtrzymując mamę, widzę płynące po jej twarzy łzy.

Podczas przemowy mój brat jej dziękuje.

– Pomogła tacie umrzeć godnie i bezboleśnie, właśnie tak, jak chciał. Załatwiła mu jednodniowy pobyt w hospicjum, gdy mama naprawdę tego potrzebowała. Zaciągnęła go tam tylko dlatego, że obiecała mu whisky w drodze powrotnej. I dotrzymała obietnicy. Dzień czy noc, zawsze odpisywała na SMS-y, które stąłem jej z Londynu, a gdy wiedziała, że już koniec, przyjechała w dniu, w którym miała mieć wolne. Pewnie, że to jej zawód. Ale była dla nas kimś więcej. Dla mojej rodziny była naszą pielęgniarką. Dla taty przyjaciółką. Kochała tatę. A on kochał ją.

Gdy przychodzi moja kolej, uginają się pode mną nogi. Dochodzę jakoś do pulpitu i staram się nie patrzeć na mamę, ani nie wyobrażać sobie ciała taty leżącego w trumnie za moimi plecami. Nigdy nie zapominam języka w gębie, ale dziś nie mam nic do powiedzenia. (...) Nie patrzę na mamę, zerkam jednak na twarz Cheryl. Nie wiem, jak wyduszę z siebie głos. Uwiąż mi w gardle. Ale jej ledwie zauważalne skinienie głowy dodaje mi sił: podnoszę kartkę, prostuję się i czytam:

– Nic poza miłością się nie liczy. Mówię ci to tu i teraz, mówię o miłości do twojej żony, męża, innej ukochanej osoby, syna i córki i – być może najcenniejszej – miłości do wnuczęcia. Mówię o miłości tak głębokiej, że człowiek gotów oddać za nią życie. Tak wzniosłej, że można nią przejrzyć niebiosy i wtedy nawet w nie uwierzyć. Może niektórzy z was już je widzieli. Może macie tyle szczęścia co ja. Tyle chcę powiedzieć. Kochajcie. Koniec końców, liczy się tylko to. Kochajcie się.

Fragmenty książki
**Christie Watson *Pielęgniarki*,
przekład Ewa Borówka,
Marginesy, Warszawa 2019**



Czarna skrzynka prezesa

Oskarżony o malwersacje
były szef Nissana uciekł z Japonii do Libanu...
w skrzyni na sprzęt muzyczny



Carlos Ghosn (z lewej) ze swoim prawnikiem w maju 2019 r.

Mateusz Mazzini

Choć historia ta brzmi groteskowo, więcej w niej momentów wywołujących wściekłość z powodu bezradności organów ścigania niż podziwu dla kreatywności uciekiniera. Carlos Ghosn, 66-letni były już prezes zarządu konsorcjum Nissan-Renault, od ponad roku był wymieniany jako jeden z największych na świecie przestępców finansowych. W listopadzie 2018 r. został aresztowany na tokijskim lotnisku Haneda pod zarzutem defraudacji środków konsorcjum, działania na szkodę firmy i kreatywnej księgowości. Według japońskich służb skarbowych Ghosn przywłaszczył sobie 5 mln dol. ze służbowych kont, obciążając też firmę kosztami nieudanych inwestycji prywatnych. Dodatkowo miał wypłacać sobie premie, o czym nie informował pozostałych decydentów w spółce. Choć dowody jego oszustw były niezbite, on sam twierdził, że padł ofiarą przewrotu pałacowego. Biznesmen pochodzący z Francji i tam przez większość życia mieszkający (legitymuje się też paszportami brazylijskim i libańskim)

argumentował, że nóż w plecy wbił mu japońscy członkowie zarządu, którzy sprzeciwiali się jego planom zacieśnienia współpracy japońskiego Nissana i francuskiego Renault.

Ghosn najpierw spędził w areszcie w Tokio 108 dni, wyszedł w kwietniu po wpłaceniu prawie 9 mln dol. kaucji. Od tego czasu pozostawał pod ścisłym nadzorem policji. Były szef Nissana wielokrotnie narzekał na warunki aresztu domowego, oskarżając japoński rząd o łamanie praw człowieka i tortury psychiczne.

Carlos Ghosn był jednym z najważniejszych więźniów w Japonii.

Męki dobiegły końca w sylwestra, kiedy Carlos Ghosn nagle odnalazł się... w Bejrucie. Sam jego pobyt w stolicy Libanu nie wydaje się aż tak dziwny, skoro przedsiębiorca ma legalny libański paszport. Więcej kontrowersji wzbudza sposób, w jaki się tam dostał. Francuz na Bliski Wschód dotarł dwoma prywatnymi odrzutowcami, wynajętymi na dwa różne nazwiska amerykańskich przedsiębiorców pracujących w Japonii. Pierwszy pokonał trasę z Tokio

do Stambułu, drugi ze Stambułu do Bejrutu. Już w Bejrucie Ghosn wydał oświadczenie dla prasy, w którym stwierdził, że uciekł z Japonii, bo nie chciał być poddany procesowi w „skorumpowanym wymiarze sprawiedliwości, w którym łamane są prawa człowieka, nie występuje domniemanie niewinności, a dyskryminacja odbywa się na każdym kroku”. Dodał też, że jest świadom konsekwencji ucieczki, ale podtrzymuje, że jest niewinny.

Tymczasem trwają spekulacje na temat sposobu, w jaki Ghosn wydostał się z aresztu domowego. Początkowo japońskie władze zakładały, że udało mu się to dzięki pomocy kogoś z aparatu ścigania. Później jednak popularniejsza stała się inna hipoteza, w której ważną rolę odgrywa skrzynia na sprzęt muzyczny. Według najnowszych ustaleń japońskiej policji Carlos Ghosn miał zostać ukryty w kontenerze transportowym po prywatnym koncercie zorganizowanym w jego apartamencie w Tokio. Przypuszcza się, że była to najpewniej skrzynia po głośniku lub dużym instrumencie muzycznym. W niej były prezes miał zostać wyniesiony z apartamentu i przetransportowany na pokład samolotu na mniejszym lotnisku, skąd został wywieziony z kraju.

Były prezes Nissana-Renault był jednym z najważniejszych więźniów japońskiego systemu penitencjarnego, trudno więc uwierzyć w tak groteskową ucieczkę. Dlatego eksperci zastanawiają się, czy droga na wolność nie została mu ułatwiona. Robert Dujarric, profesor stosunków międzynarodowych z tokijskiego kampusu Temple University, postawił nawet w wywiadzie dla Deutsche Welle tezę,

że władze pozwoliły mu uciec, bo proces byłby kosztowny wizerunkowo dla japońskiej marki narodowej. Dowody przeciwko niemu mogłyby się okazać poszlakowe, a dumna z etyki pracy i siły przemysłu motoryzacyjnego Japonia w oczach świata ryzykowałaby stanie się synonimem prześladowcy europejskich przedsiębiorców. Może więc muzyczne pudło Ghosna okazało się dla japońskiego rządu sądową puszką Pandory – lepiej zbyt szeroko go nie otwierać. ■

Proszę podać datę

Edward Mikołajczyk

Była kiedyś w radiu audycja „Z Kolbergiem po kraju”. O ile dobrze pamiętam, uprawiano w niej zbieractwo żywych resztek folkloru, zapisywano i demonstrowano słuchaczom wszystko, co zasługiwało na utrwalenie, a nie osunęło się jeszcze w milczącą otchłań. Jeżeli dzisiaj w Polsce już nikt nie wie, kim był Oskar Henryk Kolberg, to należy się przynajmniej jedno zdanie przypomnienia: chodzi o XIX-wiecznego etnografa, muzyka i kompozytora, autora monumentalnego (23 tomy!) dzieła „Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”, przedmiot zazdrości innych Europejczyków.

Z upływem lat tytuł audycji zszarzał i zaczął nową karierę, już w postaci szyderczego określenia na wszelkiego gatunku działalność objazdową różnych grup chałturniczych poszukujących na prowincji okazji do zarobku. Z czasem do tego konwoju na wieś dołączyli jeszcze agitatorzy polityczni. Pod hasłem „rozmów z Polakami”, czyli w istocie z jakimś podgatunkiem (?!), do tej pory ścigają się, kto pierwszy nawiedzi wszystkie gminy, bo jakoś tak się w Polsce ułożyło, że Polacy



Ci, co przyjeżdżają „rozmawiać z Polakami”, naradzają się najpierw ze swoimi namiestnikami, a potem rozpoczynają „monolog partii z narodem”.

służący partyjnym bonzom do rozmów osiedlili się głównie w gminach. Mówiąc nawiasem, tę konkurencję od pięciu lat wygrywa prezydent, bo ma dużo czasu i dostęp do wszystkich limuzyn w państwie.

Ze szlachetną ideą Kolbergowską nie ma to już nic wspólnego. Środowisko, które kiedyś poddawano badaniom, przekształcono w kolonię do taniej eksploatacji. Ci, co przyjeżdżają „rozmawiać z Polakami”, naradzają się najpierw ze swoimi namiestnikami, a potem rozpoczynają typowy „monolog partii z narodem”. Jeszcze nie widziałem w telewizji, aby ktoś od Prezesa aktualnie sprawującego w Polsce władzę ustawodawczą, wykonawczą, sądowniczą i kościelną, czyli np. prezydent albo premier, wysłuchiwał na jakimś spotkaniu (z Polakami lub tylko ze swoimi) kogokolwiek innego niż sam onnipotentny Prezes. Oni tu

przyjeżdżają, aby dobić targu. Każdy kupiony głos ma pokrycie w obietnicy wyborczej.

W „rozmowie z Polakami” najbardziej sprawdza się Mateusz Morawiecki, prawdziwy baron Münchhausen polskiej polityki zagranicznej, a jeszcze bardziej krajowej. Toteż sądzić należy, że jemu przypadnie w tym roku rola Beaty Szydło w kampanii na rzecz ustępującego prezydenta Andrzeja Dudy. Może będzie go reżyserować dyskretniej niż była pani premier i nie usłyszymy na widowni głośnych komend ze sceny, w rodzaju: no, weź, pocałuj ją teraz. Na pewno zaś nauczy go kilku myków, które premierowi się sprawdziły.

Po pierwsze, zawsze graj zio-mala. Że jesteś stąd, albo prawie stąd, byłeś tu na pielgrzymce, albo twój najlepszy kumpel z wojska był i wspominał, jak było ładnie. Po drugie, wymyśl sobie dowolny związek rodzinny lub uczuciowy z miejscową drużyną bądź miejscową tradycją kościelną i przypomnij zebranym, że w dzieciństwie też coś wypłatałeś, a mimo to doszedłeś do najwyższej godności w państwie. Przy tym nieskładne albo nawet niezborne mówienie nie ma tu żadnego znaczenia, byle we właściwej kolejności pojawiły się słowa obowiązkowe: Bóg, Prezes, rodzina, tradycja i wartości.

Może premier powie prezydentowi, jak to na jakichś dożynkach niechcący mu się wymysknęło, że polska tradycja

przekazywana przez rolników jest zaczynem przekazywanym następnym pokoleniom, i aż się wystraszył, że mówi o bimbrownictwie – ale nawet w tej wersji przemówienie spodobało się gospodarzom.

We wskazówkach zapewne znajdzie się jedna przestroga. Tylko błagam cię – powie historyk z wykształcenia prawnikowi z wykształcenia – nie podawaj żadnych dat ani terminów, kiedy coś uchwalimy albo zbudujemy.

Ten duet ma szansę do końca oduczyć ludzi wymagania od polityków elementarnej odpowiedzialności za słowo i obietnice. Dlatego przynajmniej jednemu z nich trzeba wreszcie powiedzieć: stop. Prezydent niech mówi, co chce. Do tej pory już siedem razy złamał konstytucję, to tak jakby zgubił złoty róg. Ale premierowi, kiedy zacznie wysypywać z rękawa nowe obietnice, trzeba powiedzieć: basta! I poprosić o daty.

Historyk ze wstrętem do podawania dat i szanowania przyrzeczonych terminów to jest polskie dziw. Morawiecki woli obchodzić rocznice położenia stępki pod budowę promu, niż ustalić datę jej rozpoczęcia lub ukończenia. Czy z tych ust Polska kiedykolwiek się dowie, kiedy wejdziemy do strefy euro? ■

Starożytną cytadelę w mieście Bam zniszczyło trzęsienie ziemi w 2003 r. Iran zamierzał z pomocą społeczności międzynarodowej przywrócić jej dawną świetność.



Zagrożone zabytki Iranu

Do czego doprowadzi konflikt między Stanami Zjednoczonymi a Iranem? Odpowiedzią na zabicie przez Amerykanów gen. Sulejmaniego był ostrzał rakietowy baz USA w Iraku. Gdy jednak Teheran tuż po ataku sił USA na dowódcę elitarnej jednostki Al-Kuds groził zemstą, Donald Trump zapowiedział zniszczenie w odwecie dóbr kultury Iranu. Na cel wziął 52 obiekty, niektóre o bardzo dużym znaczeniu, choć takich działań prawo międzynarodowe surowo zabrania.

Majestatyczna Brama Wszystkich Narodów w Persepolis.

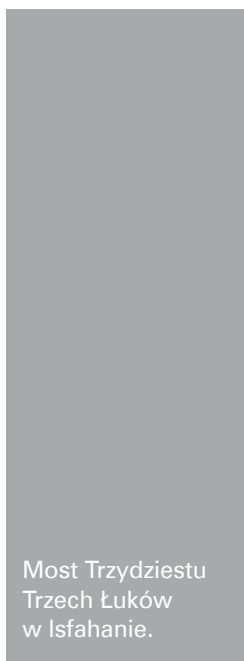


Teheran.





Różowy Meczet
w Szirazie, zbudowa-
ny za panowa-
nia dynastii Ka-
dżarów, w latach
1876-1887.



Most Trzydziestu
Trzech Łuków
w Isfahanie.



Isfahan.

Dorota Bartosewicz

Najgroźniejszy był chyba przekręt na czarnym pieprzu, mogącym powodować raka. Wszystko dlatego, że dodawano do niego zużyty olej napędowy, ropę naftową i np. parafinę. Gdy kłamstwo wyszło na jaw, firma została zmuszona do zniszczenia ponad 900 ton przyprawy.

Fałszerstwo pieprzu to rok 2013, ale problem pozostał. Producenci wciąż próbują oszukiwać na przyprawach. Jak pokazał ostatni raport Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, tylko w ostatnim czasie zakwestionowano w Polsce 45% próbek.

Piasek z glutenem

Najgorzej w badaniu wypadło oregano, które zawierało nawet 60-80% rozdrobnionych fragmentów innych roślin (ZHU Dawex Paweł Kotowicz, FH Ekka Andrzej Kufel). Wśród nich były m.in. liście czarnej i czerwonej porzeczki, żurawiny, borówki, oliwki, a także majeranku, tymianku i sumaka (to popularny krzew spotykany od Afganistanu po Wyspy Kanaryjskie.) Siłą rzeczy mniejsza niż wymagana była też w oregano zawartość olejków eterycznych – w jednym przypadku (ZHU Dawex) wyniosła ledwie 0,6 ml, podczas gdy norma mówi o wartościach nie mniejszych niż 1,5 ml na 100 g. To o tyle ważne, że „olejki eteryczne jako składniki żywności odznaczają się działaniem leczniczym, są naturalnymi konserwantami, nadają potrawom aromat, a dodane do potraw usprawniają proces trawienia, usuwają uczucie przejedzenia i pobudzają pracę układu pokarmowego”, można przeczytać w raporcie.

Nie lepiej było w przypadku kminu rzymskiego i pieprzu. Ten pierwszy był zanieczyszczony piaskiem czy np. glutenem (brak informacji o tym fakcie w języku polskim, w języku angielskim dane o jego śladowych ilościach; dystrybutorzy: Kuchnie Świata i Habibi). Z kolei drugi zawierał rozdrobnione drewniane łodyżki – nawet 22,3%. Miał również więcej popiołu (dystrybutor: Desi Bazaar Neetu Bhojwani) i obniżoną zawartość piperyny, odpowiedzialnej za ostry smak pieprzu (P.W. Marsól Marek Michalski).

Oregano z majeranku

Piasek, włosy, sierść – producenci przypraw próbują oszukiwać na różne sposoby



W ogóle znaczna część popularnych przypraw miała słaby aromat, była przesuszona, a to oznacza zawsze ich gorszą jakość.

Szafran w ubraniu

A co z najdroższymi przyprawami, np. szafranem, którego wartość może dochodzić do 2 tys. zł za 100 g? I w tym wypadku nie wszystkie próbki spełniały wymagania. Wyższa niż deklarowana była zawartość popiołu. Były też w przyprawie pojedyncze włókna z ubrań, drobne włoski (importer: Origos Ożga), a nawet sierść (PPHU Rolpol-Agra Robert Nowaczyk), co może wynikać albo ze zbyt małej staranności podczas jego pozyskiwania, albo z celowego działania.

Nie było za to krokosza barwierskiego, wcześniej często używanego do fałszowania szafranu i kurkumy, ani kwiatów arniki i nagietka lub podkolorowywanych włókien kukurydzy. W przypadku innych przypraw wcześniej dodawano do nich m.in. trociny i tlenek ołowiu (pieprz cayenne), nasiona papai (pieprz mielony), talk, sproszkowaną kredę i cegłę (sól, w tym himalajska) oraz mąkę kukurydzianą i chromian ołowiu (kurkuma).

O innych sztucznych barwnikach nie wspominając.

Test wody

„Fałsz na fałszu! Kłamstwo i obłuda! Tylko liczy się kaaaasaaa!” – w Polsce o fałszowanych przyprawach pisze się coraz więcej, także w sieci. „Czy któryś z producentów został ukarany? Gdyby firmy oszukiwały państwo, urząd skarbowy pozamykałby tych oszustów, ale konsumenta można łupić na każdym kroku”.

Agnieszka Majchrzak z UOKiK tymczasem tłumaczy: – Najnowsza kontrola przypraw jeszcze się nie zakończyła. Wyniki badań laboratoryjnych właśnie wystaliśmy Komisji Europejskiej, do Joint Research Centre. Stało się tak, bo kontrola przypraw realizowana była w całej UE w ramach unijnego projektu.

Wcześniejsze badania odbyły się w czwartym kwartale 2016 r. Dotyczyły 85 placówek handlu detalicznego, w tym 10 hurtowni. Nieprawidłowości stwierdzono w ponad 25,9% punktów. – Skontrolowano ogółem 546 partii przypraw o łącznej wartości 27,4 tys. zł. Różnego rodzaju zastrzeżenia wniesiono do 111 partii o łącznej wartości 7,3 tys. zł. Wyniki kontroli stanowiły podstawę do wycofania z obrotu towarów przeterminowanych, niewłaściwej jakości lub nieprawidłowo oznakowanych o łącznej wartości 4 tys. zł – wylicza Agnieszka Majchrzak.

A jak samemu sprawdzić, co faktycznie jest w przyprawach? UOKiK radzi: lepiej postawmy na sklepy, nie na bazy i targowiska. Raczej produkty markowe, bo trudniej wtedy o oszustwo. Najlepiej w opakowaniach, nie na wagę.

Dagmara Szymańska, laborantka UOKiK, podpowiada prosty test: – Do szklanki letniej wody wsyp szczyptę przyprawy. Jeśli jest prawdziwa, będzie powoli opadała na dno. Trociny, łodyżki czy nasiona będą się unosiły na powierzchni. Poza tym prawdziwa przyprawa nie zabarwi wody. Wyjątkiem jest szafran, który zmieni jej kolor, ale też nie od razu, lecz stopniowo.

W badaniach UOKiK najlepiej wypadły kurkuma i papryka chili (Smaki Orientu, Unilever, Habibi, a także np. P.W. Marsól i KK Polska). Nie było do nich uwag.

Moloch bez głowy

Czy MSZ istnieje? Owszem, są budynki, są zatrudnieni na etacie urzędnicy, formalnie rzecz biorąc, instytucja istnieje. Tylko jest, by tak rzec, bezgłowa.

W sprawach Unii Europejskiej MSZ nie ma nic do powiedzenia, choćby z tej prostej przyczyny, że sprawy unijne zostały przeniesione do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

W sprawach stosunków z USA i z Izraelem inicjatywa należy z kolei do Kancelarii Prezydenta. To prezydent Duda podpisuje umowę z USA, na stojąco, na skrawku biurka. No i to on decyduje, czy jechać do Izraela na uroczystości rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz, czy nie jechać.

Ba, swoją politykę prowadzi również ministerstwo. To Ministerstwo Sprawiedliwości wywołało awanturę z Izraelem za sprawą niesławną nowelizacji ustawy o IPN. MSZ nie miało tu nic do powiedzenia. Resort dyplomacji milczy też, gdy politykę zagraniczną kształtuje Ministerstwo Obrony Narodowej. W rękach MON jest jeden z kluczowych instrumentów polityki bezpieczeństwa – sprawy uzbrojenia. I MON tym gra. Z jednej strony, Polska wycofuje się ze współpracy z europejskimi koncernami zbrojeniowymi, z drugiej – jest jednym z największych kontrahentów amerykańskiego przemysłu obronnego. Te działania kształtują pozycję Polski na arenie nie tylko europejskiej, ale także światowej. MSZ temu wszystkiemu się przygląda. Podobnie jak w początkach rządów PiS biernie przyglądało się, jak ówczesny minister obrony demontował uzgodnienia polsko-chińskie dotyczące Nowego Jedwabnego Szlaku i budowy w Polsce terminala linii kolejowej.

Tak oto MSZ w sprawach polityki zagranicznej, nie w innych, zostało zepchnięte w hierarchii ważności nie

tylko za Kancelarię Prezydenta i KPRM, ale i za niektóre ministerstwa.

A co na to minister eksperyment Jacek Czaputowicz? Przyjmuje spadek rangi bez słów protestu. Ewidentnie dobrze mu z tą bezczynnością. A jeśli ktoś kiedyś jeszcze w to wątpił, zapewne te wątpliwości zostały w ostatnim czasie rozwiane. Bo gdy zapytano Jacka Czaputowicza, jak Polska powinna zareagować na atak rakietowy Iranu na amerykańskie bazy w Iraku, odparł: „Poczekajmy na oświadczenie prezydenta USA Donalda Trumpa. Zobaczymy, jak Stany Zjednoczone interpretują tę sytuację”.

Przez lata apologeci III RP dogryzali Polsce Ludowej, że nie miała własnej polityki zagranicznej, że w kluczowych dla świata sprawach zachowywała się tak, jak chciał Związek Radziecki. No, nie do końca tak było, w wielu elementach PRL prowadziła własną politykę, chociażby wobec Niemiec. Można wręcz twierdzić, że ministrowie spraw zagranicznych PRL, od roku 1956, na tle Jacka Czaputowicza błyszczeli energią, samodzielnością, o intelekcie nie wspominając.

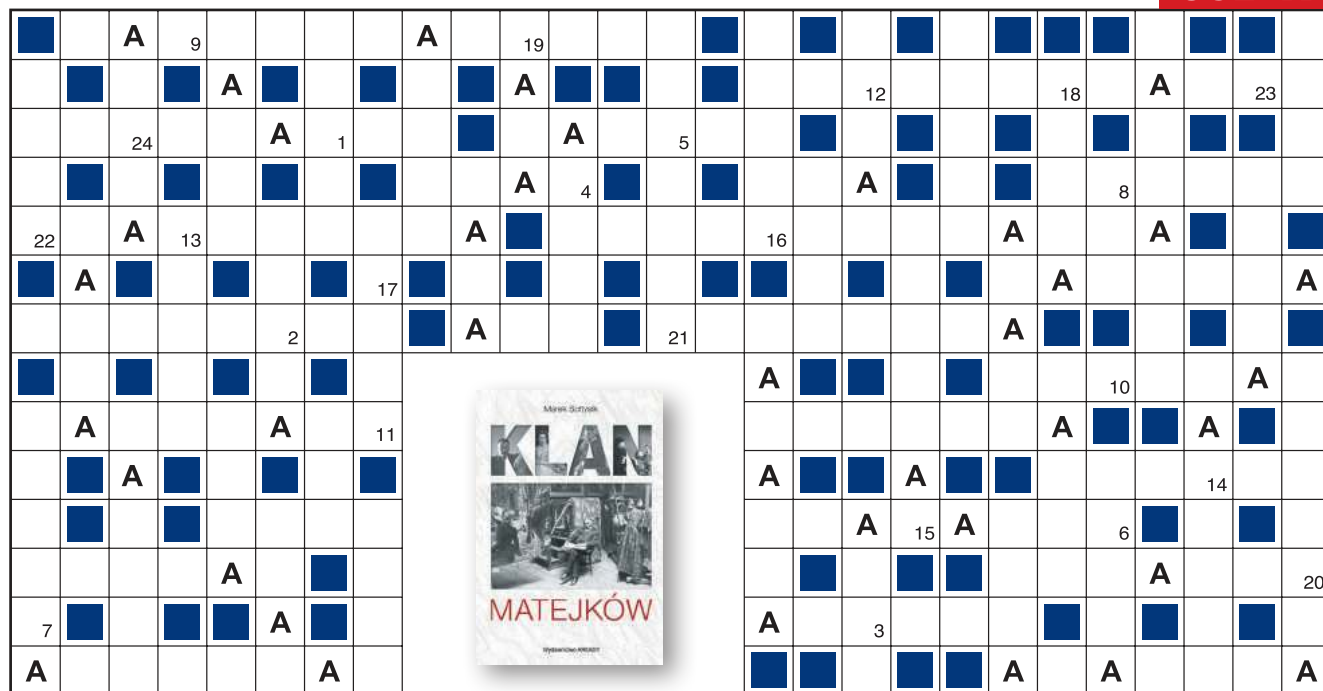
Bo oto dorobiliśmy się szefa MSZ, który politykę zagraniczną prowadzi tak, żeby jak najbardziej podołała się Amerykanom i ani pół centymetra w bok. A politykę resortu tak, żeby z wszystkimi wokół żyć dobrze – więc przerabia ministerstwo na biuro posad dla drugorzędnych urzędników z Kancelarii Prezydenta i KPRM.

Ziszczają się słowa Lenina, że państwem kierować może kucharka. Cóż, co do państwa, to jeszcze zaczekajmy, ale MSZ na pewno.

Attaché



Kolędowanie we wsi Dubówka na Białorusi.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- dawniej samolot
- „Cnym... ulubiony”, proponował Dyndalski
- mniej niż pół hektara
- ...Gwiazd Sportu we Władysławowie
- dla niej role zakochanych pań
- jednostka natężenia prądu
- Indianin ze szczepu Mescalero lub Chiricahua

- karny albo poległych
- rola Andrzeja Hudziaka w „Panu Tadeuszu”
- port lotniczy Kraków...
- transakcja wymiany jednego towaru na drugi
- metalowa do męskiego zegarka
- u Fredry lepszy funt szczęścia niż ...rozumu
- Agata Buzek dla Jerzego Buzka

- część robocza koparki
- jedzą gulasz z knedlikami
- czasem coś go zapiera w piersi
- para tancerzy lub żyźniarzy
- mediolański, nantejski lub z Alhambry
- orok dalekich krajów
- 14 stycznia – Feliksa, Hilarego, Niny
- i stragan, i kłopot
- „...wypadków miłosnych”
- uwija się wśród kolb i menzurek
- jednostka zajęć szkolnych
- rozkładany do odpoczynku na słońcu
- wyrzucanie pieniędzy w błoto

- czuły z wykładu noblowskiego Tokarczuk
- śnieżny może spowodować lawinę
- sinieje przed burzą
- przeżył 950 lat
- o nędznym mieszkaniu
- tradycyjny sposób postępowania
- brak związku, łączności, np. z rzeczywistością
- pajęczka w mózgu, radialna na kole
- bandzior
- zespół bloków mieszkalnych
- drżące drzewo
- zwane kusymi dniami
- śnieżna lub mglista wśród drapieżników
- strasburski to nie kłopot
- krążek podwawelskiej
- osobisty numer identyfikacyjny w skrócie
- składane wyrazy wdzięczności

- brytan, nie ratlerek
- Knyszyńska albo Piska
- Bezpieczeństwa Narodowego lub Gabinetowa
- w nią oprawiony slajd
- niejedna na kostiumie Arlekina
- Śląska albo żelaza
- mastif Stasia i Nel
- znana sprinterom i włókniarzom
- w parze z wellness
- łączenie, scalanie
- u nas w sojuszu z ołtarzem
- odcinek drogi pod ziemią
- Polarny ze szczytem Pajer
- rzeki, uczuć lub krwiak
- obszerne wiejskie furtach
- i brydżowy, i w testamencie
- pewność siebie, brak wątpliwości

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-943”. Do rozlosowania książki „Klan Matejków” ufundowane przez Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 stycznia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-940” z 29 grudnia: Kolacja wigilijna.

Nagrody otrzymują: Zofia Bartnik z Ryczówka, Asia Lis ze Świebodzic, Aleksander Timofiejuk z Ciechanowa.

Rozwiązanie krzyżówki z gwiazdką: Ustrojone drzewko, szyfrokrzyżówki: Mnóstwo prezentów. Nagrody otrzymują: Lucjan Bemer z Jarosławia, Zenon Czajczyc z Olsztyna, Malina Szczepańska z Krakowa.

PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA

RIAD HAIDAR,
LEKARZ PEDIATRA

Dlaczego przestałeś być ordynatorem?

– Nie rozumiem tego. Wszystkiemu winna pewnie polityka, choć zawsze odsuwałem ją od szpitalnego łóżka. Nowy dyrektor szpitala w Białej Podlaskiej jest radnym Zjednoczonej Prawicy. Ja przez wiele lat działałem w samorządzie, w październiku zostałem posłem z ramienia Koalicji Obywatelskiej. Szukano na mnie haków, nie znajdują, nie boję się. Na wiecu przed szpitalem szybko zapelniono olbrzymie serce kartkami ze słowami wdzięczności. Żartując, powiedziałem do żony, że żaden lekarz z takim hukiem nie przeszedł na emeryturę. Zaproponowano mi dalszą pracę w roli lekarza, dyrektor nawet obiecał podwyżkę, ale Haidara nie da się kupić. Mnie nie można upokorzyć. Nie wyobrażam sobie dalszej pracy z tym dyrektorem, straciłem do niego zaufanie.

**DZIENNIK
GAZETA PRAWNA**

O. TOMASZ DOSTATNI,
DOMINIKANIN

Żyję w klasztorze z 14 ludźmi. To nie jest świat idealny, świat ludzi, którzy są w niebie. Poprzez życie z innymi ludźmi, czy to będzie w małżeństwie, w rodzinie czy w pracy, musimy się uczyć radzenia ze swoimi złymi emocjami, z sytuacjami, które są dla mnie nie do zaakceptowania. Jeśli nie będziemy się starać, to psychoanalitycy i zakłady psychiatryczne będą mieć pełne ręce roboty. Musimy się uczyć unieść różnorodność. Sam tego się uczę i wiem, że

nie zawsze mi to wychodzi. Ale mam tego świadomość i coś staram się z tym robić.

PANI

LESZEK MOŹDŻER,
MUZYK JAZZOWY

Kolorowych garniturów nie noszę od lat. Na początku kariery pracowałem nad stworzeniem ikony – wytworzyłem obraz muzyka, który ubiera się w kolorowe garnitury. Zorientowałem się dość szybko, że aby zaistnieć w show-biznesie, trzeba mieć dobre zdjęcie, więc ubierałem się bardzo pstrokato, licząc na to, że lufa aparatów skieruje się w moją stronę. Nie myliłem się. Rzeczywiście sporo zdjęć ukazywało się w prasie. Wtedy potrzebowalem tych pstrokatych, kolorowych garniturów. Zrealizowałem swój plan, żeby zaistnieć w zbiorowej świadomości. Dzisiaj nie lubię sławy. Jest bardzo uciążliwa. Jesteś zakładnikiem własnego wizerunku. I to, że każde słowo, które powiesz, i każda czynność, którą wykonasz, mogą być użyte przeciwko tobie.

STYL

MAGDALENA CIELECKA,
AKTORKA

Przypominam sobie taką sytuację niedawno na Sycylii. Urodziny bliskiej mi osoby, w pewnym stanie rozbawienia stanęłam na ulicy i na całe gardło zaśpiewałam hymn harcerski, który pamiętam z podstawówki: „Wszystko, co nasze, Polsce oddamy / W niej tylko życie, więc idziem żyć / Świty się bielą, otwórzmy bramy / Rozkaz wydany: Wstań! W słońce idź!”. Cała ulica stanęła. Dostałam brawa.

Aby język giętki...

MAREK BOROWSKI O ANDRZEJU DUDZIE

Wypowiada haniebne słowa, kłamstwa łatwo wychodzą z ust prezydenta.

**PROF. BOGDAN DE BARBARO
O KŁAMSTWIE**

Zdolność do kłamania stała się nagradzaną zaletą, już nie hańbi tego, kto potrafi tgać.

**PROF. HENRYK DOMAŃSKI
O WYKSZTAŁCENIU**

Sam fakt ukończenia wyższych studiów przestał mieć wysoką wartość rynkową.

ARTUR ANDRUS O PAMIĘCI

Nie pamiętam żadnego wzoru matematycznego, nie bardzo wiem, czym się różni trzecia zasada dynamiki od trzeciej części „Dziadów”.

JAN WRÓBEL O SĄDACH ZA RZĄDÓW PiS

Lepiej mieć niezawistość sądów nie-reformowanych niż brak niezawistości sądów „po reformach”.

**KUBA WOJEWÓDZKI
O ISABEL MARCINKIEWICZ**

To taki typ kobiet, które nie mając nic do powiedzenia, używają do tego bardzo wielu słów.

MAŁGORZATA OSTROWSKA O NOSTALGII

W Puszczykowie świat jest troszkę zwolniony i nie muszę kreować swojego wizerunku, wychodząc po bułki.

**GOŁDA TENCER
O SYNU DAWIDZIE SZURMIEJU**

Przypomina ojca Szymona. Prawdziwa mieszkanka wybuchowa, krzyczy, a chwilę później przyłoży do rany.

JOANNA SZCZEPKOWSKA O ODWADZE

Odważny człowiek żyje w strachu. Ktoś, kto się nie boi, nie ma wyobraźni, więc nie wie, co robi.

KATARZYNA GROCHOLA O TAŃCU

Kolan nie oszczędzałam, a potem okładałam je lodem. Euforia wynagradzała ból.

MATEUSZ DAMIĘCKI O SPRZĄTANIU

Czystość to filozofia – jest szlachetna i... uszlachetnia.

ANDRZEJ GRABOWSKI O URODZIE

Nigdy nie dbałem o urodę. I nie będę dbał, bo nie ma o co. Jakby było o co, to może bym dbał.



Księżyc w zasięgu ręki – wielki balon podczas festiwalu w Xiangyangu w Chinach.

FOT. EAST NEWS

Piłeś? Odwiedź

Lista atrakcji turystycznych Zagrzebia wzbogaciła się o Muzeum Kaca. Nie tylko gromadzi ono opowieści i eksponaty związane z „syndromem dnia następnego”, ale także umożliwia zwiedzającym podzielenie się własnymi doświadczeniami. Mogą oni także skorzystać z tzw. alkoholigogli, czyli okularów imitujących stan upojenia alkoholowego, pozwalających m.in. sprawdzić jego wpływ na nasz refleks. Co więcej, w placówce działa bar serwujący dania, które uważa się za pomocne w ograniczaniu dolegliwości związanych z nadmierną konsumpcją napojów wysokowych. Pomysł na muzeum, jak łatwo się domyślić, powstał podczas spotkania grupy znajomych w barze.

Kontenery pod specjalnym nadzorem

Od 1 stycznia obowiązuje segregowanie śmieci na pięć kategorii (metal i plastik, szkło, papier, odpady organiczne oraz zmieszane). Na nietypowy sposób kontroli przestrzegania nowych zasad wpadły władze Spółdzielni Mieszkaniowej „Kolejarz” w Białej Podlaskiej. Jej członkowie zostali poinformowani, że wyrzucanie śmieci do kontenerów będzie możliwe tylko w obecności wyznaczonych do kontroli tego procesu pracowników spółdzielni, dyżurujących od godz. 6.30 do 7.30 i od 17.00 do 18.00 w dni powszednie, a w soboty od godz. 17.00 do 18.00. W niedzielę wyrzucać odpadów w ogóle nie wolno, co można podsumować przykazaniem: pamiętaj, abyś w dzień święty nie śmiecił.

Szlag by tę sztangę!

Przeklinanie czyni nas silniejszymi – potwierdzili naukowcy z angielskiego Uniwersytetu Keele. Okazało się, że gdy uczestnicy ich eksperymentu dopingowali samych siebie ulubionymi bluzgami, osiągalni lepsze wyniki na rowerku treningowym oraz podczas testów siły chwytu. – W ten stosunkowo prosty sposób sprawdziliśmy, czy przekleństwa przynoszą wymierne korzyści – skomentował wyniki badania jego współautor, psycholog Richard Stephens. – Nasza praca opierała się na wcześniejszych eksperymentach, w których udowodniono, że przekleństwa zwiększają tolerancję na ból – dodał. Praktyczny wniosek jest następujący: na siłownię lub poródówkę tylko z niewyparzoną językiem!

**Z Fejsa do atlasów**

Zupełnie nowy gatunek przebiśniegów został odkryty... na Facebooku. A było to tak: lekarka opublikowała na portalu zdjęcia z wakacji w Turcji. Przykuły one uwagę pochodzącego z Ukrainy eksperta od przebiśniegów, który na jednym z nich zauważył kwiat, z jakim nigdy się nie zetknął. Pojechał więc zebrać okazy, a Królewskie Ogrody Botaniczne w Kew potwierdziły, że należą one do nieopisanego dotychczas gatunku, który otrzymał łacińską nazwę *Galanthus bursanus*. Niestety, wszystko wskazuje na to, że kwiat występuje wyłącznie w okolicach Morza Marmara i jest zagrożony wyginięciem.

Dyskryminacja niejedno ma imię

Sąd w North Shields w Anglii przyznał 31-letniemu Danielowi Hartowi prawie 8 tys. funtów odszkodowania za to, że musiał ukrywać w pracy swoją orientację seksualną. Co nietypowe, mężczyźnie identyfikującemu się jako biseksualista bezpośrednia przełożona nakazała udawać nie heteryka, lecz geja. Wszystko przez to, że główna kierowniczka sklepu z torebkami, w którym pracował, nie lubi mężczyzn i nie zatrudnia ich, chyba że są homoseksualni. Sąd uznał to za dyskryminację ze względu na płeć. – To, że musiałem ukrywać, kim jestem, aby utrzymać pracę, było upokarzające – poskarżył się prasie Hart.

**37. OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH BOGATYNIA 2020****Czekamy na zgłoszenia**

Do 1 marca 2020 r. należy przesłać zgłoszenia na tekst satyryczny. Prace powinny być podpisane godłem (pseudonimem). W oddzielnej kopercie należy dołączyć swoje dane (imię i nazwisko, adres do korespondencji, adres e-mail, telefon kontaktowy). Tego samego godła (nicku) należy użyć, przysyłając prace drogą elektroniczną.

I nagroda – 3 tys. zł, tytuł Księcia Łgarzy oraz statuetka Złotego Kosy
Do 8 marca 2020 r. czekamy na zgłoszenia do głównego konkursu na krótką prezentację sceniczną (w formie multimedialnej wraz z kartą uczestnictwa). W przypadku linku do wiadomości mejlowej powinien być dołączony podpisany skan karty uczestnictwa.

I nagroda – 5 tys. zł, tytuł Króla Łgarzy oraz statuetka Kozła

Prace należy przysłać pod adresem:

Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych
 ul. Szttygarska 21
 59-920 Bogatynia
 lub pocztą elektroniczną
 turniej.lgarzy@gmail.com; biuro@turniej.com.pl

Pojedynek Gości o Nagrodę Publiczności to przegląd najciekawszych zjawisk na scenie kabaretowej i satyrycznej. Pojedynek odbędzie się w trakcie koncertu finałowego 18 kwietnia 2020 r. w Bogatyni. Do udziału zaprasza organizator turnieju na podstawie rekomendacji.

Nagroda – 5 tys. zł oraz statuetka Szczupłego Andrzeja trafi do wybrańców bogatynińskiej publiczności.



Szczegółowe informacje dotyczące regulaminu konkursów oraz kartę uczestnictwa można znaleźć na stronie internetowej www.turniej.com.pl.

ZAPRASZAMY Z UŚMIECHEM



Pożary w Australii objęły kilkanaście milionów hektarów, zanieczyszczając powietrze i niszcząc przyrodę – według szacunków zginęło już około miliarda zwierząt, a wiele zostało poparzonych.

Graczom wstęp wzbroniony

Kanadyjskie media ujawniły, że wybrani funkcjonariusze tamtejszej żandarmii wojskowej otrzymali rozkaz grania w Pokemon Go. W okresie największej popularności tej gry, polegającej na łapaniu cyfrowych stworzeń przypisanych do realnie istniejących obiektów, znacznie wzrosła liczba wtargnięć na tereny wojskowe. Zadaniem żandarmów było przeczesanie baz i ich okolic ze smartfonami i tabletami w rękach w celu odnalezienia wirtualnej infrastruktury i bohaterów, dzięki czemu armia będzie wiedziała, w jakich miejscach spodziewać się intruzów. Wcześniej kilkakrotnie „zaatakowana” została m.in. baza Borden w Ontario. W momencie gdy zatrzymywano jedną z graczek, jej dzieci wspinały się na czołgi.

Nie przeżyj tego sam

Ponieważ w Japonii pochówki są bardzo drogie, pochodząca z Nagano firma Tsubasa wypuściła na rynek zestaw pogrzebowy „zrób to sam”. Za równowartość zaledwie 900 zł otrzymujemy prostą drewnianą trumnę z otwieranym okienkiem na twarz zmarłego, poduszkę, materac i koc, urnę na prochy oraz pudełko do przechowywania kości po kremacji. Pakiet uzupełniają trzy chusty do wykonania *furoshiki*, czyli tradycyjnych japońskich tobołków do pakowania przedmiotów, a także podręcznik odprawiania ceremonii zapewniających spokój duszom zmarłych. Jeszcze tylko upolować promocję w krematorium oraz w domu pogrzebowym i chce się umierać!

JAK NIE DAĆ SIĘ NABRAĆ?

TYGODNIK
ANGORA ZMYŚŁOWA ROZKOSZ CZYTANIA
 CO TYDZIEŃ „PRAWNIK RADZI”



ADRES REDAKCJI
 03-410 Warszawa,
 ul. Inżynierska 3 lok. 7
 Telefon +48 22 635 84 10,
 +48 503 158 795, 503 159 027
 fax +48 22 635 84 10 wew. 119
 przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
 e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
 e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
 – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
 e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
 e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
 e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
 Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
 Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
 Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
 Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
 Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
 Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
 Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
 Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
 Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
 Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
 Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
 Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
 Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
 Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bakowski, Kain May,
 Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
 Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredytorzy: Magdalena Głuska,
 Karina Krystosiek, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chleicka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
 07-200 Wyszów, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

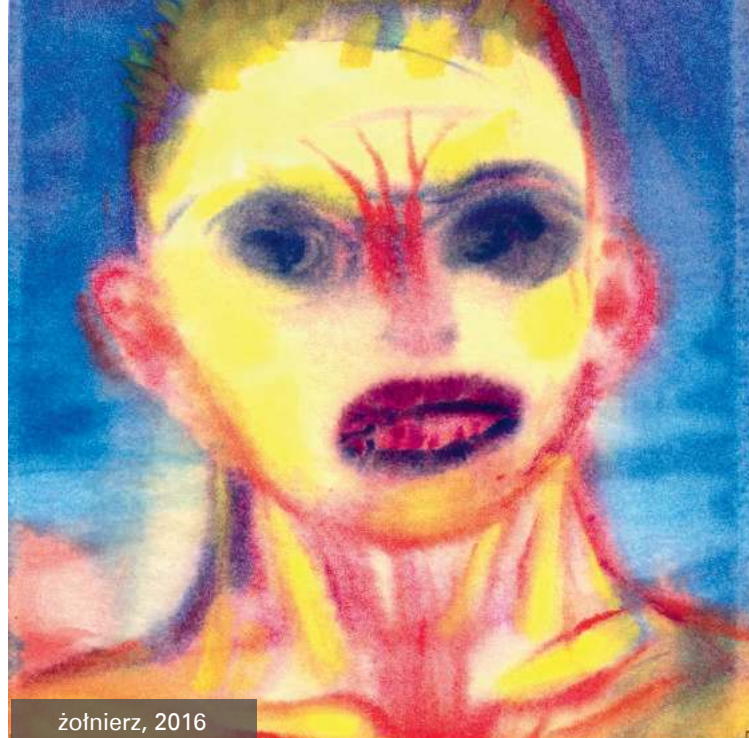
KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





kochanie, 2008 + 2018



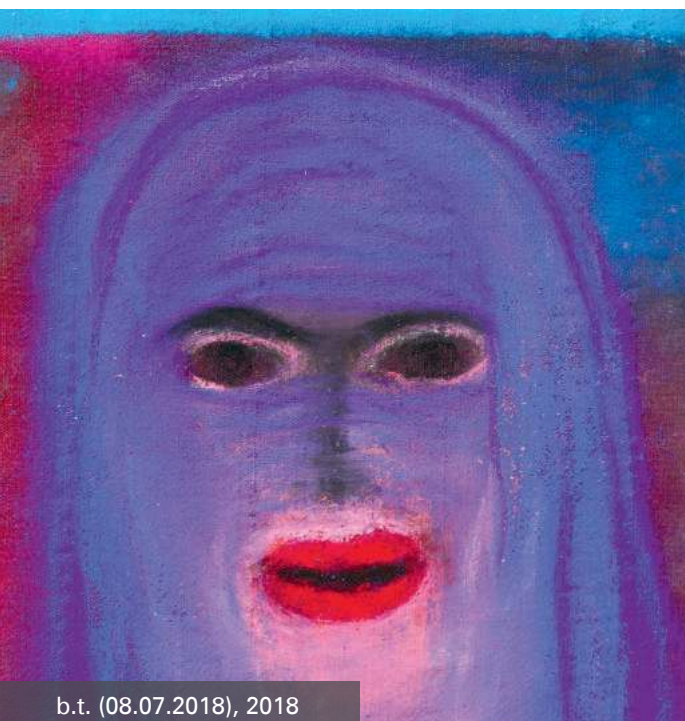
żołnierz, 2016

MIRIAM CAHN

JA, ISTOTA LUDZKA

Pierwsza w Polsce monograficzna wystawa Miriam Cahn, jednej z najważniejszych i najbardziej uznanych malarek drugiej połowy XX i początku XXI w. Od przeszło czterech dekad szwajcarska artystka zwraca uwagę na społeczne konflikty i kryzysy, zastanawiając się nad współczesną kondycją człowieka oraz sprawczością obrazu malarskiego wobec takich tematów jak wojna i przemoc, seksualność, natura, relacje rodzinne i śmierć. U podstaw jej bogatej twórczości, obejmującej nie tylko malarstwo, ale również rysunek, performance, tekst i film, leży bezkompromisowy sprzeciw wobec wszelkich przejawów przemocy.

Muzeum nad Wisłą
Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie 22
do 1 marca



b.t. (08.07.2018), 2018



ręcedogóryobnażone, 23./24.6.18

**Polish
Jazz**
vol. 83

**WARNER
MUSIC**
POLAND



Jerzy Mączyński

Jerry & The Pelican System

18 STYCZNIA 2020 GODZ. 19:00

**TEATR ŚLĄSKI - DUŻA SCENA
UL. RYNEK 10
KATOWICE**

www.facebook.com/jerzymaczynskimusic

BILETY JUŻ OD 25 ZŁ DO NABYCIA NA:
www.teatrslaski.art.pl
www.jerzymaczynski.com

Going.  eBilet.pl



PALESTYŃSKI KANDYDAT DO OSCARA



CANNES

KONKURS GŁÓWNY
NAGRODA SPECJALNA JURY
NAGRODA FIPRESCI

Tam gdzieś musi być niebo

*Autoironiczna opowieść o tożsamości, przynależności
i poszukiwaniu domu*

REŻYSERIA
ELIA SULEIMAN



W KINACH OD 10 STYCZNIA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”



AURORA